NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM III NEW POLAND MONTHLY ZESZYT 10

LONDYN PAŹDZIERNIK 1944

ANTONI SŁONIMSKI

MOGIŁA NIEZNANEGO MIESZKAŃCA

Antyczni, nadzy i ogromni,
Zastygli w krzyk kamiennych warg,
Których na łukach tryumfalnych ark
Ustawią kiedyś w rząd potomni,
Bohaterowie wielkich dni,
Na tle chorągwi i barykad,
Antyczni, nadzy i ogromni,
O których codzień komunikat
Podawał światu rapsod nowy,
O was historja nie zapomni,
I narodowy rzuci pieśniarz
Ziarno męczeńskiej waszej krwi
I posiew cierpień
I uniesień
Na nowy Sierpień,
Nowy Wrzesień,
Na nowych dni sześćdziesiąt trzy.

O was historja nie zapomni,
Lecz któż na grobach będzie siadał
Tych, którzy trwożni i bezdomi
Padali mrowiem niezliczonym.
Któż się o milion ten upomni?
I jaki pieśniarz będzie składał
Słowa gorące i szalone,
O tych co w cieniu waszej glorji,
Bez narkotyku wielkich czynów
Konali w męce dla wawrzynów,
Co wasze skronie ozdobiły,
Rzucając pomiot ciał swych zgniłych
W dymiący krwawy gnój historji.

Dla was pieśń moja i łzy moje
Zwyczajni, prości, nieogromni.
Stokroć was więcej padło w boju
Lecz któż imiona wasze wspomni?
Tragarze, szewcy, rzemieślnicy,
Doktorzy, krawcy i służące,
Żony i siostry, co miesiące
Skryte wśród gruzów po piwnicach,
Przez to szaleństwo krwi i chwały,
W mękach, w rozpaczy umierały.
Dla was łzy moje, łzy gorące.

A gdy na zgliszcza wróci życie,
Na narodowy święty grób,
Gdy kości będą zbierać z szańca
Aby z nich dźwignąć pomnik sławy,
Niech na cmentarnej będzie płycie
Ten napis prosty, napis krwawy:
Tu Leży Trup
Nieznanego Mieszkańca
Warszawy.

STANISŁAW STRUMPH WOJTKIEWICZ

POWRÓT

Wracać nam trzeba bez Sztandarów, —
— bez Wodzów — bez Defilad...

Cóż po świetnym cassino'wskim sztandarze,
cóż po słonej atlantyckiej sławie
pooranej w krwawe brózdy Warszawie,
powalonej świętojańskiej farze...

Na cóż tamtym pulsującym brukom
podobłoczne, bujne somo-sierry —
rany i awanse i ordery —
sprawy Malt, Narvików i Tobruków...

Wracasz cicho. Pochyl czoło w skrusze.
Jesteś prochem. Wracasz bez nazwiska
w staromiejskie prochy i zwaliska,
którym lud Warszawy oddał duszę.

Wracać nam trzeba bez defilad,
bez wodzów, bez sztandarów...

Londyn, 23 *sierpnia* 1944.

MARIA KUNCEWICZOWA

OXFORD I CIEMNOŚĆ

Fragment z powieści „Zmowa Nieobecnych"

Po herbacie Karol z Tony'm wyruszyli samochodem Budic'ów do Oxfordu. Tony, jak zwykle po wizycie w Riverside, zupełnie był do normalnego Kestera niepodobny. Normalny Anthony Kester, dziedzic fortuny, tytułu i stosunków papy, który historyczne lordostwo przyozdobił w swoim czasie wysokim urzędem, wyglądał jak roztargniony nauczyciel szkoły powszechnej. Po kilku godzinach na farmie Budic'ów przeobrażał się wszakże w podnieconego intelektualistę o gwałtownym słownictwie, szerokich gestach i dużej wylewności uczuć. Urodzony z matki Irlandki, po wczesnej śmierci ojca, przyjął katolicyzm. Być katolikiem stało się jego karierą i najwyższą ambicją. Wychowanek Downside (szkoła prowadzona przez Benedyktynów) swój pobyt w Oxfordzie, i w ogóle na świecie, traktował jak misję u pogan. Nie wiadomo czy przez pietyzm dla pamięci ojca — protestanckiego rygorysty, czy przez nerwową obawę narażenia się jego duchowi, czy też przez ciekawość bardziej luźnych form życia, za teren apostolstwa najchętniej obierał środowiska nie protestanckie, takie, gdzie religia była w zaniku, albo przybierała formy nieortodoksyjne, podobne raczej do marzeń, niż dogmatów. Magdalen College, pełen estetyzujących agnostyków, kontynuatorów Wilde'owskiej tradycji, a także różnych bohemiańskich filozofów, anarchistów, cudzoziemców, bogatych play-boys'ów, wyznawców Erosa i wszelkiej narkozy — stanowił idealną dżunglę dla łowcy dusz. Nie będąc stypendystą, Tony — inwalida 2-giej wojny światowej w randze porucznika Irish Guards — poczuwał się do całkowitej swobody szafo-

wania czasem i pieniędzmi. Cel bowiem w tym wypadku dosłownie uświęcał środki. Wbrew temu, czego się po nim spodziewano, działalność swoją na czwartkowych turniejach wymowy w Oxford-Union, w Klubie Konserwatywnym, a nawet w Tow. Kardynała Newmana, ograniczył do rzadkich, zdawkowych wystąpień. Atmosfera wszystkich tych zrzeszeń wydawała mu się za chłodna. Nie czuł w sobie dość ognia, by ją rozpłomienić, nawracanie rozsądnych na mistycyzm odkładał do czasu, kiedy sam będzie już gorzał triumfami nad ziemską ułudą. Narazie żerował na „parties" u wdów po kontynentalnych mężach stanu, albo w pracowniach malarek ze Slade School, w barze Play House'u między aktorami i na wieczornych pogawędkach u kolegów w Old Buildings.

Zdenka Budić, Niki i Karol — takie były ofiary, które sobie na łowach upatrzył. Z początku najbardziej pociągał go Niki cynicznym humorem, za którym Kester podejrzewał skarb niewygasłych buntów. Ale wkrótce odkrył, że cienie i światła w oczach pięknego Greka, jego demoniczne uśmiechy i natchnione zadumy, jeśli wynikały z walk wewnętrznych, to raczej między hormonami, czy genami, niż między aniołem a diabłem. Okazało się po wielokroć, że Niki, głosząc krańcowy oportunizm, bynajmniej nie szydził z ludzkości, ani nie pastwił się nad własną duszą, tylko z prostotą dziecka mówił swoją prawdę. Był rozsądny bez wstydu i bez odwołania do instancji publicznych: był właściwie lewantyńską karykaturą tego, co Tony uważał za typową małoduszność brytyjską. Straciwszy nadzieję na wybuch pasji Nika, Kester, aczkolwiek zawsze pod urokiem jego ciemnych spojrzeń, zwrócił się z kolei po zapał do Zdenki. Tu gra wynikła trudniejsza. Za mało miał doświadczenia, by odróżnić kiedy wysoka temperatura tyrad pochodziła z zapalczywego sumienia, kiedy ze zwykłej panieńskiej gorączki, a kiedy z tej smutnej złości, która nurtuje ubogie narody zarówno jak ludzi ubogich. Zdenka niewątpliwie była patriotką jugosłowiańską, co prowadziło do stałej irytacji na matkę Greczynkę i — w stopniu znacznie wyższym — na możnych tego świata, dla których los Słowenii, czy Serbii stanowił nieważną dygresję na marginesie własnych dziejów. Tony pragnął sprowadzić jej uczuciowość na grunt metafizycznej spójni istot tęskniących do Boga, ażeby samemu ogrzać się w tym cieple. Ale Zdenka nie ufała abstrakcjom. Ku zgryzocie Kestera, paliła się do wniosków politycznych, których idealizm wyraźnie pokrywał interes jej słabego kraju.

Anthony Kester nie uważał Polski za kraj słaby. Uważał ją za kraj chronicznie źle rządzony, zamieszkały przez fantastów, którzy postanowili swoją historię budować na przekór ogólnie uznanym zasadom fizycznej i moralnej równowagi. Jaka była polska zasada równowagi, Tony nie próbował dedukować z faktów geograficznych, czy gospodarczych. Zafascynowany Janem Sobieskim, powstaniami, kultem romantycznych poetów, wreszcie sławą „narodu bez Quislinga", wolał wierzyć, że sekret tej przedziwnej postawy leży w formule magicznej katolicyzmu, wiadomej tylko najbardziej wtajemniczonym. Na tę magiczną formułę liczył, jako na broń przyszłości. Broń przeciwko anglosaskiemu ospalstwu, rosyjskiej barbarii i niemieckiej pysze. Każdy Polak był dla niego przede wszystkim „masonem" katolickim wysokiego stopnia, wypróbowanym przez niebo i piekło. Tymczasem Polacy, których witał w charakterze duchowego krewnego, niezmiernie rzadko zdradzali gorliwość katolicką. Informacje o nabożeństwach w Kaplicy przyjmowali obojętnie, ożywiając się dopiero, gdy wspominał, że i polski ksiądz czasami msze odprawia. Misjonarskich zapędów w stosunku do protestantów, niedowiarków, czy Żydów nie przejawiali. O papieżu mówili z przekąsem. Anthony nie zrażał się jednak: trudność kontaktu kładł na karb własnej niższości w hierarchii owieczek Piotrowych. Mimo, że pół-Irlandczyk, czuł się co najwyżej nawróconym apostatą. Karola pierwszy raz zobaczył w okolicznościach

symbolicznych; w kościele po komunii. Odszedłszy od Stołu Pańskiego, sunął skupiony w głąb nawy. Modlił się do Chrystusa o łaskę spotkania jakiejś zrozpaczonej duszy. Prosił, ażeby danym mu było tę duszę pocieszyć, a przez to umocnić własną wiarę. Wtedy właśnie wzrok jego padł na lotnika z naszywką Poland, z czarną przepaską na oku i z twarzą ściągniętą cierpieniem. Widać było od razu, że ból tego chudego, wysokiego chłopca nie płynie z choroby; w jego zdrowym oku, utkwionym w ołtarz, błyszczała obsesja zgoła nie fizyczna — jakieś żądanie uparte, czy też jakiś egzaltowany niedosyt, nie mający nic wspólnego z potrzebami ciała. Anthony ukląkł obok i ukorzył się w modlitwie dziękczynnej. Ale lotnik znikł już przed drugą Ewangelią. Jakaż była radość Kestera, kiedy przy lunch'u w Magdalen ujrzał go za swoim stołem! Niestety Karol okazał się młodzieńcem małomównym, zamkniętym w sobie, raczej żartobliwym. Tajemniczymi sposobami zyskał wkrótce popularność wśród bohemy, w Kaplicy nigdy więcej się nie pokazał, należenia do Newman's Society odmówił, na spacery chadzał w towarzystwie pewnego Hindusa. Jedyna okazja tropienia go i osaczania zdarzała się na farmie Budic'ów, ale tam znowu owa nimfa od prosiąt zdawała się go absorbować.

Tony z radości stracił dech w swoich postrzelanych piersiach, kiedy Karol, umieściwszy się koło niego w samochodzie, od razu zaczął gadać— poufały, ciepły, nagle bardzo bliski.

— Słusznie pan Zdence wypomniał, że pogoda kobiet angielskich umożliwia byt wielu rozbitkom na tej wyspie. One mają w sobie wspaniałą zgodę na życie wbrew wszystkiemu. I nie ubóstwiają słów tak po dziecinnemu, jak nasze kobiety. Jeżeli czasem mówią rzeczy, których same nie dość rozumieją, mają odwagę w pewnym momencie zapomnieć i żyć tak jak gdyby słów nie było.

Tony się zażenował.

— Hm. Właściwie ja może nie to miałem na myśli, broniąc Jane Austen. Bo na ogół wcale nie jestem za tym owczym witalizmem, do którego ostatecznie prowadzi protestantyzm w jego anglosaskiej odmianie.. Tylko, że w porze katastrof dobrze jest czasem pospacerować po parku, posłuchać beczenia owiec... Więc w końcu i „Mansfield Park" ma swoją rację bytu.

— Ależ ja naprawdę zaczynam lubić „Mansfield Park". Kto wie, może więcej, niż Riverside...

— Ach, to niedobrze! — Kester zamachał ramionami w przykrótkich rękawach — Tyle stojących wód w tych angielskich parkach... Po co to panu? Wszyscy powinniśmy płynąć z jakimś bystrym nurtem. A pan bardziej niż inni predestynowany jest do szybkości. Do lotu.

— Dlatego że lotnik?

— Nie. Że Polak.

— Wcale nie widać, żeby Polacy byli predestynowani do szybkości. Czy pan wie ile samochodów przypadało u nas na stu mieszkańców w r. 1938?

— Nie jestem ciekaw! Postęp techniczny aż nazbyt często pokrywa się ze stagnacją psychiczną. Pan chyba musiał nie raz o tym myśleć. Pan przecież umie... Przepraszam! Widziałem jak Pan się modlił... To nie była konwencjonalna modlitwa.

Anthony Kester, syn „drewnianego Jack'a", torysa i Wykehamisty, zbladł, popełniwszy tak straszny grzech przeciw dyskrecji. Ale Karol nie wyglądał dotknięty.

— Ach, widział pan! Więc powiem panu o co się modliłem: żebym mógł przestać wreszcie myśleć i śpieszyć się, żeby jakaś spokojna woda stanęła w poprzek mojej drogi na zawsze.

Powiedział to jednym tchem i urwał. I zbladł także.

Zamilkli. Anthony mimo to czuł, że jego „wielka okazja" trwa. Przekrzykując zatem łomot serca, nienaturalnie głośno zapytał:

— Czy uznanie pańskie dla angielskich kobiet wynika z przyjaźni dla Daphne? Czy naprawdę uważa ją pan za romantyczkę?

Karol nastroszył się.

— Ach, nie wiem! Przede wszystkim uważam ją za wspaniale zbudowaną dziewczynę. W jaki sposób córka rzeźnika może mieć takie nogi i taki spokój w sobie?

Jak koń z ostrogą w boku, Tony nieprzytomnie rwał naprzód.

— Pan się zdradza! Pan się ciągle zdradza... Panu nie chodzi o fizyczne wartości! Spokój nie ma nic wspólnego z budową ciała.

— Owszem, ma. Harmonia daje spokój. Skąd w takiej nieciekawej klasie społecznej — bez tradycji, bez majątku — tyle piękna i tyle spokoju?

Dosyć pyszny uśmieszek przewiał po twarzy Kestera.

— W Anglii nie ma klas społecznych bez tradycji i bez majątku. Pra-pradziad Daphne był już prawdopodobnie zamożnym i pięknym rzeźnikiem. Ale pański pra-pradziad, Karolu, był na pewno wojującym Polakiem i niezłomnym katolikiem. I to jest wyższe piękno.

— Może, może. Mój pradziad rzeczywiście bił się w jednym powstaniu, mój dziad w drugim, ojciec w Legionach Piłsudskiego, a ja... Mniejsza z tym. Katolikami, owszem, byli. Katolicyzm nie wiele im pomógł. Ja, proszę pana, lubiłem żeglarstwo i filologię klasyczną. Ja bym się może tym „niższym" pięknem zadowolił.

— Rozumiem pańską gorycz — Polska zawsze walczy sama. Jednak, kiedy ta dziewczyna spodobała się Panu, cóż to pan o niej powiedział? „Romantyczka". A przecież romantyzm jest zaprzeczeniem spokoju.

— Co za inkwizycja! Powiedziałem tak, bo w istocie zdaje mi się, że Daphne ma wysoce bezinteresowny i odważny stosunek do życia. Ale to jest inny romantyzm, niż w Polsce. On spokoju nie wyklucza. Czyż pacyfiści nie są romantykami?

— Tak, ale czy romantycy w Polsce mogą być pacyfistami? Czy może być pacyfistą człowiek osaczony przez diabły? Polska jest awangardą Wojującego Kościoła.

— Za wiele jest wojujących kościołów. Bolszewizm także jest wojującym kościołem. Hitleryzm także.

— Niechże pacyfiści nie pomagają kościołom szatana. Daphne nie przez to im pomaga, że, zamiast zastępować, czy pielęgnować żołnierzy, karmi ich. Ale przez to, że zamyka oczy na zło, na ciemność, zatopiona w mirażu swojej aseptycznej „konstrukcji". Jakże można budować na bagnie, czy na pustce, albo wśród drapieżnych zwierząt? Trzeba najpierw wywalczyć świat, w którym można mieszkać.

— Dobrze. Wywalczyć. Ale jak? Czy można wywalczyć dobry świat bombami i gazami? — Roześmiał się — Dziwnie to brzmi, że ja, polski dzikus, chroniczny powstaniec, człowiek leśny, pytam o to angielskiego lorda.

Anthony nerwowo splótł dłonie. Znużenie wydłużyło mu rysy, w oczach błyszczał upór. Zwrócił się całym ciałem w stronę Karola, dotknął jego ramienia.

— Czyż nie jesteśmy obaj katolikami? — mówił teraz cicho, zdyszany. — Co wobec tego znaczą wszelkie różnice... Zgadzam się z panem, że nie należy przeceniać słów. Ja nie to panu powiedziałem, co chciałem. A pan nie zechciał, czy nie mógł, powiedzieć mi tego co czuje. Nic nie szkodzi. Są lepsze między ludźmi środki porozumienia, niż słowo. My się porozumiemy kiedyś.

Cofnął rękę i zesztywniał. Karol gwizdał. Wjechali na most. Rzeka Shelley'a, bezsłoneczna Cherwell, matowa jak oczy Daphne, płynęła pod nim ku soczystym łąkom .Przed bramą Magdalen, pożegnawszy szofera, Tony stanął.

— Karolu — rzekł — Nie łudź się. W tym kraju spokój jest tylko na twarzach. W sercach nie ma go.

* * *

Pogwizdując ciągle, Karol szedł krużgankiem starego dziedzińca w stronę schodów. Był dzień pralni i na kamiennej posadzce przed drzwiami, prowadzącymi do mieszkalnych pokojów studenckich, leżały tobołki brudnej bielizny. Wyglądało to, jak gdyby pobożni pielgrzymi przed wejściem za progi klasztorne, pozostawiali na ziemi swoje doczesności, by do nich wrócić niebawem i iść w dalszą drogę. Sklepiony krużganek był mroczny, pełen ech, za to kwadrat trawnika, ujęty w arkady, jarzył się szklistą zielenią. Kapitele niskich kolumn przedstawiały zwierzęta i ludzi. Ludzie tańczyli hieratyczną sarabandę, zwierzęta ziały ogniem, lub korzyły się przed świętymi. Poprzez zmysłowość Elżbietańskiego świata przezierał blask wrogiej, mistycznej Kastylii. Karol westchnął i spojrzał na zegarek. Robiło się późno. Do kolacji wprawdzie zostawało jeszcze 20 minut na przebranie się, ale Daphne miała przyjechać za półtorej godziny; należało przed tym wystarać się wśród malarskich i aktorskich przyjaciół o klucz, dający wstęp do niezakłóconej nocy we dwoje. Sprawa nie należała do najprostszych. Karol postanowił nie schodzić na kolację, tylko wrzucić walizkę do pokoju i prędko biec na miasto. W kilku susach znalazł się na piętrze i ze zwykłą satysfakcją otworzył swój „apartament". Jego sitting-room nie wyglądał tak ładnie, jak saloniki angielskich studentów, ozdobione własnymi obrazami i meblami. Ale stary komin i głębokie wnęki okienne nadawały wnętrzu charakter, jaki lubił. Lubił także widok z okna na drzewa, na wąski pas zieleni nad rzeką i na mur ogrodowy. Jednak tym razem nie zbliżył się do okna. „You are cruel, cruel!"— słyszał ciągle głęboki, piersiowy okrzyk Daphne, tak niesamowity u tej zrównoważonej dziewczyny. Niepokoił się i triumfował na przemiany. Nie miał żadnego projektu, co począć z jej nowym (a może już dawnym?) uczuciem. O czym ją zapewnić? Co przyrzec? Jak jutro rano się rozstać? Te sprawy czekały gdzieś poza obrębem woli, nie chciał o nich myśleć. Nie chciał również czerpać natchnienia z żadnych spraw uprzednich. Jedyne, czemu pozwalał panoszyć się niepodzielnie, to żądzy odpoczynku. Ciało Daphne, jej głos, to coś najdziwniejszego na świecie co ona z pewnością powie, te nieznajome tajemnicze ruchy, które wykona w jakiejś chwili, niczym magiczne zaklęcie — to miał być koniec. I to miał być początek. Głód śmierci, głód powtórnych narodzin prześladował Karola. „Co ja jej dam? — stanął raptem jak wryty. — Trzeba coś dać na pamiątkę".

Rozejrzał się po pokoju... Na stołku leżała waliza, a w niej przeszłość. Odwrócił wzrok. Potem przemógł się i podniósł wieko. „Dam jej moją lyońską jedwabną chusteczkę". I z powrotem zatrzasnął walizę, nie sięgnąwszy do wnętrza. Siadł koło komina. „Nie trzeba żadnych pamiątek. Z czasem weźmie sobie sama co zechce". Ktoś zastukał do drzwi... Karol nie odezwał się, „Muszę już iść — zdecydował — Gdzie papierosy?" Szybko podszedł do biurka. Na biurku bielał list... Pismo wydało się znajome. Odwrócił kopertę: Sent by Zofia N-ska. Serce szarpnęło się, spokój pierzchł. Wziął list i wrócił przed komin. „Dlaczego akurat dziś, dlaczego teraz?" — żal nim zatrząsł. „Może to jednak nic... Może tylko znak życia".

Zofia stanęła przed nim, jak żywa. Nie rudzińska — pośród kwiatów, przyjaciół i psów, nie warszawska — primadonna, i nie londyńska — w tanim pensjonacie roztargniona, zgaszona kobieta, tylko taka, jaką spotkał po raz pierwszy czasu wojny. Pochłonięta przez paryską wiosnę, wdychająca pełną piersią zapachy, które dla niej znaczyły jeszcze ciągle „Soir de Paris", czy „L'heure bleue", a dla niego były żałobnym kadzidłem.

Kazała mu przyjść na Montparnasse, gdzie od hiszpańskich emigrantów wynajęła na 8-ym piętrze wspaniałe studio. Przed wieczorem na balkonie pokazywała mu panoramę miasta: „Widzisz tę kopułę, tę co tak błyszczy w słońcu? To Dome des Invalides. Eiffla oczywiście poznajesz. Powąchaj! Coś prześlicznie pachnie... Idiotka Zuzia nie chciała z Warszawy wyjechać!” Był maj, miesiąc kapeluszy i vernissage’ów, miesiąc końskiej i damskiej parady w Auteuil i rybołóstwa nad Sekwaną. Nic z tego, co po dwudziestu paru latach przerwy działo się znowu nad Mozą, a nawet drugi Sedan i huk — coraz bliższy — armat, nic, ani belgijscy na wpół martwi uchodźcy, ani bomby, nic nie mogło zaćmić kapeluszy i słowika. Zofia uczyła się nowych pieśni, do biur polskich chodziła tylko po nowiny od przyjaciół „którzy byli idioci i nie chcieli wyjechać”. O wojnie mówiła, jak o żenującej pomyłce losu, wybuchu absurdalnym ciemnych sił — rzeczy, o której ludzie z jakim takim smakiem winni starać się wiedzieć jak najmniej. „Czy byłeś na wystawie Chagall’a na rue Bonaparte?”—spytała. Patrzył na nią wtedy i myślał: tak więc wygląda kobieta cywilizowana w godzinach zagłady jej cywilizacji. Jakże zawodnym instrumentem jest intuicja artystów!

Zaczął powoli rozcinać kopertę... „Ciekaw jestem jaką ona teraz wystawę zaleca mi oglądać... W każdym razie, jeśli chodzi o czas, kiedy ta epistoła mnie dosięga, intuicja znów płata straszne figle”.

Epistoła była krótka: „Kochany Karolu. O sobie nie piszę. Nie ma co. Załączam list Zuzi. — Chyba pierwszy w Anglii? Serdeczności”. Trzymał w palcach dwie kartki, z których jedna kupiona była w Warszawie na Marszałkowskiej, czy na Kruczej i zamaszyście podpisana: Zuzia.

* * *

Ukryta w głębi pustawego wozu, Daphne, zbliżając się do dworca autobusów w Oxfordzie, z uwagą patrzyła na mrok coraz gęstszy za szybą. Z tej ciemności wyłoni się Charlie, weźmie ją pod rękę i poprowadzi w noc nieuniknioną, jak bieg czasu. Daphne lubiła dzień. Noc nigdy nie budziła w niej marzeń, tylko strach. Ciepłe wieczory letnie, kiedy starsze siostry przepadały w krzakach, albo jak lunatyczki wpatrywały się w księżyc, a ona daremnie wołała: „Elsie, Melly, where are you?” — pozostały w jej odczuwaniu na zawsze porą podejrzaną, pełną zasadzek i złości. Odkąd dorosła, konieczność sprostania sprawom nocy wydawała się jednym z najcięższych musów życia. Blackout, który zapadł nad krajem wraz z wojną przyczynił się do sformułowania pacyfistycznych zasad Daphne. „Dlatego, że jacyś Polacy nie zechcieli oddać Niemcom jakiegoś Gdańska —myślała — tyle miast musiało pogrążyć się w ciemność”. I nie cierpiała Polaków. Ale mężczyźni, których poznawała w czasie wojny, lubili noc bez względu na to, czy sprzyjali Polakom. Prawie wszyscy ci, co w jakikolwiek sposób byli zajmujący, kończyli rozmowy propozycjami spotkania się wieczorem; usiłowali pociągnąć ją za sobą w godziny czarne, w kąty odludne, w uczucia bez nazwy. Na dancingach i na farmach, w domu i w polu Daphne czuła, jak krąg nocy zaciska się coraz szczelniej. Próbowała nie rozumieć wielu gestów i słów — w końcu jednak mrok stanął przed nią murem tak wysokim, że zrezygnowała. I wtedy zaczęła czekać na swój los, jak się czeka na zapalenie płuc, stwierdziwszy wysoką gorączkę.

Karol — mimo że Polak — nie wzbudził w niej obaw. Widywali się przy dziennych „konstruktywnych” zajęciach, milczeli bez niepokoju, rozmawiali bez roztargnienia. Karol opowiadał o Polsce rzeczy dalekie zarówno od Gdańska, wojny, jak i erotyzmu. Dość nowe na to, by słuchać pilnie i dość obce, by nie popadać w nastroje. Sam przy tym wyglądał zasłuchany w jakieś podskórne nurty, co czyniło zeń człowieka niemal starego, czy też chorego może.

Daphne niezmiernie zdziwiła się sobie, że po pewnym czasie czekanie na los zmieniło się w czekanie na Karola: na to, żeby on przestał mówić o Polsce, a natomiast odsłonił jeden z tych swoich podskórnych nurtów. Pocałunek bynajmniej jej nie przeraził. Zaraz później jednak strach przed nocą przemógł znowu ciekawość. „Nie, nie, bądźmy przyjaciółmi" — powiedziała. Tymczasem właśnie noce obróciły się przeciw przyjaźni. Daphne zaczęła źle sypiać. „Jaki on jest naprawdę?" — to pytanie w samotności rozrastało się w setki pytań, dotyczących nie tylko psychiki, ale i ciała. Niektóre spojrzenia, czy nuty w głosie Karola wracały jak refreny — rozbrajające i obsesjonalne. Pewnej godziny nad ranem Daphne siadła na łóżku, usiłując wyobrazić sobie, co by było, gdyby Karol wszedł teraz i siadł obok. Gdyby znowu otoczył ją ramieniem... Czy noc od tego zrobiłaby się straszniejsza? Z najwyższym zdumieniem stwierdziła, że jej głowa już kłoni się na ramię nieobecnego, że słodycz i spokój spływają z samej myśli o Karolu i że dopiero gdyby on trzymał ją w uścisku, strachy nocne straciłyby wszelką siłę. Nazajutrz powiedziała Karolowi: „Ja się zdecydowałam". Niezrozumiały jego gniew zaskoczył ją, jak zmiana pogody, ale tak samo jak zła pogoda, nie wpłynął na usposobienie. „Widocznie wyraziłam się nieodpowiednio — pomyślała — polskie dziewczyny widocznie inaczej to mówią". Postanowiła rzeczywiście poczekać i przy okazji wyrazić się lepiej. Kiedy po owej dyskusji o Jane Austen, Karol tak zamaszyście wszedł do szklarni, jego waleczne czyny, świetne wyniki egzaminów, zręczność ogrodnicza — wszystko to teraz otoczyło go niezwykłym blaskiem. Na pytanie „czy chcesz żebym się z tobą ożenił" odpowiedziała „nie", bo nie uważała miłości za szczęśliwy przyczynek do małżeństwa. Przecież nie małżeństwo w tym wypadku było ważne — ważne było, aby Karol, właśnie on, nie kto inny, pomógł jej rozprawić się z nocą. Ale Karol zaczął szydzić, przypomniał „konstrukcję"... Tu już sił zabrakło na spokój. Bo jakże wypowiedzieć słowami, że noc, *tylko* noc mąciła konstrukcję jej świata? Na szczęście Karol szybko od szyderstwa przeszedł znów do czułości i poprosił, żeby przyjechała wieczorem.

Autobus stanie zaraz. Nieliczni podróżni wysiądą na plac zasnuty drobnym deszczem i ciemnością, ale tylko po Daphne wyciągną się ręce Charlie. Wyskoczyła i zaczęła rozglądać się w mroku. Pusto było. Wkrótce dojrzała wszakże znajomą sylwetkę w płaszczu nieprzemakalnym: Karol stał w progu dworca. Podeszła do niego. „Charlie!" Spróbował uśmiechnąć się—nie mógł. „Co się stało?" — spytała. Wziął ją delikatnie za łokieć i skierował w stronę ulicy. Szli, milcząc. Niepokój Daphne, więcej niż niepokój: zgroza podnosiła się coraz wyżej w głębi wnętrzności ku piersiom i gardłu. „Mów coś wreszcie!" — krzyknęła tak ostro, że jakiś przechodzeń obrócił się. Stanęli. Karol poruszył wargami. Po kilku daremnych usiłowaniach powiedział: „Dużo się zmieniło... Przebacz mi". „Czy mam zaraz odjechać?" — „Nie. Chodź ze mną. Muszę ci wszystko wyjaśnić".

Klucz zgrzytnął w zamku, znaleźli się w dużym, nieporządnym pokoju pełnym pustych ram, zakurzonych draperii, pędzli w blaszankach, stalug, bezgłowych aktów na blejtramach i zapachu farby. Goła żarówka pod sufitem dawała mocne światło. Siedli na tapczanie, nie rozbierając się z płaszczów, Karol położył rękę na zimnych dłoniach Daphne. „Pamiętasz, że spytałem ciebie, czy chcesz, żebym się z tobą ożenił — zaczął z trudem. — To było ważne pytanie. Bo ja nie jestem wolny. Miałem... nie, ja mam narzeczoną w Polsce". Daphne nie cofnęła dłoni. „Nie mówiłem ci o tym, bo to rzecz bolesna. Ja bardzo tę dziewczynę (jej imię jest Zuzia)... ja ją bardzo kochałem". — „Czy już jej nie kochasz?" Spuścił głowę. „Nie wiem. Ale dostałem dzisiaj od niej list. Leżał na biurku, kiedy wróciłem z Riverside". Sięgnął do kieszeni. „To jest ten list". Wyciągnął go przed siebie na odległość ramienia, jak rzecz, w której istnienie

trudno wierzyć. „O, ta kartka przyszła tutaj z Warszawy. Z miasta, gdzie ludzie żyją pod ziemią. Słyszałaś o Underground Movement?... Opowiadałem ci. Zuzia żyje pod ziemią. W wiecznej nocy. W strachu. Pod ziemią żyją ludzie, którzy ukryli przed wrogami i przechowują Polskę; myśli, uczucia, przeszłość i przyszłość. Zuzia pisze: „To tylko możemy zrobić, żeby przetrwać”. Ty nie możesz tego zrozumieć. Dla ciebie *przetrwać* znaczy nie dać się znudzić i zniechęcić zmianami pogody, chorobami zwierząt i roślin, lenistwem współpracowników, tępotą przełożonych. Chyba tak? Może jeszcze: nie poddać się byle jakiemu mężczyźnie, zachować krytycyzm wobec własnego rządu i własnej rodziny... Wobec mieszczańskiej moralności, czy wobec religii. Nieprawdaż, kochanie? Ale Zuzia. Dla Zuzi *przetrwać* znaczy pogrążyć się w noc na piękne lata młodości. Znaczy co chwila grać życiem. Narażać się na tortury. Wychodzić i nigdy nie być pewną powrotu. I milczeć. I nie płakać po nocach. Pod ziemią głęboko odbierać rozkazy bezimiennych osób, przekradać się do nieznajomych miejsc, powtarzać niezrozumiałe słowa, wszystko pamiętać i o wszystkim zapominać na rozkaz. „Westchnął ciężko.” Ja już nie potrafiłbym narysować twarzy Zuzi... Ale ją znam. Ja wiem, że ona tak właśnie tam trwa — tam, skąd ten list przychodzi. Ona się pyta: gdzie Karol? I czy wy bardzo dziwni teraz jesteście? Tak; jesteśmy bardzo dziwni! Tak dziwni, że często nie mamy już siły pamiętać”...

Urwał. „Papierosa”? Zapalili. Zaczął chodzić po pracowni. Land girl chrząknęła. Jej głos był zachrypnięty i niski, kiedy powiedziała: „Ale ty przecież nie możesz być z nią w tej okropnej ciemności”... Karol stanął. Rzucił papierosa i zadeptał. „Nie mogę? O tak, mogę. Jutro wrócę do eskadry. Ciemność jest tak samo okropna pod ziemią i w powietrzu”. Daphne wstawała powoli. Wtedy podszedł i oparł czoło na jej ramieniu.

BOGUMIŁ ANDRZEJEWSKI

POCIĄG SANITARNY

Zaczarowanym kołem
napęczniałe słońce wieczorne
posiekę wiekuistą otacza
liście lipy zapala więdnące w chwale
[przygasłej
niezliczone twarze rzeszy traw
[rozjaśnia
i wydłuża ogromne cienie pszczele
nad łąkami.

Opętane obłędem obowiązku
pracowite owady powracają do uli
ze słoikami miodu
z napisem: „Prawdziwy miód
pszczeli”.

Posłuszny kret zatacza regularne
kolisko
pod ziemią, wzdłuż rzutu linii,
którą mu promieniami nocy w
[powietrzu
nakreślił nietoperz-filozof,
aby zmiękczyć serce ziemi.

Chude, nagie dżdżownice
trzęsą się z zimna:
ziemia stygnie i pachnie
wonią roślin i zwierząt
w przeczuciu katastrofy.

W szale żądliwych ukąszeń
kudłaty niedźwiedź
ze śmiechem na kłach
otoczonych oparami paszczy
bezszelestnie
przewraca domostwa słomianej
[pasieki.

Trud pszczeli — krwawica owadów
cieknie na grunt podmokły,
gęsty wosk płynie strumieniem
ku stawom bezdennym w dolinach.
— Umierają pszczoły po zachodzie
[słońca,
kwiaty uciekają
przestraszone śmiercią miodową
do miast dalekich

do cieplarni z tęczowego kryształu,
by uniknąć wojny chmur,
co czyhają na granicy lasu.

* * *

Od pól ruszył pociąg sanitarny.

W brzuchu lokomotywy
wrze ślepa moc ogni śmiertelnych.
Maszynista nie ma twarzy
— potwór rzucający bryły węgla
na pożarcie rozdziawionym
[zegarom,
bezwiednie
z wyższego rozkazu,
pewny, że klapa bezpieczeństwa
[nigdy nie zawodzi
i że dusza ludzka nigdy nie umiera.

W szynach, wiatrem
wieje poszum trąb bitewnych
— chłód wiejący prosto
w wydrążony przewód kości
[pacierzowej
rozbitej wybuchem nienawiści.

Pociąg mija miasto we śnie.

Noc, histeryczna, samotna kobieta,
której nikt kochać nie pragnie,
szydełkami na drutach wyszywa
swetry — tylko z jednym rękawem
chusty wełniane dla porażonych
[żelazem,
miękkie szale
na opuchłe przestrzelone gardła,
i wesołe, kolorowe czapeczki dla
[wariatów.

Rytmicznie
na podłodze
chwieją się nocniki szpitalne
— naczynia osobliwego w młodości
[niedołęstwa
— talerze głębokie, na które spływa
posoka haniebnie powykręcanych
[jelit.

W żywej czaszce podróżuje
ołowiana kulka,
pocieszny kawałek metalu,
którym mogłaby się bawić
dziatwa podmiejska — istoty
[maleńkie —
grzebiące w śmierdzących
[śmietnikach.

W osiach wagonów
miarowo
bezsens istnienia
wystukuje rozpaczliwe depesze
szyfrem, którego nikt nie potrafi
[odczytać,
— nawet w laboratoriach wywiadu.

* * *

Krzyż czerwony nie zasłoni
bolesnych kurczów w poszarpanym
[ciele
nie stłumi jęku w gardle
szeroko otwartym i nie wytłumaczy,
że tak trzeba.

Białe bandaże nie zamaskują krwi
— bo ona przez bandaże się
[przesączy
przez ściany wagonów przeniknie
na szynach, na peronach się rozleje
i zaschnie płaczem zdławionym;
powiekom nie pozwoli
zamknąć się w przerażeniu.

Przyjacielu, co czekasz na dworcu
w bezbronnym, zabawnym
[kapeluszu z blachy
na głowie,
nie ufaj śmiesznym zawodzeniom
trąb i werbli,
nie wierz w warkot wiatraków
[sztandarnych
— bo rzeczy nieżywe czczą tylko
[bałwochwalcy.

— Wyświadcz nam lepiej
[chrześcijańską
przysługę:

Rzuć się pod pociąg sanitarny,
abyśmy dzisiaj mogli
spokojnie zjeść wieczerzę
i usnąć bardzo spokojnie.

BALLADA O KAŁUŻY

pod groźbą dni czyhających
[w zanadrzu
przez całe miasto ciągną się
rynsztoki
— rynsztokami płynie czarna woda.
pod domem wysoko-piennym
pachnącym stęchłą wonią
kwaszonej kapusty i pralni
po spazmatycznym deszczu
na brzegu od dawna skamieniałej
[jezdni
rozlała się brudna kałuża.

Omijają kałużę eleganckie pantofle
i podróżne niezdarne kalosze
zatrzymują się nad jej brzegiem
bose odnóża zziębnięte,
kauczukowe koła silników
czasami świszczą w obwodzie
i chorowite dziecko
pyta siwego konia:
„czy można dobiec do nieba,
pełzając na palcach podków".

padają kółka deszczu
zachodzą jedno na drugie
— wykresy szarugi jesiennej
legenda odwieczna o falach
uderzają zimne krople
w zazębiony, stary parasol,
rękojeść drży w ręce omszałej
[staruszki:
„jak daleko jeszcze do domu?"
— a w trzewikach bulgoce lodowata
[woda.

chodnikiem idzie chłopak,
przygląda się wystawom
— sklepom malowanym w gorączce.
niesie w piersi puszystą gruźlicę
— skórę sprzeda kuśnierzowi
na futro dla pani seledynowej,
— prawdziwe futro
z prawdziwych gruźlic
na bal,
i nie odda pieniędzy matce.

kupi sobie kolorową książeczkę.
— przewodnik po tamtym świecie
(specjalne wydanie dla dzieci)
— baśń spleśniałą o chmurach
pierzastych,
o sztucznych zębach demona,
o siedmiu elektronach,
o królewnie śpiącej w okopach...
i śnić będzie nim kaszel go zbudzi
[na zawsze.

nad ranem, człowiek bezsenny
po nocy narad wśród książek
obszedł wokoło miasto,
(opierał się w zmęczeniu
o zardzewiałą poręcz horyzontu)
i wodząc kosturem
po pustej linii tęczy wygasłej
wiatr wzbudził
w rozwleczonej, pajęczej
antenie przedświtu.

Na wietrze marszczy się kałuża
i schnie.
A na ulicy
od wyschłej wyrwy w jezdni,
przez most
ku ogromnej fabryce,
gdzie bracia
w codziennych jasnych
[warsztatach,
twardo podkuty dudni świt.

SEN O ZIEMI NASZEJ

z łomotów pancernych
z ognistych rozdziewień
rozpala się popiół pożogą uderzeń
pod dachem tynk świszcze
i lampa się huśta
w okręcie rozbitych balkonów:
niech obraz wystawią
święcony gromnicznie —

na próżno ten obraz
— bo wpełza na świtu struchlałe
[rozstaje
wygasła przyśnica przydrożna
— na ściany opuchłe
w robactwie bezdomnym
na chleba kawał spowity w
[pieluszki.

zapędziły jadowite zioła
słoneczną rzeszę w jasyr wytępień
kwiaty oplotły żywopłot z kamieni:
róże pąsowe
— cierniami o mur

kopytom zmęczonym
— kolce głogowe,
nóż w zęby, dłoniom
— maczugą zbójecką

witali ich kiedyś żurawie
[studzienni
i wiadra dzwoniły na gody wśród
[traw
teraz jęk dudni w kazamatach
[ziemi
powstańczo, zawiślnie, pieczarnie

prawdzie bezbronnej
ubogie męczeńskie świadectwo
pisane żywcem ostrzem pawich
[piór
i purpurowym atramentem
[pulsujących tętnic.

tylko krety — szczury niewidome
wiedzą w kopalniach robaczywych
ile żyć się przelało przez rzeki
[podskórne:

strumienie pod glebą
gliniaste wody opoczne
w otchłań pustych zapomnień
bezdźwięcznie.

zakopana bezimiennie po zmarłych
broń rdzewieje znużona
przeżarta dławicą pleśniejących kul:
a przecież tak niedawno
konie rżały o szyby
na lancach wydłużonych karków
[grzywiastych
czołgiemu żelaztwu
chorągwią przed ślepia
boleśnie
w jelita
szarpiącym kąsaniem gąsienic

pola przeorane, ostre bruzdy,
zmarszczki na zawsze
na obliczu posiekanej gleby
lemieszem armatnim
i kosą pożarów dni wrogich.

elektrycznym oparem
łąka leśmienna oddycha:
— bocian ogromny
pęczniejące pioruny
łapą rozstawną
wciska przemocą pod moczar
by jeszcze przed burzą
wykluły się małe
skorupne pisklęta na strzesze.

mnie z tej wioski
rzuconej pod przemarsz
zdeptanej szturmami ze stali
psy wyją węgiełne
oślepłe wśród głowni.
przez lądy się sączy
psi skowyt z rozbicia
przez wodę przenika
z prądami ratunku
i nocą
gdy trudno wierzyć obcej ciszy
przemienia się w szmery pod
w chrapanie odległe [progiem
— potworny sen ziemi.

STEFAN THEMERSON

GUSŁA HOMEOPATYCZNE

Strofa

Wielki Szczurze! Mały Szczurze!
Oto mój mały mleczny kieł,
weź go i daj mi twój żelazny ząb!
Proszę Cię, daj mi twój żelazny ząb!

Wielki Szczurze! Mały Szczurze!
Oto są mleczne kwadry mych paznogci,
weź je i daj mi twe pazury!
Proszę Cię, daj mi twe pazury!

Wielki Szczurze! Mały Szczurze!
Oto ma mała mleczna hulajnoga,
weź ją i daj mi twój żelazny czołg!
Proszę Cię, daj mi twój żelazny czołg!

Wielki Szczurze! Mały Szczurze!
Ty, który rządzisz światem,
ty, który rządzisz ziemią,
kulaną przez skarabeusze,
weź z moich rąk pędzel i pióro i abakus i dłóto i pistolet
i daj mi twój żelazny dogmat,
PROSZĘ CIĘ, DAJ MI TWÓJ ŻELAZNY DOGMAT!

Antystrofa

Wielki Szczurze! Mały Szczurze!
Oto zwapniała pięść, bębniąca w nawie mej piersi,
weź ją i oddaj mi moje mleczne, mięsiste serce!
Proszę Cię, oddaj mi moje mleczne, mięsiste serce!

Wielki Szczurze! Mały Szczurze!
Ty, który rządzisz światem,
ty, który rządzisz ziemią,
kulaną przez skarabeusze,
weź z moich ust i uszu rdzę dekalogu propagand
i oddaj mi słowo: MATKA,
młodzieńcze, mleczne i moje,
PROSZĘ CIĘ, ODDAJ TO SŁOWO!

Epod

Weź wosku z pszczelego ula,
w cieple dłoni go miękcz i utulaj
i lep kukłę.

A potem przebij jej oko
i już Hitler ślepy na jedno oko.
A potem przekłuj wątrobę
i już Hitler stoi nad grobem.
A potem zakop na ścieżce (tam gdzie chadza) pod Berchtesgaden
i już Hitler pożarty gadem.

Zaczem weź drugą garść ciepłą
i dech w nią tchnij własny i lep ją
i formuj figurę nową.

Wdół głową ją zawieś nad lampą
i mów: TO NIE WOSK SIĘ TOPI
A WĄTROBA I SERCE I ŻÓŁĆ MOICH WŁASNYCH
[HITLERÓW SIĘ TOPI.

Przez siedem nocy z rzędu
czyń tak a zczezną i zwiędną.

Zaś nie bój się krwi ich, że klątwą
na twoją głowę upadnie
i wołaj: TAK! JA ICH GRZEBIĘ
A NIE ARCHANIOŁ GABRJEL.

PRZYPISY: do STROFY: z ą b:—Plemię wyspy Raratoga na Pacyfiku:—„*Wielki Szczurze, Mały Szczurze, Oto mój stary ząb, proszę cię daj mi nowy ząb!*" Plemię germańskie ze środkowej Europy, XXwiek (wrzucając do mysiej dziury ząb, wyrwany przez dentystę): — „*Myszko, daj mi twój żelazny ząb, a ja ci dam mój ząb z kości*".

do EPODU: k u k ł a :— patrz zwyczaje starożytnych Indyj, Babilonu, Egiptu, Grecji i Rzymu oraz dzisiejsze Australii, Afryki, Szkocji, Indian Płn. Ameryki (Ojebway), Peru, Malajów; — k l ą t w a : — „*Replying to the Pope's recent message in which he counselled that Londoners should show Christian sentiments of charity, forgiveness and mercy towards the Germans, the Bishop of Chelmsford (Dr. Henry Willson) declares in the 'Chelmsford Diocesan Chronicle' to-day*: "*It is difficult to remember one single word from the Pope in condemnation of the Nazis when they swept London with destruction... If it is contrary to the Christian religion to punish evildoers, then all law courts and police forces should at once be brought to an end in a country which claims to be Christian*" ("Evening Standard", September 20, 1944). — A r c h a n i o ł G a b r i e l : — Malaje, po czarach nad kukłą, albo po popełnieniu bezpośredniego zabójstwa, aby przerzucić odpowiedzialność z siebie na kogo innego, mówią: „*To nie ja go grzebię. To Gabriel grzebie go!*".

STEFANIA ZAHORSKA

SMOCZA 13

Dramat w trzech aktach

AKT II

Piwnica. Na wprost schodki, wejście do piwnicy. Na prawo od schodów drzwi, wejście do drugiej piwnicy. Obok kufer i kupa rupieci. Na lewo przesłonięte okienko. Na środku stół, na nim krzesło, na krześle skrzynka zecerska. Kluger (lat około 30-tu, chudy, w okularach), stoi przed skrzynką i składa. Tekst oparty o poręcz krzesła, zsuwa się co chwila. Przy drugim końcu stołu siedzi Mały, przed stosem papierów i gazet, które przerzuca nerwowymi ruchami. Przez otwarte drzwi drugiej piwnicy dochodzi rytmiczny stukot prasy drukarskiej. Pali się zawieszona u sufitu żarówka.

KLUGER (*mruczy pod nosem*) g h e t t o j e s t, c z ę ś c i ą f r o n t u w o j e n n e g o... To ręczne składanie jest do diabła.

MAŁY (*nuci i wystukuje tekst ołówkiem*).

KLUGER Nie rób hałasu. Nie śpiewaj. Nie śpiewaj.

MAŁY Uczepiło mi się.

KLUGER W a l k a o w o l n o ś ć o d n ę d z y...

MAŁY Ty pamiętasz ten motyw z koncertu Szopena? (*gwiżdże i dyryguje ołówkiem*) Ciągle gra mi w głowie. Od tygodni.

KLUGER Słuchaj, ja jestem zmęczony. To jest trudna robota. (*gwałtownie*) Nie rozumiem, jak ty możesz myśleć jeszcze o muzyce.

MAŁY Ty nie chwytasz związku. Ty jesteś ciasny. To jest właśnie tragizm, że ja nie mogę się od tego uwolnić. Nie rozumiesz ? To jest stałe przeciwstawianie. Tragiczna pamięć...

KLUGER J e s t w s t ę p e m d o p r z e o b r a ż e ń... Mój drogi, przestań gadać.

MAŁY Powiedziałem, że jesteś ciasny. (*pisze, przykleja wycinki*) Będziesz musiał skrócić swój artykuł.

KLUGER Nie skrócę. Każde słowo jest ważne.

MAŁY To nie jest przekonywujące. Wszystko musiało przyjść, co przyszło. A do tego, że my musimy walczyć w ghecie. Jaka to logika? Ghetto też musiało przyjść?

KLUGER Napisz sam lepiej.

MAŁY Ja nie mogę na takie tematy.

KLUGER To nie krytykuj. Nie znasz się na tym. Ghetto jest akcydentem. Ale w zasadzie mogło przyjść. I przyszło.

MAŁY Ja to rozumiem, bo ja umiem myśleć. Ale ludzie takiej prawidłowości nie rozumieją. Żydzi nie rozumieją prawidłowości śmierci. Ja się zgodziłem na walkę ze względów...kompozycyjnych.

GLIKSMAN (*wchodzi z drugiej piwnicy*) Potrzebuję drugiego składu. Gotowy?

KLUGER Jest czwarta strona. Na pierwszej przyjdzie komunikat, mój artykuł i przedruk. Szloma powinien zaraz przyjść.

MAŁY Gliksman, ty to przeczytaj. Ja mówię, że to jest nieprzekonywujące.

GLIKSMAN On jest marxista, to on nie może być przekonywający. Do Żydów trzeba przemawiać, jak do Żydów.

KLUGER (*Odrzuca pinsetę*) To napiszcie sami. Ty o kompozycji, a ty o Palestynie. I niech z tego wyjdzie, że ghetto ma przyjąć nasz plan walki!

GLIKSMAN (*szuka po kątach*) Dlaczegoś ty wody nie przyniósł? Wody też już nie ma? (*trąca Małego w ramię*) Może ty coś masz? Mnie całkiem słabo.

MAŁY Nie mam. A zresztą...mogę ci dać (*wyjmuje z kieszeni marchewkę owiniętą w papier. Gliksman pożera ją łapczywie*).

KLUGER Była uchwała komitetu, że ja mam napisać. Napisałem. Kiedy się ludziom mówi, że mają się uzbroić i walczyć i zginąć, to trzeba im powiedzieć, dlaczego, za co. Trzeba przed nimi roztoczyć perspektywy przyszłości.

GLIKSMAN ...której nie dożyją. Ty nie rozumiesz mentalności żydowskiej. Kiedy się od ludzi żąda bohaterstwa, to trzeba uderzyć w struny uczuciowe. Ty im napisz Erec Izrael na was patrzy! Ty im napisz, że dwa tysiące lat prześladowań nie zniszczyło Izraela! Że Izrael odnalazł swoją ziemię! Że Żydzi reprezentują ideę moralną świata. (*ociera czoło*) Ja mam gorączkę.

KLUGER (*zabiera się do roboty*) Dlatego bredzisz.

GLIKSMAN Ja nie bredzę. Ja tylko mam odwagę. Uchwała komitetu była przygotować ludzi do myśli o walce. Trzeba sięgnąć do rzeczy zasadniczych. Nie bać się patosu.

MAŁY On ma trochę racji.

KLUGER Do diabła z taką racją.

MAŁY Tylko niekoniecznie trzeba mówić o ziemi. Idea żydostwa jest w czasie. Żydzi mają trwanie. Właściwie żydostwo jest bezprzestrzenne...

KLUGER No więc ja tego wszystkiego nie napiszę! Ja jestem socjalista, ja nie będę pisał mistyki żydowakiej. Dla mnie ghetto jest fragmentem światowej walki.

GLIKSMAN On jest ekonomista. On po prostu nie rozumie, jak się do niego mówi nie o gospodarce planowej. Niech pisze, jak chce i tak się na nic nie zda.

MAŁY Myślisz, że się na nic nie zda?

GLIKSMAN (*wzrusza ramionami*) Szlomy jeszcze nie ma.

KLUGER Powinien już być... I nikogo nie ma przed drzwiami. Pracujemy bez osłony.

MAŁY (*idzie do drzwi, otwiera je ostrożnie, wychodzi, wraca*) Tu ktoś leży na podwórzu.

KLUGER Żywy, czy trup?

MAŁY Zdaje mi się, że...nieżywy...

KLUGER Jak nieżywy, to nie zawracaj głowy (*Mały wychodzi*).

GLIKSMAN Ty Kluger, ty pamiętaj, że my mamy dwie przeszkody do zwalczenia. Po pierwsze dostać broń, po drugie, doprowadzić ludzi z ghetta do tego, żeby chcieli walczyć. To nie wystarczy, że komitet postanowił. Trzeba, żeby decyzja objęła wszystkich. Jak ty ich do tego doprowadzisz?

KLUGER Niemcy ich do tego doprowadzą.

GLIKSMAN Niemcy ich doprowadzą do podłej śmierci, nie do walki (*gwałtownie*) Nie widzisz, że to nieszczęście oślepia ich? Pozbawia rozumu, woli?

KLUGER (*przerywa robotę*) Ja wierzę, że obudzi się bohaterski instynkt masy...

GLIKSMAN Ja nie wierzę w to!

KLUGER Czego ty chcesz? Chcesz, żebym stracił ostatnią nadzieję?

GLIKSMAN (*cicho*) Ja tylko pytam, kto z nami pójdzie? Jak się zrodzi wola walki?

MAŁY (*wchodzi, zamyka drzwi na klucz*) Ktoś wszedł do bramy!

KLUGER (*nie przerywając roboty*) Może to Szloma.

MAŁY Zgaś światło. Prędko! Prędko!

KLUGER Znowu przerwa w robocie. (*gasi światło. Słychać pukanie do drzwi, dwa razy, raz.*) Nie słyszysz, że to znak? (*zapala światło*).

MAŁY Może oni się dowiedzieli? Może to podstęp?

KLUGER (*idzie do drzwi, otwiera, wpada Josek*).

JOSEK Idą, Szloma i Andrzej. Ja przyszedłem sprawdzić, czy wszystko w porządku. Zaraz tu będą (*wybiega*).

MAŁY Co on powiedział? Szloma i kto?

KLUGER Szloma i... Andrzej? W głowie mu się pomieszało? (*do Gliksmana*) Trzeba zamknąć drugą piwnicę. (*Gliksman zabiera skrzynkę, skład, wychodzi szybko. Kluger i Mały przesuwają kufer pod drzwi, zarzucają go rupieciami*).

MAŁY Po co ja tu właściwie mam być? Ja nie widzę racji. Ja właściwie powinienem pójść do Gliksmana (*chowa papiery ze stołu, ręce mu drżą. Pukanie jak poprzednio. Kluger otwiera. Wchodzi Szloma, Andrzej, za nimi Josek*).

KLUGER To naprawdę Andrzej!

JOSEK Przecież wam powiedziałem!

ANDRZEJ (*młody, jasny, uśmiech nie schodzi mu z twarzy. Pod opanowaniem i rozwagą czuje się w nim radosną prężność*). Jak się macie, kochani?

MAŁY Ja wiedziałem, że się coś takiego stanie, ja wiedziałem!

SZLOMA (*gorączkowo*) Ja jeszcze nie mogę zrozumieć, jak to się stało... Czekam na paczkę... Robotnicy przechodzą przez bramę... Nagle ktoś odskakuje... Gdyby mi nie zatkał usta ręką, byłbym krzyknął...

JOSEK Boś ty głupi. Dziś rano to on cały worek z kartoflami zaprzepaścił. Można go było wziąć. Handlarkę zabili i worek zabrali. Z kartoflami. Taki on jest mądry! Fuehrer!

ANDRZEJ (*wesoło*) Taka już dziś moda na fuehrerów!

SZLOMA (*chwyta Andrzeja za rękę*) Tyś naprawdę do nas przyszedł!

ANDREZEJ No przyszedłem, jestem, co w tym wielkiego?

KLUGER (*ściska dłoń Andrzeja*) To dobrze...

MAŁY Właściwie już dość dawno nikogo od was tu nie było... Ale przecież ciebie mogą za to...zabić!

ANDRZEJ (*śmieje się*) Za to i nie za to... (*macha ręką*) Ładna byłaby historia, gdyby mnie obmacali, co? (*wyjmuje różne przedmioty z kieszeni, wykłada na stół*) Okropnie się bałem, że się Niemcom mój biust nie spodoba. Porządne chłopy ci robotnicy. Zgodzili się zabrać mnie ze sobą. Powiedziałem im, że będę miał różne rzeczy na sobie...

JOSEK Ja wiem, które to zrobiły! To na pewno Gruen i Kleinert!

ANDRZEJ. Cicho. Nie gadaj nazwisk. A teraz idź. Ja mam bardzo mało czasu.

SZLOMA Czuwaj na podwórzu. Nikogo nie wpuszczać.

JOSEK Nikogo? A jak Basia przyjdzie, co? (*odskakuje*) Przecież on się na pewno chce zobaczyć z Basią! A może on po nią przyszedł?

SZLOMA (*sztywnieje*) Tak...na pewno. On po nią przyszedł. Basię możesz wpuścić.

JOSEK (*do Andrzeja*) Ja pójdę po Basię. Ona ma tu przyjść na komunikat. On ci tego nie mówi. Jak ona wróci do domu, to ja jej powiem, żeby przyszła wcześniej.

ANDRZEJ No dobrze. Owszem... (*Josek wybiega*) Jaki jest rozkład piwnicy? Jest drugie wyjście?

KLUGER Przez drugą piwnicę. Tędy ...tam dziś nasza maszyna pracuje.

MAŁY Jak ty wyjdziesz? Jak ty się wydobędziesz?

ANDRZEJ (*kładzie zegarek na stół*) Nie wolno mi się spóźnić...okropnie dużo mam jeszcze roboty...z nocną szychtą wyjdę.

MAŁY Właściwie...niebardzo bezpieczne.

ANDRZEJ Nie martw się, bywa gorzej!

KLUGER Czy wy wiecie, co się tutaj dzieje?

SZLOMA To już jest kres. Koniec. Ty koniecznie Basię stąd zabierz.

KLUGER Dziś wywieźli sześć tysięcy ludzi. Na jutro chcą mieć dziesięć tysięcy. I tak ma być co dzień.

ANDRZEJ My już o tym wiemy.

KLUGER Wiecie? I co?

SZLOMA I nic...

KLUGER Rozesłaliście wiadomości?

ANDRZEJ Ciągle ślemy...posyłamy depesze... Wysłaliśmy naszego człowieka ...Co my możemy więcej robić? My sami giniemy...

SZLOMA Trzeba poruszyć sumienie całego świata! Trzeba krzyczeć, że to co się tutaj dzieje to jest zbrodnia, jakiej jeszcze świat nie widział. Przecież na świecie są demokracje, są socjaliści, robotnicy! Przecież oni nie pozwolą nam tak zginąć!

ANDRZEJ (*milczy*).

KLUGER (*cicho*) Ty myślisz, że jakaś pomoc z zewnątrz...może nadejść?

ANDRZEJ (*odpina kurtkę, zdejmuje skrzynkę przewieszoną przez szyję*) ...zażądaliście czcionek, więc je wam przyniosłem.

MAŁY Co on ma myśleć? On przyniósł czcionki. Nawet nowe..

ANDRZEJ Zupełnie nowe. Jeden z naszych pojechał, kupił, przewiózł. W zeszłym tygodniu go rozstrzelali, ale to za jakieś głupstwo... Lampy do aparatu i części zapasowe do drukarskiej prasy też przyniosłem.

MAŁY Gliksman się bał, że mu maszyna stanie. Ja go zawołam, co? (*patrzy na Klugera i Szlomę. Obaj milczą. Otwiera drzwi drugiej piwnicy. Wychodzi*).

SZLOMA (*ogląda części zapasowe*).

ANDRZEJ Dobre?

SZLOMA (*odkłada*) Po co nam to?

ANDRZEJ Zażądaliście. Niepotrzebne?

SZLOMA Już niepotrzebne. (*gwałtownie*) Po co ta cała prasowa robota?

ANDRZEJ Ja myślę, że robotę prasową trzeba prowadzić do końca...to znaczy, jak długo się da. Przyniosłem nasze ostatnie numery. Jest jeden artykuł programowy i trzeba, żebyście go przedrukowali.

SZLOMA Po co mówić do ludzi, których jutro nie będzie?

ANDRZEJ Ktoś zostanie.

SZLOMA Ja nie.

ANDRZEJ (*wesoło*) Ja na pewno nie. A może właśnie ty zostaniesz? Ja na to bardzo liczę. Prywatnie mi na tym zależy. Sens w tym, że trzeba ludzi przygotować nie tylko do rozgrywki z Niemcami. Trzeba przygotować do...rozgrywki społecznej.

SZLOMA Widziałeś tego człowieka, co tu leży na podwórzu?

ANDRZEJ Potknąłem się o kogoś. Kto to?

SZLOMA Nie wiem. Pełno trupów leży. To był na pewno ktoś...przygotowany do rozgrywki społecznej.

KLUGER (*wstaje*) Czy masz odpowiedź na nasze ostatnie żądanie?

ANDRZEJ Nie... To znaczy... (*Gliksman i Mały wchodzą*).

GLIKSMAN Mały mówi, że przyniosłeś części zapasowe.

ANDRZEJ Jak się masz Gliksman?

KLUGER Co będzie z bronią? Kiedy dostaniemy broń?

ANDRZEJ Są wątpliwości czy nie jest za wcześnie na taki...taki gest ostateczny.

GLIKSMAN Jabym się raczej bał, czy nie jest za późno..

KLUGER My pięknie dziękujemy za czcionki, za artykuły. My chcemy broni.

ANDRZEJ Kierownictwo polskiego ruchu nie jest jeszcze zdecydowane...

GLIKSMAN Oni się przecie nie będą przejmować tym, że Żydów wymordują. Zginą Żydzi? No to ich nie będzie.

MAŁY Przecie tu nie chodzi o to, czy zginą, tylko jak zginą... Ty zrozum, Andrzeju, to ma być symbol. I synteza. Pomyśl, kiedyś obok Chrystusa było tylko dwunastu żydowskich rybaków i przemienili świat. Teraz wielka zbiorowość świadomie obiera śmierć.

GLIKSMAN (*macha ręką*).

ANDRZEJ My sobie zdajemy sprawę ...oceniamy... Mogę was o tym zapewnić. Chodzi o kwestie taktyczne. Czy teraz. Czy już.

GLIKSMAN No pewno. Lepiej poczekać. Jak się w ghecie przerzedzi, to i broni trzeba będzie mniej i ryzyko będzie mniejsze...

ANDRZEJ Mylisz się. Dla nas ryzyko jest zawsze jednako wielkie. Ryzykujemy wszystkim. Całą naszą organizacją.

MAŁY Fetysz organizacji. Co to jest organizacja? To jest środek do celu.

ANDRZEJ (*uśmiecha się*) Organizacja... to jest wszystko, co posiadamy, narazie... to są nasi najlepsi ludzie, nasze państwo, nasz byt dziś i jutro... Czy jesteście pewni, że jeśli rozpoczniecie walkę, to całe ghetto pójdzie za wami?

MAŁY Ależ pójdą za nami wszyscy. Zrozumieją, po prostu zrozumieją wartość zbiorowej śmierci...

GLIKSMAN Oni chcą, żebyśmy przyjmowali odpowiedzialność za całe ghetto.

SZLOMA (*rozpaczliwie*) Więc my jesteśmy wzięci we dwa ognie. W obrębie ghetta będą się opierać starzy i bierni. Polski ruch nie ma do nas zaufania. Jakie jest wyjście? Jakie jest wyjście?

KLUGER My nie prosimy o zaufanie. My o nic nie prosimy. Jesteśmy częścią podziemnego ruchu Polski. Wy macie broń. My mamy prawo do części. My mamy prawo do udziału w zbrojnej walce, tak jak mamy prawo do przyszłości.

ANDRZEJ Racja. Ale rozumiecie, co to znaczy przewieźć broń do ghetta? Rozumiecie, co by się stało, gdyby taki ładunek został nakryty?

KLUGER Bierzemy ryzyko na siebie.

ANDRZEJ (*śmieje się*) Gadanie.

KLUGER Ja będę broń przewoził.

ANDRZEJ (*śmieje się*) Ty? Z naszych składów? Nie, kochany. Za bardzo wyglądasz na Żyda. Wkopałbyś wszystkie nasze kryjówki. Znam tylko jednego człowieka, któryby mógł to zrobić...

SZLOMA Ja znam stu, nie jednego.

ANDRZEJ Poczekaj, poczekaj. (*Liczy na palcach*) Musi być ktoś pracujący w dziale węgla, znaczy broni. Ktoś, kto zna drogę do ghetta. Ktoś, kto nie ma nic do stracenia. Ktoś, kto może odstawiać nordyka. Ktoś, komu w niemieckim mundurze będzie tak do twarzy, że będzie mógł jeździć pełną ciężarówką po Warszawie. Ktoś sprytny. No i ktoś z fantazją...

SZLOMA Więc niby ty.
ANDRZEJ Ja nic...ja nic decyduję. No a nasze władze podziemne obawiają się, że gdyby miało dojść tylko do demonstracyjnej walki małej grupy młodych w ghecie, to to...to się po prostu nie opłaca ze względu...na rozmiar możliwych konsekwencyj, zarówno w stosunku do nas, jak do was.
MAŁY Konsekwencje w stosunku do nas! To tak, jakbyś kazał człowiekowi, skazanemu na powieszenie nasmarować sobie szyję kremem, żeby mu się pręga nie zrobiła. Czy ty nie czujesz, jakie to potworne, co ty mówisz?
ANDRZEJ (*przeciąga mimo woli dłonią po szyi*) Ja zdam moim władzom sprawę. Zobaczymy...
GLIKSMAN Wracamy do początku. Ja już mam dość. Bądź zdrów, Andrzeju. Już się pewno nie zobaczymy. Nim wy się zdecydujecie, to nas już nie będzie. Nie zdążymy się dogadać. (*Wychodzi.*)
MAŁY Ja myślałem, że wystarczy nasza decyzja... Przecież...to jest właściwie najtrudniejsze... Dlaczego on poszedł? Co to teraz będzie? (*wychodzi za Gliksmanem*).
KLUGER Bądź zdrów Andrzeju. Powiedz, że podtrzymujemy żądanie. Że trzeba się spieszyć. Oblicz sobie, po dziesięć tysięcy dziennie. (*Podaje Andrzejowi dłoń. Andrzej nie puszcza jej.*)
ANDRZEJ Macie plan?
KLUGER Jaki plan?
ANDRZEJ Plan walki.
KLUGER Dokładnie opracowany.
ANDRZEJ Jakie ilości broni wchodzą w rachubę?
KLUGER Możemy podać dokładne cyfry.
ANDRZEJ To może przygotujcie teraz, nim ja wyjdę.
KLUGER Teraz? Nim ty wyjdziesz? Tak, doskonale..ja zaraz z Gliksmanem przygotuję...przepiszę... (*chce wybiec, Andrzej zatrzymuje go*).
ANDRZEJ My rozumiemy was...ja sądzę, że to się zrobi...ja...biorę na siebie... (*Kluger wybiega*).
SZLOMA (*chodzi nerwowo*) Nie rozumiem, po co ty się narzucasz na naszego dobroczyńcę. Po co ty się dobrowolnie chcesz podjąć takiej roboty? Przecież przyszedłeś po Basię. Przecież chcesz ją stąd zabrać.
ANDRZEJ Ja wcale nie przyszedłem po Basię.
SZLOMA (*staje*) Jak to?
ANDRZEJ Właśnie chciałem ciebie prosić, żebyś...żebyś ty się zaopiekował Basią. Ja ją tobie powierzam.
SZLOMA Basię? Mnie?
ANDRZEJ Tobie. Ty jesteś fajny chłop.
SZLOMA Nonsens. Basi nie można powierzać. Basia żyje tobą.
ANDRZEJ To właśnie trzeba przerwać.
SZLOMA Trzeba. Zabierz ją stąd.
ANDRZEJ (*raczej wesoło*) Widzisz, ja już wiszę.. (*przeciąga dłonią po szyi*) Ja się nadaję już tylko na wisielcze roboty... Rozumiesz...nakryli...
SZLOMA Drukarnię?
ANDRZEJ Gorzej. Jeden skład broni. No i ostrzeliwaliśmy się... Cała moja grupa przepadła. W mieście też piekło. Chwytają po mieszkaniach, na ulicy... Jakże Basię wciągać w taką sytuację? Od razu wpadłaby przeze mnie. Moją matkę...zabrali...do obozu.
SZLOMA Ale przecież tutaj...
ANDRZEJ Do tej pory nie było tak źle. Nawet zdawało się, że bezpieczniej... Jej wyjście trzeba przygotować, starannie. To jest trudna sprawa. Ciągle zmieniają posterunki przy bramach. Coś przygotowują dla ghetta.
SZLOMA Więc ty jej stąd nie zabierzesz? Więc ty chcesz, żebym ja...
ANDRZEJ Myślę, że kiedyś...dobrze się z Basią zrozumiecie...
SZLOMA My? Ja z Basią? Ale mówiliśmy przecież, że mamy wydać ostatnią walkę...
ANDRZEJ Nie wiadomo, czy do tego dojdzie...w każdym razie nie prędko...
SZLOMA Tak. Oczywiście. Nie prędko. Więc ty liczysz się z tym, że zginiesz?
ANDRZEJ Po co tak romantycznie o tym mówić? Możliwe, że mnie... zaaresztują... Może przedtem zdążę wam coś przewieźć... W każdym razie mogę zacząć... Ważne, żeby wypracować technikę przewożenia broni.
BASIA (*stała przez chwilę na schodach. Zbiega*) Andrzej!
ANDRZEJ (*wstaje powoli*) Jak się masz Baśka... (*przygarnia ją i odsuwa*) Dobrze, że cię widzę. Całkiem nieźle wyglądasz.
BASIA (*powtarza nieprzytomnie jego imię*) Tyś przyszedł po mnie. Ty mnie stąd zabierzesz. Josek mi powiedział. Pójdziemy razem do Warszawy. Ja ciebie cały czas czekałam. Wiedziałam, że ty przyjdziesz w jakiejś właściwej chwili...
ANDRZEJ Nie...to znaczy, to wcale nie jest właściwa chwila...
BASIA Właściwa, przedostatnia... Tyś przygotował wszystko? Twoja matka mieszka jeszcze na Hożej? Ja pójdę do niej.
ANDRZEJ Ja nie mieszkam u matki. Ja...właściwie nigdzie nie mieszkam.
BASIA To nic. Potem się jakoś urządzi. Najważniejsze, żeby być z tobą.
ANDRZEJ Nie...to znaczy...to trzeba przygotować... Ja wracam zaraz... Z nocną szychtą.
BASIA O Boże! Jakeś ty się tu przedostał? Jak ty...jak my stąd wyjdziemy? Tyś pewno przekupił żołnierzy przy bramie...to jest niepojęte. Przejdę przez bramę i będę w Warszawie...pozdrów profesorową Szloma, powiedz jej...zaraz, zaraz, co jej trzeba powiedzieć? No tak, że postaram się zorganizować jej wyjście stąd.
SZLOMA Nic nie zorganizujesz. Teraz co chwilę zmieniają posterunki. Coś przygotowują dla ghetta.

BASIA Tak, być może coś przygotowują...chodźmy Andrzeju, już pewno trzeba iść. Ja nic nie potrzebuję ze sobą brać. Nic nie mam. Twoje listy. Ale te noszę ze sobą. Pisałeś mi w ostatnim liście o Wiśle. Że suszysz się na brzegu. Ja jeszcze dziś tam będę. Dlaczego siedzisz, Andrzeju?

..ANDRZEJ Tak, trzeba iść... (*siedzi nieruchomo*).

SZLOMA (*idzie na przód sceny, staje tyłem do nich*).

BASIA (*rzuca się Andrzejowi na szyję*) Chodźmy, chodźmy, uciekajmy stąd.

ANDRZEJ (*odsuwa ją z lekka od siebie*) Poczekaj, niech ja ci się przyjrzę.

BASIA Nie ma czasu na to.

ANDRZEJ (*całuje ją i odsuwa*) Tak, teraz nie czas na to.

BASIA Ja ciebie jeszcze wcale nie widziałam. Nie spojrzałam na ciebie (*zakrywa oczy*) Ja ciebie pamiętam.

ANDRZEJ (*cicho*) Bądź zdrowa Basiu.

BASIA (*z zakrytymi oczyma*) Co ty mówisz? Rozumiem, przypominam sobie. To było ostatniego dnia podczas bombardowania, kiedy wychodziłeś na pozycję. Żegnałeś się ze mną. Widzisz, myślałeś, że zginiesz. (*odkrywa oczy*) I nie zginąłęś. I jesteś. Myślisz, że ghetto zabija ochotę do życia? Nie. Nie masz pojęcia, jak ja chcę żyć. Ja to czuję tu, tu, wszędzie...

ANDRZEJ (*śmieje się*) Nie masz pojęcia, jak mnie się nie chce umierać. Ja to czuję tu (*całuje ją w usta, odsuwa od siebie*) Baśka, nie trać fasonu... To wszystko drobiazgi. Pierwsza rzecz zwyciężyć... druga...no rozumiesz...nadać kierunek na przyszłość.

BASIA Ach głupstwo. Będziemy razem.

ANDRZEJ No niebardzo... Postaram się to załatwić, żebyście stąd wyszli, ty i Szloma.

BASIA Nie rozumiem. Po co ja mam czekać? (*gwałtownie*) Ja muszę stąd wyjść zaraz.

ANDRZEJ Przecież nie opuścisz Szlomy.

BASIA Tyś przyszedł po mnie!

SZLOMA (*odwraca się*) Po coś ty tu przyszedł?

ANDRZEJ No...chodziło o te czcionki, części zapasowe....

SZLOMA To można było zrzucić z góry.

ANDRZEJ Ale lampy do aparatu i reszta...

SZLOMA Jaka reszta?

ANDRZEJ Ja nie umiem gadać! Miałem wam powiedzieć takie różne słowa, że podziw,... że solidarność,... że w przyszłości... że w ogóle wspólna przyszłość...no rozumiecie, że wygramy...

BASIA (*niecierpliwie*) To się rozumie samo przez się!

SZLOMA (*ironicznie*) Toś ty po to przyszedł?

BASIA Przecież on przyszedł po mnie!

KLUGER (*wchodzi z kartką w ręce, do Andrzeja*) My bierzemy pod uwagę karabiny, karabiny maszynowe i granaty ręczne. Chodzi nam o to, kiedy będziesz przewoził, żeby każdy ładunek zawierał te trzy gatunki broni i odpowiednią amunicję. Zależałoby nam na tym, żeby pierwsze dostawy były możliwie jak największe.

ANDRZEJ Tyle, ile się zmieści na wojskowym samochodzie ciężarowym.

KLUGER Rozumiesz, że nie możemy rozpoczynać walki bez posiadania co najmniej tego (*podsuwa Andrzejowi kartkę*).

BASIA. Co to wszystko znaczy?

KLUGER Zdaje mi się, że jesteś powiadomiona o postanowieniu.

BASIA Andrzej? Andrzej ma przewozić broń?

KLUGER (*niecierpliwie*) Te sprawy nie mogą być rozważane pod osobistym kątem widzenia.

BASIA Przecież my idziemy razem do Warszawy.

SZLOMA Ja się sprzeciwiam powierzaniu tego zadania Andrzejowi!

GLIKSMAN (*staje w drzwiach*) Teraz będą nowe przeszkody.

MAŁY No to ona zmieni teraz swoje stanowisko, bo Andrzej, bo ona jest kochająca kobieta!

ANDRZEJ (*przegląda kartkę*) Nie cofam, co powiedziałem.

BASIA (*cicho*) Andrzej... ma ginąć... w tym grobie?

GLIKSMAN (*śpiewa fałszywie*) A gdy pomrzemy, a gdy pomrzemy, każemy sobie srebrne litery, złote numery, wyryć... na wspólnym grobie w ghecie (*śmieje się*).

BASIA (*sztywno*) Czy ty wiesz, że tu jest tylko garstka młodych?

MAŁY Po co ty o tym mówisz? Od ciebie nic nikt nie chce.

BASIA Może ty będziesz walczył?

MAŁY Czemu nie? Dlaczego?

BASIA (*twardo*) Ja tylko chcę cię uprzedzić, że ghetto nie jest moralnie przygotowane. Większość boi się samej myśli o walce.

GLIKSMAN Ona teraz odkryła te prawdy.

BASIA Ja je odkryłam dziś rano. Kiedy Rotmanowie wysłali Jakuba. Ty go pamiętasz? To ten co dowoził amunicję podczas oblężenia. Wytłumaczyli mu, że powinien pójść, sam się zgłosić do deportacji. I on poszedł. Rozumiesz, oni się wykupili przez niego. Przez Jakuba. Byle żyć. A ty im teraz przywieziesz... broń.

KLUGER Przesada! A ile było wypadków samobójstwa? Przecież ludzie po prostu zrzucali się z okien.

BASIA (*cofa się*).

ANDRZEJ (*do Basi*) To, co mówisz, to jeden powód więcej, żeby rzucić hasło walki (*nagle chwyta ją za rękę*) Baśka!

BASIA (*cicho*) Rozumiesz... ja nie mogę przeboleć Jakuba... zresztą myślałam, że pójdę z tobą... Josek mi powiedział... Ale oczywiście... Masz rację.

JOSEK (*w drzwiach*) Ktoś idzie! (*Znika. Gliksman i Mały wycofują się. Kluger chwyta Andrzeja za rękę, Andrzej w przelocie ściska Basię. Znikają. Sz'oma*

tarasuje za nimi drzwi. Basia rzuca się ku nim, Szloma odsuwa ją, gasi światło.)

JOSEK Dokąd pani idzie?

LEMANOWA (*staje na schodach, zapala świecę*) Dlaczego ty się tu włóczysz? Dlaczego ludzi straszysz?

SZLOMA Po co pani tu przyszła?

LEMANOWA (*z przestrachem*) Kto to?

SZLOMA To ja, Szloma.

LEMANOWA Nie bój się Wandziu, to tylko Szloma... ja ją tu chciałam schować.

SALOMA Tu?

LEMANOWA My byśmy z Wandzią przesiedziały w kącie, tu w tym kącie... Tu nie przyjdą... Tu przecież nie przyjdą. Ja się chcę schować.

SZLOMA Przecież pani jest pod opieką męża. Pani jest bezpieczniejsza od innych. Niech pani wraca do domu.

LEMANOWA Nie, nie!

BASIA Niech pani stąd idzie! Prędzej, prędzej!

LEMANOWA Co się tutaj dzieje? Co wy tu robicie?

BASIA Tu jest niebezpiecznie! Tu jest gorzej niż gdziekolwiek. Niech pani wraca! Prędko!

LEMANOWA Wy mi zabieracie ostatnią kryjówkę! Wy sobie tu urządzacie spotkania? Wy się kochacie?

SZLOMA Tak. My się kochamy!

BASIA Nie, my się nie kochamy... Kiedy Niemcy przychodzą, zawsze stają na podwórzu... i tu przed piwnicą ktoś leży... jakby przyszli i zobaczyli, to zaraz zeszliby na dół.

LEMANOWA Tak. Zeszliby na dół.

BASIA. Niech pani idzie na strych.

LEMANOWA Chodź Wandziu. Pójdziemy na strych.

WANDZIA Ja nie chcę.

LEMANOWA Ona nie chce... Pójdziemy do domu. Do domu. Położysz się spać. (*cofa się, wraca i zbiega ze schodów*) My tu zostaniemy!

BASIA (*zastępuje jej drogę*) Nie!

LEMANOWA Oni dziś przyjdą! Oni przyjdą! (*wybiega*).

JOSEK (*w drzwiach*) Czego ona tu chciała, ta baba? To niedobrze, jak się takie kręcą.

SZLOMA (*zapala światło*).

BASIA (*nerwowo odsuwa przedmioty, tarasujące wejście do drugiej piwnicy*).

JOSEK (*do Basi*) Jego już nie ma. On już poszedł. Może on co przyniósł do jedzenia?

SZLOMA Nic nie przyniósł. Zamknij drzwi. Profesorowa zaraz przyjdzie.

JOSEK Ja wiem, że koło niego jest niedobrze. Ale on powinien był coś przynieść do jedzenia. Eh, on pewno sam nic nie ma (*wychodzi*).

BASIA (*stoi przed otwartymi drzwiami drugiej piwnicy. Słychać stukot drukarskiej prasy*) Andrzeja nie ma?

SZLOMA On nie mógł ciebie zabrać. On mi mówił, że... że to musi być przygotowane. Teraz nie można. On to zrobi później.

BASIA (*cicho*) Przecież on po to przyszedł.

SZLOMA Nic. On mówił... to było tak nagle... niespodziewanie..., on mówił, że mi ciebie oddaje w opiekę, bo on... ja jemu nie powiedziałem dobrego słowa... teraz go już nie ma.

BASIA Tobie w opiekę? Co on ci mówił?

SZLOMA Nic wielkiego. Mówił, że chwytają na mieście... bo rozumiesz, nakryli skład broni. Nasi ostrzeliwali się... ale Andrzej mówił, że mu nic nie grozi, że jest bezpieczny. Musi tylko być ostrożny. Nie może ciebie teraz wciągać w tę sytuację.

BASIA Tyś go pytał po co on przyszedł. Co on odpowiedział?

SZLOMA Nie pamiętam.

BASIA (*obejmuje głowę oburącz*) Ja też nie pamiętam... mówił, że przyniósł coś.

SZLOMA No czcionki. Lampy do aparatu.

BASIA Części zapasowe.

SZLOMA Mówił, że robotę prasową trzeba prowadzić... dla rozgrywki społecznej.

BASIA Ostrzeliwali się, powiadasz? Nakryli skład? Mówił, że nie mieszka u matki, że nigdzie nie mieszka...

SZLOMA Przecież to wszystko razem, to jest romantyczna awantura. To z przewożeniem broni, to jemu w ostatniej chwili przyszło na myśl... Ja w gruncie rzeczy nie rozumiem, po co on tu przyszedł.

BASIA (*szeptem*) Ja już rozumiem.

SZLOMA (*podchodzi do Basi, chwyta jej dłoń. Basia wycofuje ją, idzie sztywno do stołu, siada, opiera głowę o dłonie*) On właściwie przyszedł, żeby nam „dodać otuchy", to się tak mówi. Żeby powiedzieć, że w przyszłości nie będzie żadnej różnicy, to się też tak mówi. Powiedział do ciebie, że chyba nie zechcesz mnie opuścić, a ty odpowiedziałaś, że musisz zaraz iść beze mnie. To jasne, to zupełnie zrozumiałe. Jabym tak samo zrobił. Różnice zawsze będą. Może zmienić się ustrój świata, Europy, Polski, ale prywatne uczucia, przepaści, które są między ludźmi, zawsze zostaną.

PROFESOROWA (*schodzi ostrożnie ze schodów*) Sprawdzałam godzinę u Lemanów. Już niedługo. Nie nastawiłeś jeszcze aparatu? (*rozgląda się*) Co się stało?

SZLOMA Nic. Był Andrzej.

PROFESOROWA (*z przerażeniem*) Po co on przyszedł? Gdzie on jest?

SZLOMA Już poszedł.

PROFESOROWA (*patrzy na Basię*) Poszedł?

SZLOMA Teraz wychodzi. Z nocną szychtą. Już pewno przeszli przez bramę (*idzie do komórki pod schodami, przynosi wiaderko, wyjmuje z niego aparat radiowy, stawia na stole, włącza do żarówki*).

PROFESOROWA Basiu!

BASIA (*wstaje*) Trzeba porozumieć się z Doktorem.

PROFESOROWA Z Doktorem? Po co?

BASIA (*chodzi zamyślona*) Przede wszystkiem trzeba przygotować skład. Kilka składów. Trzeba znaleźć bezpieczne miejsca... Ach, gdyby był Jakub... trzeba przekupić jedną bramę. Wyjść przez bramę i wrócić... i wrócić. Przeprowadzić wóz raz, drugi i trzeci.

PROFESOROWA Jaki wóz?

BASIA Przecież tego nie może zrobić jeden człowiek! Trzeba, żeby ktoś mu dopomógł.

PROFESORWA Do czego?

BASIA Jakto do czego? Do przewiezienia broni.

PROFESOROWA Ach Boże, co ty mówisz. Co z tego przyjdzie?

BASIA (*wybucha*) Więc mamy czekać aż nas wywiozą, zamordują, jak Jakuba, Lemanową?

PROFESOROWA Lemanową? Co ty mówisz? Lemanowa jest w domu. Ja ją widziałam. Układa dziecko do snu.

BASIA Myśmy Lemanową stąd wysłali. Rotmanowie Jakuba. My Lemanową.

SZLOMA Przecież wiesz, że nie można było inaczej postąpić.

BASIA Oczywiście. Taka jest logika życia tutaj. Trzeba wejść na ludzką drogę (*prostuje się*).

PROFESOROWA Ach, ty ciągle myślisz o tej broni! A ja się tobie dziwię. Przecież odpowiedzialność za walkę w ghecie spadnie na cały kraj. Potoki krwi popłyną w Warszawie, wszędzie.

BASIA W Warszawie nakryli skład broni. Nasi ludzie ostrzeliwali się. Zabili Niemców. Ci co strzelali, nie pytali, na kogo spadnie odpowiedzialność za to. (*gwałtownie*) Pani chce, żeby ludzie z ghetta podlegali innym prawom? Pani tego chce?

SZLOMA (*nastawia aparat*) Ale to z przewożeniem broni to jest długa historia. To się nie da zrobić prędko.

BASIA Tak. To wymaga czasu.

SZLOMA Niektórzy ludzie z ghetta mogą nie zdążyć.

BASIA (*drgnęła*) Ty myślisz, że możemy nie zdążyć? Rzeczywiście. My możemy nie zdążyć (*urywane dźwięki muzyki spływają z radia. W drzwiach drugiej piwnicy pojawia się Mały*).

MAŁY Zostaw na chwilę.

BASIA Nie, nie! Musimy się spieszyć. Może zdążymy. Może zdążymy.

SZLOMA (*poważnie*) Komunikat. (*Basia automatycznie siada przy stole. Profesorowa wyjmuje z szuflady papier i ołówki. Czekają. Wchodzi Gliksman*).

GŁOS SPEAKERA Tu mówi Londyn. (*cicho płynie Komunikat*)

GLIKSMAN Ta wojna będzie się jeszcze ciągnęła dwa lata.

MAŁY To niemożliwe.

SZLOMA Cicho!

BASIA (*pisząc*) Dla nas skończy się wcześniej.

MAŁY (*bardzo zdenerwowany*) Nie mów tak! Po co ty takie rzeczy mówisz? Coś słyszę. Coś jedzie. Samochód! (*słychać zbliżający się warkot samochodu, zatrzymuje się nagle przed domem*) Zamknij aparat, zamknij! (*Szloma ścisza aparat. Profesorowej ołówek wypada z ręki. Basia pisze. Mały przez chwilę kręci się w kółko nieprzytomnie. Wybiega do drugiej piwnicy.*)

GLIKSMAN (*spokojnie*) Przecież to wszystko jedno. Tylko szkoda maszyny. Tarasujcie drzwi. (*wychodzi*)

JOSEK (*w drzwiach*) Przyjechali!

SZLOMA Idź, zobacz, co się dzieje! (*gasi aparat*).

JOSEK Nie pójdę!

SZLOMA (*wstawia aparat do wiaderka, zanosi pod schody, tarasuje drzwi, gasi światło. Basia i profesorowa siedzą nieruchomo. Słychać głosy i kroki przed domem. Szloma wspiął się na okno, uchylił zlekka zasłony. Wpada promień księżycowego światła*).

BASIA (*spokojnie*) Niech pani próbuje przedostać się do mieszkania.

SZLOMA Nie ruszać się!

PROFESOROWA O Boże! Miej nas w swojej opiece!

BASIA Dlaczego właśnie nas?

JOSEK Idą na górę.

SZLOMA Do kogo?

BASIA Prawdopodobnie do Lemanowej.

JOSEK (*w przerażeniu*) Ktoś tu idzie! To nie Niemiec! Kto to?

SZLOMA (*biegnie ku drzwiom. Ktoś staje w drzwiach piwnicy, schodzi, zataczając się i upada*).

BASIA (*zrywa się*) Co to?

JOSEK To... to ten trup!

BASIA (*zapala światło, biegnie ku leżącemu człowiekowi*) To Jakub! Jakub!

KURTYNA

AKT III

Pokój jak w akcie I-ym. Ciemno. Ciche głosy.

GŁOS Już poszli?

GŁOS Może jeszcze wrócą.

GŁOS Niech ktoś pójdzie zobaczyć.

GŁOS (*z przerażeniem*) Ja nie pójdę.

ROTMANOWA Idźcie wszyscy! Pocoście tu przyszli?

GŁOS Wszyscy uciekali na III piętro.

GŁOS Cicho, może jeszcze są na dole.

GŁOS Mówili, że ją biorą na zakładnika.

GŁOS Co to znaczy, dlaczego na zakładnika?

GŁOS Ktoś idzie!

GŁOSY Cicho! (*rozbiegają się po kątach*).

ROTMAN (*krzyczy*) Idźcie! Wynoście się wszyscy!

GŁOSY Co się stało?

GŁOS Koniec świata...

SZLOMA (*wchodzi z latarką, idzie w kierunku pieca*).

REGINA Po mnie przyszli!

BIRENZWEIG Cicho, przecież to tylko Szloma.

ROTMANOWA Co się dzieje?

SZLOMA Już poszli.

ROTMAN Zamknij drzwi! Zamknij drzwi na klucz!

SZLOMA Po co? My tu zaraz wrócimy (*bierze dzbanek z wodą, wychodzi, pozostali wychodzą pospiesznie*).

BIRENZWEIG (*otwiera okno, czerwone światło wschodu słońca wpada do pokoju*).

REGINA Dawid, zbudź się, już jest rano, trzeba iść do sklepu.

ROTMAN Do jakiego sklepu?

REGINA Przecież rano wszyscy przychodzą po chleb.

DAWID Pocoś ty okno otworzyła?

REGINA (*idzie do okna*) Już ludzie stoją na ulicy. Trzeba się spieszyć.

ROTMAN (*idzie ku drzwiem, zamyka je*) Ja nic nie rozumiem.

BIRENZWEIG Już musi być niedobrze, jak oni Lemanową na zakładnika wzięli. On jest niemądry. Mógł dać żonę na pielęgniarkę i dziecko do sierocińca. Dobrze, że Matylda wczoraj poszła.

ROTMANOWA On myślał, że jak on jest w Judenracie...

BIRENZWEIG Ja mówiłem, że najgorzej jest być w Judenracie. Mnie radzili żebym wstąpił, ja zaraz powiedziałem, że ja się nie chcę mieszać.

REGINA Oni ją wywiozą.

ROTMAN Dziś Lemanową, jutro kogo innego.

ROTMANOWA (*z irytacją*) Co wy się, tak o Lemanową martwicie? Co jej się stanie? Jej mąż ją zaraz uwolni.

ROTMAN Może ją uwolni. Albo nie uwolni. I nikt nie będzie wiedział, co się z nią stało. Była Lemanowa. I nie ma Lemanowej.

BIRENZWEIG Jak się panu coś stanie, to też tak będzie. Był Rotman i już nie ma Rotmana (*śmieje się*).

ROTMAN Rotman to nie jest nic wielkiego.

DAWID Może to jest koniec świata?

BIRENZWEIG Zaraz koniec świata! Dlatego, że Żydów mordują! Wy myślicie, że Żydzi są oczkiem w głowie Pana Boga.

DAWID Jeszcze nigdy taki nie wygrał, co był zły dla Żydów.

BIRENZWEIG Głupstwo! Oszukaństwo!

REGINA On jest antysemita. Ja ci mówię Dawid, że myśmy źle trafili.

ROTMAN Kto powiedział oszukaństwo?

REGINA On powiedział.

ROTMAN Pan mnie zna od dawna. Czy ja nie byłem uczciwy kupiec?

ROTMANOWA Wszyscy wiedzą, że ty byłeś uczciwy.

ROTMAN No to co ja mogę więcej zrobić? To ja jestem w porządku.

BIRENZWEIG Ja pana mało znałem. Jakub znał pana lepiej (*słychać pukanie do drzwi*).

ROTMANOWA Co to takiego?

ROTMAN Nie otwierać!

BIRENZWEIG Przecież cicho pukają. To pewno Szloma. Pan tu nie mieszka sam, żeby ludziom wstępu wzbraniać. (*Otwiera drzwi i cofa się tyłem. Profesorowa i Szloma wchodzą, podtrzymując Jakuba*).

ROTMAN Co? Co? (*cofa się*).

PROFESOROWA Moja droga pani, może pani coś ma, jemu trzeba coś dać.

ROTMANOWA (*nie drgnęła, patrzy osłupiała*).

REGINA Jemu trzeba coś dać. Ty jemu daj, Dawid.

DAWID (*leży skulony na materacu, odwraca się, plecami*) Cicho bądź, ja nic nie mam.

REGINA On ma chleb w walizce. On przywiózł (*wyciąga małą walizkę zza pieca*).

DAWID (*zrywa się*) Nie ruszaj! (*chce jej wyrwać walizkę*).

REGINA Jaki ty jesteś śmieszny! Myślisz, że on ci zje twoją trąbkę (*śmieje się cicho*) On sobie przywiózł swoją trąbkę, co on na niej w Sądny Dzień trąbił. Do Sądnego Dnia jeszcze daleko!

SZLOMA (*Wyjmuje z jej rąk walizkę, wyrzuca jej zawartość na stół, wylatuje owinięta w koszulę rogowa trębka i bochenek chleba*).

DAWID (*przyskakuje, Szloma odsuwa go, Dawid zbiera rzeczy i siada na dawnym miejscu*).

SZLOMA (*odłamuje kawałek chleba, ręce mu drżą*) Twardy. On tego nie zgryzie. (*Zjada kawałek chleba.*)

PROFESOROWA (*zabiera chleb*) Trzeba rozmoczyć w wodzie.

ROTMANOWA To nie jest Jakub! Co wy takie ceregiele robicie? Skąd się ten człowiek tu wziął?

PROFESOROWA (*daje Jakubowi chleb*) Leżał na podwórzu. Kiedy Niemcy przyszli, on zeszedł... on ożył.

ROTMANOWA Wy jego stąd zabierzcie. Tu nie ma miejsca.

REGINA Pani go nie poznaje? On bardzo podobny. Ja pani coś powiem (*zbliża się do Rotmanowej*). On może iść do mieszkania tej... Tej co ją dziś zabrali. Przecież tam nikogo nie ma.

ROTMANOWA (*uważnie*) A jak inżynier przyjdzie do domu?

REGINA A może on nie przyjdzie? Jak jemu żonę i dziecko zabrali, to on wcale nie musi przyjść.

ROTMAN (*obchodzi Jakuba, przygląda mu się*) Toś ty wrócił?

ROTMANOWA Po co wy go tu trzymacie? Jak przyjdą i zapytają, co to za jeden, to my nawet nie będziemy mogli powiedzieć.

DAWID Ona wszystko powie.

REGINA Ja? Ja nic nie powiem, ja nic nie wiem.

ROTMAN Jakub, jakeś ty wrócił?

PROFESOROWA Niech mu pan da spokój.

ROTMANOWA Widzicie, jak Lemanową wywieźli, że on się o to wcale nie troszczy. On tylko koło niego chodzi.

REGINA (*płaczliwie*) Może jej tam dziecko zabiją?

ROTMAN On tu wrócił. Tak było pisane. A ja chciałem go oszukać

ROTMANOWA Kogoś ty chciał oszukać? Tyś nigdy nikogo nie oszukał.

ROTMAN Jakub! Gdzieś ty był? (*Jakub milczy*).

BIRENZWEIG On nie wie, co pan do niego mówi.

ROTMANOWA Ty go o nic nie pytaj. Czego ty od niego chcesz?

REGINA (*siada obok Dawida*) Ja się boję.

ROTMAN (*wstrząsa ramieniem Jakuba*) Jakub! Czy ty mnie poznajesz? Czy ty wiesz, kto ja jestem?

JAKUB (*podnosi głowę i patrzy milcząco*).

ROTMAN Ty powiedz moje nazwisko.

JAKUB (*cicho*) Rotman.

SZLOMA On to sobie zapamiętał. Choćby on wszystko inne zapomniał, to on to będzie pamiętał.

ROTMANOWA To on może pamięta, kto jemu brodę ściął, kto jego ogolił?

ROTMAN On wszystko pamięta. On mnie musi wszystko powiedzieć.

ROTMANOWA On ci powie takie rzeczy, co się nigdy nie działy! On będzie mówił nieprawdę, on będzie kłamał! Przecież, jak on jest tutaj, to co on może wiedzieć?

PROFESOROWA On chyba uciekł.

ROTMANOWA To znowu nie jest tak źle, jak można uciec.

BIRENZWEIG Poszaleliście, czy co? Co wam z tego wszystkiego przyjdzie?

SZLOMA Rotman musi wiedzieć.

ROTMAN (*ucisza wszystkich ręką*) Jakub! Jak ciebie tu posadzili na samochód, to dokąd oni ciebie zawieźli?

JAKUB (*trzęsie się, nagle wykonuje ruch ręką, jakby odsuwał Rotmana, zasłania twarz*).

ROTMANOWA On nic nie rozumie.

ROTMAN On nie chce mówić, on nie może mówić.

ROTMANOWA A ja wam mówię... Ja wam mówię, że oni jego sami odesłali. Oni potrzebują ludzi do pracy. Oni potrzebują młodych. (*wskazuje wokoło*) A jemu się w głowie pomieszało ze strachu. On po prostu zwariował. To oni zaraz wiedzieli, że on jest im niepotrzebny i oni go odesłali.

ROTMAN Dlaczego on zwariował?

ROTMANOWA (*szybko, krzykliwie*) Skąd ja mogę wiadzieć dlaczego? On zawsze był niemądry. Jakby on był mądry, to by on potrzebował być tragarzem? To on by nie mógł mieć interesu? Jego żona, jak ona jeszcze biedaczka żyła, to ona zawsze mówiła: mój Jakub, to on jest trochę niemądry. Teraz to on jeszcze mniej wie, jak przedtem (*nachyla się nad Jakubem*) Jakub! Ty pamiętasz, jak twoja żona miała na imię?

JAKUB (*wykonuje przeczący ruch głową, milczy*).

ROTMANOWA On nie pamięta! *do Jakuba*) A może ty pamiętasz, jak się twój młodszy syn nazywał? (*Jakub milczy*).

ROTMAN Bo widzisz Jakub... Lemanową zabrali — to my chcemy wiedzieć, co z nią będzie.

JAKUB (*wstaje z trudem, podnosi dłonie*) Z a b r a l i ?

ROTMANOWA (*cicho i szybko*) Jej mąż ją uwolni... Oni ją wzięli... na chwilę...

JAKUB Wy... proście... Boga... żeby... ona... prędko... umarła... (*opada na krzesło, głowa opada na stół*).

ROTMAN To już wystarczy.

PROFESOROWA Wyprowadź ty jego, Szloma. Ja już nie mogę... (*Szloma wyprowadza Jakuba do pokoju na lewo*).

ROTMANOWA (*bez przekonania*) Co on powiedział? On nic nie powiedział. (*sprząta czapki*).

ROTMAN On ma bose nogi. Jemu kazali buty zdjąć.

BIRENZWEIG Tu jest dom wariatów. Ja stąd pójdę. Ja będę w sierocińcu podłogi szorował, to ja tam będę mógł nocować.

ROTMANOWA (*drgnęła*) Dlaczego pan ma iść? Pan tu jest jeden rozsądny człowiek. (*chwyta garnek*) Niech pan poczeka. Ja zrobię zupę, to pan też dostanie. (*Zastępuje drogę Birenzweigowi*) Niech pan nie idzie.

BIRENZWEIG (*waha się*) Z czego pani zupę zrobi?

ROTMANOWA (*gorączkowo*) Ja mam mąkę. Ja tylko wodę zagotuję.

BIRZENZWEIG Mąkę pani ma? Zawsze się nazywało, że pani nic nie ma.

ROTMANOWA Ja może miałam wszystkim opowiadać? Ja schowałam. (*Wyciąga zza kredensu woreczek z mąką i kładzie na stole*) Tu jest mąka.

REGINA Ona schowała na czarną godzinę.

ROTMANOWA Na co? Żeby tobie usta pokręciło.

ROTMAN (*Chodzi po pokoju, przystaje nagle i słucha*).

BIRENZWEIG Niech pani jej nie słucha, niech pani robi zupę.

REGINA Żeby pani miała trochę smalcu, to by można zasmażkę zrobić.

ROTMANOWA (*rąbie przy piecu szufladę z kredensu*) Ja mogę zrobić zasmażkę.

ROTMAN Ty nic nie rób! Ty dziś nic takiego nie rób!

ROTMANOWA Czego ty ode mnie chcesz? Ty się na tym rozumiesz, jak się zasmażkę robi? Mężczyźni jedzą, mężczyźni nie gotują.

SZLOMA (*wchodzi*) To już teraz wiadomo.

PROFESOROWA (*nerwowo*) Rotmanowa gotuje zupę. Gdzie jest Basia? Kiedy ona wróci?

SZLOMA Basia? (*rozgląda się*) Basia poszła do tajnej drukarni. Basia roznosi zabronione gazety.

PROFESOROWA Szloma! Czyś ty nieprzytomny? Co ty mówisz?

SZLOMA Jestem przytomny. Niech wiedzą.

PROFESOROWA Opamiętaj się.

SZLOMA Już teraz nie trzeba milczeć. Im się zdaje, że jak będą cicho siedzieć, to będą bezpieczni. Niech wiedzą, że nic mają nic do stracenia. Tu w tym domu

jest pełno zabronionych pism. Z tego domu się rozchodzą. Tu jest cały skład.

BIRENZWEIG Tu? Gdzie?

SZLOMA Pan chce wiedzieć gdzie? Tego się pan nie dowie. Pan nie chciał wstąpić do Judenratu, bo bezpieczniej jest się do niczego nie mieszać. Niech pan wie, że jest pan wmieszany, czy pan chce, czy pan nie chce.

DAWID (*chwyta walizkę, jakby chciał uciekać*).

SZLOMA Ten tchórz już chce uciekać! Nic panu nie pomoże! W całym ghecie jest to samo, a jeśli pan da znać policji, to pana zatrzymają na zakładnika!

DAWID Ja wcale nie chcę uciekać.

PROFESOROWA O co tobie idzie?

SZLOMA (*chodzi nerwowo*) Ja chcę, żebyście wszyscy zrozumieli, że nie uratujecie życia. Jedną rzecz jeszcze możemy zrobić. Postarać się o broń i zginąć walcząc.

BIRENZWEIG Jedną mądrą rzecz zrobiłem, że Matyldę stąd wysłałem.

ROTMAN Jemu Jakub coś powiedział.

SZLOMA On nie chce nic mówić. On tylko powiedział, że udawał zabitego.

ROTMAN Udawał zabitego? To tam musiało być dużo zabitych.

SZLOMA On się w nocy wykradł... Mówi, że on by chciał, żeby jemu oczy wyrwać, żeby on więcej nie widział.

ROTMANOWA (*cicho*) Po co on tu przyszedł? On mógł pójść gdzie indziej.

ROTMAN On tu przyszedł, żebym ja jego zobaczył. Żebym ja jemu spojrzał w twarz.

SZLOMA (*macha ręką*) To wszystko jedno. Trzeba postarać się o broń. Musimy mieć karabiny maszynowe i granaty ręczne...

BIRENZWEIG Ja byłem w wojsku w artylerji — to ty mi daj armatę.

SZLOMA Armaty pan nie dostanie. Ale karabin...

BIRENZWEIG No, panie Rotman, niech pan poprosi Szlomy, dostanie pan granaty, będzie pan na nich rzucał.

ROTMANOWA Co wy takie rzeczy mówicie? Przecież oni by całe ghetto wymordowali.

SZLOMA (*w uniesieniu*) Tak czy owak wymordują. Czy wy tego nie rozumiecie? My nie mamy nic do stracenia. My możemy tylko zyskać. Możemy zyskać lżejszą śmierć i to... I to, że już nikt nigdy nie będzie mógł Żyda poniżyć!

BIRENZWEIG Ty myślisz, że ty jesteś na wiecu. Pleciesz po swojemu. Po pierwsze, skąd ty weźmiesz broń?

SZLOMA Broń jest, tylko trzeba ją przewieźć... To mogą zrobić... różni ludzie... Trzeba przygotować składy. Trzeba wciągnąć inżyniera i doktora do tego.

BIRENZWEIG (*nagle zainteresowany*) Doktór ma się w takie rzeczy mieszać? Oszalałeś? Żeby nieszczęście ściągnąć na dzieci?

SZLOMA Skąd pan wie, czy nieszczęście trzeba ściągać, czy ono nie jest już blisko?

ROTMAN Ono jest blisko... (*drzwi otwierają się cicho*).

MATYLDA (*wchodzi*) Zygmunt...

BIRENZWEIG (*drgnął*) Po coś ty tu przyszła (*głośno*) Gdzieś ty dziecko zostawiła?

MATYLDA Ja... musiałam jego zostawić.

BIRENZWEIG Wracaj do dziecka!

MATYLDA Ja zaraz wracam.

BIRENZWEIG Mówiłem ci, żebyś jego na krok nie odstępowała.

MATYLDA Ja już idę. Ja chciałam...

BIRENZWEIG Czyś czego zapomniała? Ja ci mogę przynieść.

MATYLDA Nie, nie, nie, nic nie przynoś.

BIRENZWEIG Idź, ja przyjdę do ciebie. Ja tam zaraz przyjdę (*patrzy w kierunku Rotmanowej, stojącej przy piecu*).

MATYLDA Nie przychodź... Przyjdź dopiero po południu... przyjdź wieczór po robocie (*chce go objąć ramionami, opanowuje się*).

BIRENZWEIG Czyś ty oszalała? Co się tobie stało? Dlaczego ty tak mówisz? Ja z tobą pójdę.

MATYLDA Ciebie nie wpuszczą. Przyjdź, wieczór, dopiero wieczór... do widzenia Zygmunt (*wychodzi*).

BIRENZWEIG Co to wszystko ma znaczyć?

ROTMANOWA Ona jest zdenerwowana. Co jej się pan dziwi?

BIRENZWEIG Tu się kroi coś większego.

ROTMAN Coraz większe, coraz bliższe i już się zbliża do końca.

PROFESOROWA Niech się już skończy, niech już będzie koniec.

BASIA (*wchodzi cicho, idzie w kierunku okna, cofa się, chce coś powiedzieć, milczy*).

PROFESOROWA Basiu! Jesteś!

SZLOMA Basiu!

ROTMAN Może się coś nowego stało?

BASIA (*odwraca się do okna*).

BIRENZWEIG Ja muszę iść, muszę się dowiedzieć.

ROTMANOWA Już jest zupa. Niech pan nie idzie (*stawia talerze na stole, nalewa zupę*).

ROTMAN (*idzie powoli ku drzwiom na lewo, otwiera je, mówi głośno*). Jakub, ty tu chodź. Ty dostaniesz coś jeść. (*Jakub pojawia się w drzwiach, Rotman stoi przed nim*) Ty mi powiedz, tak jak byś powiedział na boskim sądzie. Czy ty mi to zapomnisz? Jak ja tobie mówiłem, żebyś ty poszedł, to ja wiedziałem, że ciebie tam mogą zabić.

ROTMANOWA Co on mówi?

REGINA Cicho, cicho, oni się godzą.

JAKUB (*z trudem, cicho*) Pan nic nie wiedział.

ROTMAN Ja ci mówię, że ja wiedziałem.

JAKUB Mnie nie zabili.

ROTMAN A możeś ty sam wiedział że ciebie mogą zabić?

JAKUB Co ja mogłem wiedzieć.

ROTMAN Tyś wiedział. Tyś myślał, że ty nie masz ani żony, ani dzieci, toś ty dlatego poszedł.

JAKUB Ja nic nie myślałem... ja nic... po co pan to mówi, panie Rotman?

ROTMAN Żebyś ty wiedział, że ja wiem. Ty zjesz i ty zaraz pójdziesz z tego mieszkania.

JAKUB Dokąd ja będę chodził? Ja już nigdzie nie pójdę.

ROTMANOWA Niech on już tu zostanie. Gdzie on się podzieje? Niech on zje. On tu już jest tak długo, to on jeszcze może tu być z nami.

ROTMAN (*prowadzi Jakuba do stołu, sadza go na tle okna. Wszyscy siadają naokoło stołu. Jedzą powoli, milcząco*).

BASIA To nie jest śniadanie, to jest wieczerza.

REGINA Pani umie dobrze gotować. To zaraz poznać.

ROTMANOWA Ja miałam kucharkę. Ale na sobotę to ja zawsze sama gotowałam. Ja gotowałam kurę i rosół. Ja sama piekłam w piątek chałę i ciasta.

REGINA Pani dodawała rodzynek do ciasta?

ROTMANOWA Ja dodawałam rodzynki. I moje ciasto zawsze dobrze rosło. Jak moje dzieci były jeszcze w domu, to one zawsze mówiły, że nigdzie nie ma takiego dobrego ciasta jak u nas. One tu siedziały naokoło tego stołu.

REGINA To one jeszcze wrócą, jak się wojna skończy.

ROTMANOWA Jeśli one żyją, to one wrócą.

PROFESOROWA Przyjdzie taki dzień, ludzie wstaną rano i powiedzą: już nie ma wojny. Już nie ma Niemców. Już Polska jest wolna.

ROTMANOWA Jak to będzie, jak nie będzie ghetta? Będzie można wszędzie pójść i na Plac Teatralny i na Bielańską i na Nowy Świat. Będzie można wejść do sklepu i kupić bułki.

PROFESOROWA Przyjdzie nasze wojsko z daleka... Ludzie będą chodzić ulicami i płakać z radości, w domu jesteśmy, w naszym wolnym domu! Będą się ściskać jak bracia i będą całować tę ziemię.

REGINA Może znowu będzie antysemityzm?

SZLOMA Po wojnie nie będzie już antysemityzmu... Nie będzie żadnej różnicy czy Żyd, czy nie Żyd, czy robotnik, czy... doktór...

BIRENZWEIG Po wojnie będzie duży ruch budowlany. Wszystko będą budować na nowo.

ROTMANOWA On cementem handlował. On będzie robił dobre interesy.

BIRENZWEIG Jak się dużo buduje, to wszyscy robią dobre interesy. Robotnicy zarabiają, rzemieślnicy zarabiają. Po wojnie oni będą dużo zarabiać.

SZLOMA Oni będą rządzić. Nie będzie żadnych interesów. Będzie praca dla wszystkich.

BIRENZWEIG Nie potrzeba interesów. Jak nasze dzieci podrosną, będą się kształcić, będą pracować, będą miały wszystkiego pod dostatkiem.

BASIA Pan myśli, że dzieci z sierocińca też będą miały wszystkiego pod dostatkiem?

BIRENZWEIG A dlaczegożby nie? (*patrzy niespokojnie na Basię*).

ROTMANOWA One jeszcze są małe. One nie będą pamiętać.

BIRENZWEIG Pani dziś tam była?

BASIA Nie... tak, byłam.

BIRENZWEIG Tam wszystko w porządku?

BASIA Od dwóch dni nie było wody, rura się zepsuła. Ale już naprawili. Dzieci bardzo się cieszyły. Dziś rano dzieci wstały i powiedziały: śliczny dzień.

REGINA Bo jest ładna pogoda.

BIRENZWEIG Po co pani to mówi?

BASIA Kiedy przyszłam tam, dzieci właśnie śpiewały: Kiedy ranne wstają zorze, po cichu śpiewały.

REGINA Przecież to nie jest żydowska modlitwa.

BASIA To jest pochwała. Ta zwrotka się kończy: Bądź pochwalon Boże Wielki. To jest pochwała Boga za wszystko, co robi.

BIRENZWEIG (*wstaje*) Po co pani takie rzeczy opowiada?

BASIA (*wstaje, idzie do okna, cofa się*) Ja wam jeszcze nie powiedziałam, że inżynier Leman się otruł.

SZLOMA, PROFESOROWA, ROTMANOWA (*zrywają się*) Co?

BIRENZWEIG Kiedy? Dlaczego?

BASIA Dziś w nocy, w swoim biurze w Judenracie.

PROFESOROWA Pamiętasz, ona wczoraj mówiła, że jej mąż odbierze sobie życie, jeśli od niego zażądają czegoś, czego nie będzie mógł spełnić.

SZLOMA To znaczy, że ją wzięli na zakładnika, a do niego poszli z żądaniem!

BASIA Nie mogłam się z nikim porozumieć... nic nie załatwiłam.

BIRENZWEIG (*zduszonym głosem*) Czego od niego zażądali?

ROTMANOWA Może znowu zażądali parę tysięcy ludzi?

BIRENZWEIG On się wczoraj zgodził na sześć tysięcy, to on by się dziś dlatego zabijał? (*podchodzi do Basi*) Pani wie, czego zażądali?

BASIA (*cofa się przed nim*) Nie wiem... (*Birenzweig wybiega*).

REGINA (*nagle*) Ja pani zaraz mówiłam, że on nie wróci do swojego mieszkania.

PROFESOROWA Do czego to wszystko zmierza? Dokąd my idziemy?

SZLOMA To wszystko zmierza do tego, żeby nas wymordować, to jest jasne.

JAKUB ...Nie...

ROTMAN Nie? Ty mówisz, że nie?

BASIA Jakub ma rację. Przecież zabić wszystkich oni mogą bez pytania się Lemana. Oni chcą czegoś więcej.

SZLOMA Oni urządzają polowanie na szczury. Jeden sam zjada truciznę, innych oni zabijają.

ROTMAN Dlaczego? Dlaczego?

ROTMANOWA Co ty się o takie rzeczy pytasz? Jakby ich nie było, toby Leman żył, to on by nie brał trucizny, to jego dziecko byłoby zdrowe, jego żona kupowałaby sobie na suknie i on by się skarżył, że są takie ciężkie czasy, że on nie może swojej żonie kupić futra i że jest taki straszny antysemityzm, że on nie może być ministrem. A teraz to on nie żyje i jemu jest lepiej, aniżeli żeby on żył.

PROFESOROWA Jemu jest lepiej... on miał truciznę.

ROTMAN To on chodził całą noc tam i z powrotem. I mówił sobie: za godzinę, za pół godziny... już zaraz...

ROTMANOWA (*niespokojnie*) Zaraz? Dlaczego zaraz? Po co ty myślisz o tym, co on myślał?

BASIA Zaraz... niedługo wróci Birenzweig.

ROTMAN No to co z tego, że on wróci?

SZLOMA Dowiemy się, co Niemcy wymyślili.

BASIA Siedzimy i czekamy, żeby się dowiedzieć, co Niemcy wymyślili...

JAKUB Takie rzeczy... wymyślili?

ROTMAN Ja ciebie rozumiem. To jest za duże. To jest takie, co się nigdy nie działo. To jest takie, co świat nigdy tego nie widział. Co świat nigdy nie czekał...

REGINA Oj... co się stanie?

DAWID (*wstaje*) Może... może przyjdzie Mesjasz...

ROTMAN Jaki? Żydowski Mesjasz?

REGINA Przyjdzie żydowski Mesjasz.

ROTMAN On nic nie poradzi... to jest za duże... co jeden żydowski Mesjasz może poradzić?

DAWID On przyjdzie z nieba.

JAKUB (*cicho*) Ja... myślałem... że on przyjdzie... on... nie przyszedł...

ROTMAN On nie przyjdzie.. wszystko musi się stać na ziemi... nie w jednym miejscu... wszędzie...

SZLOMA To się nie nazywa Mesjasz... to nie przyjdzie z nieba. To przyjdzie z cierpień. Z krwi. Z walki.

REGINA Co oni mówią? To oni nie wierzą w Mesjasza?

DAWID (*siada zniechęcony na dawnym miejscu, na materacu*) Oni wcale nie są Żydzi.

ROTMAN Oni są Żydzi. Bo oni są w najgłębszym dole.

BASIA W najgłębszym!

ROTMAN Oni są tak jakby ich nogi stały w wapnie i oni nie mogli się ruszać.

JAKUB (*przytakuje*) Tak, tak.

ROTMAN ...jakby oni ściśnięci byli razem i już nie mogli ani stać, ani oddychać.

JAKUB Tak! Tak!

ROTMAN ...oni są jakby to już nie byli ludzie, oni już stracili rozum, już nic nie widzą, już nawet nie krzyczą, już nie płaczą i żywi pomieszani są z umarłymi.

JAKUB Nieprawda! Oni jęczą, oni płaczą, oni krzyczą!

ROTMAN ...i jeszcze gnają innych.

JAKUB Biją! Zabijają! Wpychają!

ROTMAN ...spychają na sam dół, na samo dno.

JAKUB Na dół i na górę, jednych na drugich, żeby oni się udusili w tych wagonach.

ROTMAN Gdzie? W jakich wagonach?

JAKUB (*z rozpaczliwym gestem*) W wagonach, w wagonach.

ROTMAN Ja nic nie mówiłem o wagonach, ja nic o tym nie wiem!

ROTMANOWA O czym wy mówicie? Co wy takiego mówicie?

SZLOMA Oni bredzą. To już jest szaleństwo.

REGINA Oj, Dawid...

DAWID Was Pan Bóg pokarał! Wam Pan Bóg rozum pomieszał!

PROFESOROWA Jezus! Maria!

REGINA Ty słyszysz, co ona mówi?

DAWID (*bierze walizkę*) Ja stąd idę. Ja tu z takimi nie będę.

ROTMANOWA Idźcie, idźcie, kto was tu potrzebuje?

SZLOMA Oni sobie umyślili jakąś kryjówkę. Oni myślą, że się schowają. Nie zapomniał pan swojej trąbki? (*Dawid i Regina zbierają pospiesznie swoje ubrania z materaca i wybiegają*).

BASIA Dlaczego jeszcze nie ma Birenzweiga?

PROFESOROWA On może pójdzie wprost do pracy.

BASIA Ja myślę, że on przyjdzie.

ROTMANOWA O czym wy mówicie? Co wy mówicie?

BASIA My czekamy... ghetto czeka. (*ciężkie milczenie*).

ROTMAN (*zduszonym głosem*) ...Jam jest Bóg twój jedyny, któren cię wyprowadził z domu niewoli.. Dlaczego z domu niewoli? Dlatego, żeby już nigdy nie było domu niewoli. Żeby już nigdy nie prowadził do niewoli ani człowiek człowieka, ani jeden naród drugiego narodu.

ROTMANOWA Po co ty tak mówisz? Tyś nigdy takich rzeczy nie mówił.

ROTMAN Musi być wiadome po co jest ghetto. Po co jest ten głęboki dół.

JAKUB Wcale nie ma głębokich dołów. Płytkie. Tylko, żeby zakryć.

ROTMAN Ten dół będzie kiedyś jak najwyższa góra. I przez sześć tysięcy lat ludzie będą na nią patrzeć i będą pamiętać, co się dziś tutaj dzieje. Bo my jesteśmy po to, żeby ludziom pokazać, jaki jest czarny koniec złej drogi.

SZLOMA Oni sobie już dorabiają mistykę do swojego bezwładu. (*siedzi nieruchomo*).

ROTMANOWA Ja już nic nie rozumiem. Mnie już wszystko jedno. Jak się Leman otruł, to... to może my też... (*patrzy zastraszona w Rotmana*).

ROTMAN (*uroczyście*) Jak ja chciałem, żeby Jakub poszedł, to on wrócił. Tak się stanie, jak się musi stać.

JAKUB Ja wcale nie wiem, po co ja tu wróciłem. Ja tak szedłem, jakbym ja był bez oczu, bez uszu i bez rozumu. Może ja tu po to przyszedłem, żebym ja umierał dwa razy? Ja zawsze byłem mocny Żyd, ja takie duże paki nosiłem, co ich nikt nie mógł nosić. Mnie mówili:

ty jesteś taki mocny, jakbyś ty nie był Żyd. To teraz ja będę dwa razy Żyd.

ROTMANOWA Dlaczego wy tak siedzicie?

JAKUB Oni siedzą nad umarłym.

ROTMANOWA (*krzyczy*) Tu nikt nie umarł! Tu jest mieszkanie Rotmana. Na Smoczej ulicy. Tu wszyscy żyją. Salomon! Ty jemu powiedz... (*wszyscy milczą*).

BASIA Ktoś idzie.

BIRENZWEIG (*wchodzi, wygląda jak obłąkany, mówi zrazu cicho, potem popada w głośną rozpacz*) Ona mogła była tam nie wracać...ona tu przyszła,ja ją sam odesłałem ... ja jej powiedziałem idź... ja ją wysłałem..

SZLOMA Co się stało?

BIRENZWEIG Jej już nie wypuścili z dzieckiem. Ona przyszła sama. Oni chcieli tylko dzieci, same dzieci...

PROFESOROWA Czego oni chcieli od dzieci?

BIRENZWEIG Powiedzieli doktorowi, że go puszczą. Że wszystkie pielęgniarki puszczą, żeby tylko dzieci...

PROFESOROWA Ja nic nie rozumiem.

BIRENZWEIG Ja widziałem Matyldę. Oni mnie odepchnęli. Upadłem... nie widziałem Henrysia... on jest mały.

ROTMANOWA Co się stało? Co on mówi?

BIRENZWEIG Zabrali! Wywieźli! Wszystkie dzieci, moją żonę! Mojego Henrysia!

BASIA (*chwyta go za ramię*) Co się stało z doktorem?

BIRENZWEIG On szedł pierwszy. Miał dwoje dzieci na ramionach. On tak szedł jak zawsze. To były ciężarówki. Ja go widziałem, jak on stał. On stał bardzo długo. Oni szli. Nikt nie krzyczał (*krzyczy*). Mnie jeden obalił i ja go nie zabiłem. Ja go mogłem chwycić za nogę. Ja go mogłem przewrócić, udusić! Ja jestem tchórz! (*chodzi po pokoju, jęcząc*) Co oni zrobili z moim Henrysiem?

ROTMANOWA (*nieprzytomnie*) Oni zabrali dzieci? Po co oni zabrali dzieci?

BASIA Dziś rano budynek był otoczony.

PROFESOROWA Doktora wzięli?

BASIA Doktora nie wzięli. Doktór sam poszedł.

ROTMAN On szedł pierwszy...

ROTMANOWA (*nieprzytomnie*) Ja nic nie rozumiem. Dokąd doktór poszedł? Po co on poszedł? Przestańcie już mówić. Niech to się skończy!

BIRENZWEIG To się zaraz skończy. Już otoczyli Smoczą ulicę. Zaraz tu będą. Ja go złapię za nogę i przewalę. Ja zabiję.

ROTMAN Oni są na Smoczej?

ROTMANOWA (*nagle przytomnieje*) Oni tu przyjdą?

BIRENZWEIG Przyjdą. Zaraz tu będą. Ja zabiję.

BASIA Aaa, więc to już...

PROFESOROWA Już... koniec...

BASIA (*gwałtownie*) Szloma! Nie zdążyliśmy!

SZLOMA Nie zdążyliśmy... Ja się bałem, że my nie zdążymy...

PROFESOROWA (*opiera się o ścianę, wyciąga ramiona*) Nie doczekamy. Nie zobaczymy.

SZLOMA Ja mam poprawki do planu walki. Żeby jeszcze móc komuś powiedzieć.

BASIA (*podchodzi do okna*) Policja... Zamknięta ulica (*cofa się, stoi na środku pokoju*).

SZLOMA Ghetto będzie walczyć. Tylko już bez nas...

JAKUB Wy pojedziecie naprzód samochodem. Do Sammelstelle. Na Stawkach. Koło szpitala.

ROTMANOWA My pojedziemy?

ROTMAN Jakub, uciekaj! Idź!

JAKUB Ja nigdzie nie pójdę. (*Za oknem narasta gwar. Jakub odwiązuje sznur, którym jest przepasany. Przerzuca go przez ramię*).

ROTMANOWA (*krzyczy obłędnie*) Ja nie chcę! Nie chcę!

ROTMAN (*podtrzymuje ją*) Uspokój się. Módl się.

ROTMANOWA Ja nie chcę nigdzie jechać! Ja chcę zostać w domu. Tu przyjdą moje dzieci!

ROTMAN Boże Izraela, Boże Abrahama, Izaaka i Dawida... (*krzyki z ulicy zagłuszają słowa modlitwy*)

SZLOMA (*do Basi*) Na ciebie czas. (*wskazuje głową na okno*).

BASIA (*stoi nieruchomo*) A ty, Szloma?

SALOMA Mnie nie wolno. Ja nie mam prawa ich opuszczać... Ty idź, idź.

BASIA (*czyni krok w kierunku okna, wraca*) Nie. Ja pójdę z tobą. Z wami.

PROFESOROWA (*stoi nieruchomo*) Staś był na froncie i nie bał się. Staś pisał, że powtarzał tylko jedno słowo. Trzeba tylko pamiętać za co się ginie. (*Wychodzi powoli na lewo*).

(*Dźwięk rogu przeszywa powietrze. Gwar milknie na chwilę. Birenzweig stoi przyczajony pod drzwiami.*)

JAKUB (*zdejmuje talerze i garnki z kredensu. Fachowym ruchem próbuje ruszyć jego górną część*) Jak pan chce z nimi jechać na Stawki i wagonem, to niech pan zejdzie na podwórze, panie Rotman. Oni żądają pieniędzy. Za co? (*wzrusza ramionami*) Ja nie wiem za co. Ale może się panu przydadzą. (*Słychać wołanie: Alle Juden raus! Krzyki. Lamenty.*) Już dają znak, że trzeba zejść. (*rozkazująco*) Idźcie stąd wszyscy! Teraz ja tu będę sam! (*Opasuje sznurem kredens*).

SZLOMA (*patrzy na niego bez zrozumienia. Przyskakuje, pomaga mu*).

JAKUB Za taki ciężki mebel, to się dostawało dwadzieścia złotych...

REGINA (*wpada do pokoju*) Jego tu nie ma? Myśmy się schowali u Lemanów. Gdzie jest moja Rózia? Gdzie jest Dawid? On się schował! (*Chce wybiec, Birenzweig odpycha ją*) Ja mam pozwolenie! Urzędowe! Niemieckie! (*Biega nieprzytomnie, opada pod ścianą*).

SZLOMA Ja mam tylko jeden rewolwer ... jeden magazyn zapasowy... (*wybiega do pokoju na lewo*).

JAKUB (*ustawił górną część kredensu przed drzwiami. Przysuwa dolną część. Ma ruchy powolne, spokojne*) Jest czas... Oni naprzód czekają, aż wszyscy zejdą. Potem dopiero szukają po mieszkaniach. No niech pan idzie, panie Rotman...

ROTMAN Ja nie pójdę.

REGINA (*zrywa się*) Dziecko mi zabili! Moją Rózię zastrzelili! Oni! Oni! (*Przedziera się przez przeszkody, wybiega*).

ROTMANOWA (*załkała*).

ROTMAN Cicho. Nie trzeba.

BIRENZWEIG (*przeskoczył barykadę, ustawia na niej krzesła*).

SZLOMA (*wbiega*) Profesorowa już...

BASIA To dobrze. (*bierze od Szlomy rewolwer*) Tylko ten jeden...

BIRENZWEIG Tyś mi przyrzekł karabin. Gdzie ty masz ten karabin?

SZLOMA Nie zdążyliśmy... nie mamy...

JAKUB (*ustawia się przy drzwiach*) Ja mam mocne ręce. Ja już teraz wiem, po co ja mam takie mocne ręce...

Szloma przewala stół, usiłuje wyrwać nogę od stołu. Birenzweig stoi z rozłożonymi rękami. Słychać jęki, lamenty.

ROTMAN (*chwyta się za głowę*) Co to ma znaczyć?

ROTMANOWA (*przyczołguje się do niego*).

ŚCIEMNIA SIĘ

EPILOG

Ten sam pokój. W miejscu okna dziura wyrwana pociskiem, zabarykadowana kredensem, krzesłami. Na barykadzie karabin maszynowy. Na lewo stół, na nim rozpięta mapa. Przed mapą Kluger. Przed karabinem Mały. Różowe światło łuny.

(*Wszyscy pojawiający się w tej scenie wyglądają jak widma.*)

KLUGER Już powinni być z raportem... (*słychać szum samolotu*).

MAŁY Jeśli zapali się dach, to chyba... wyskakujemy oknem, co?

KLUGER Nie. Schodzimy na dół. (*Zapatrzony w mapę*) Piwnicami można wycofać się do skrzyżowania... Potem ulicami...

MAŁY (*podniecony, nuci*) Ty może myślisz, że ja się boję? (*śmieje się. Szum samolotu się zbliża. Mały skierowuje szybko karabin w górę*) AA — jesteś, jesteś... no chodźże bliżej, bliżej... Za wysoko leci! Tchórz! (*drżącym głosem*) Zrzuca bomby zapalające!

GLIKSMAN (*wchodzi, słaniając się*).

KLUGER Nareszcie! Jaki wynik?

GLIKSMAN Jeden oddział S.S. zniszczony... Dwa czołgi...

KLUGER Co? Co dwa czołgi?

GLIKSMAN Unieszkodliwione... Dajcie mi wody...

KLUGER Nie ma wody. Czy wykonano według planu?

GLIKSMAN Za bramą... przy Długiej ... byli zaskoczeni...

KLUGER Wycofaliście się...

GLIKSMAN Kanałem... daj mi wody... (*Opiera się o ścianę. Nagle nasila się łuna.*)

JOSEK (*wpada*) Pali się pod jedenastym!

MAŁY Teraz ich złapię! (*Skierowuje karabin w dół*).

I. CZŁOWIEK (*wpada*) Pali się pod piętnastym!

MAŁY To okno jest do diabła! Ja stąd nie mam obstrzału! Oni kryją się za rogiem! Ja stąd idę! (*Chwyta karabin*).

KLUGER Zostań.

MAŁY Ja stąd nie mogę strzelać! Ja takich rozkazów nie będę słuchał! (*Fala dymu wciska się do pokoju. Słychać krzyki, płacz kobiet.*)

II. CZŁOWIEK (*staje w drzwiach*) Pali się naokoło. Co robić?

KLUGER Ile amunicji jest w piwnicy?

II. CZŁOWIEK Tej nocy przyszło kanałem 50 skrzynek. Razem około 80. (*Nagły chóralny śmiech za oknem. Wołania: Komm her! Komm her!*)

WSZYSCY (*stoją przez chwilę bez ruchu*).

II. CZŁOWIEK Nasi... wyskakują oknami...

GLIKSMAN Dajcie już spokój... Niech już będzie koniec...

KLUGER Wycofujemy się piwnicami w kierunku na numer 15ty. Zabieramy amunicji ile się da. Do skrzyżowania. Potem ulicami. W kierunka Powązek.

DAWID (*wśliznął się do pokoju*) Łapią... Odkryli...

JOSEK Czego ty tu chcesz?

DAWID Po jednej i drugiej stronie... Jak się kończą piwnice... Oni tam stoją i łapią... Już nie można uciekać...

II. CZŁOWIEK Pewno zablokowali wyjścia...

MAŁY To możemy zrobić wypad. Wielka rzecz... phi... Ja ustawię karabin po drugiej stronie ulicy. Bardzo dobra pozycja. Oni nie podchodzą blisko, jak się pali.

KLUGER (*do Dawida*) Tyś przeszedł piwnicami do końca?

DAWID (*kręci się nieprzytomny*) Od tyłu też nie można. Ja próbowałem przez podwórze... Łapią... Ja do nich pójdę...

JOSEK (*skoczył ku drzwiom*).

DAWID Może oni nie zabijają wszystkich? Ja im coś powiem... ja im coś dam... Tu jest bardzo gorąco... (*Już nie może trafić do drzwi*) Tu jest bardzo gorąco... (*Upada*).

JOSEK Nic im nie powiesz. Nic im nie dasz.

KLUGER Robimy wypad.

MAŁY Wypad.

KLUGER Od bramy na prawo biegiem. Ja prowadzę. Przygotować granaty. Karabiny. Jeden zostaje, niszczy amunicję. Kto?

JOSEK Ja.

KLUGER Żołnierz Żydowskiej Organizacji Bojowej Josek Berg wysadza w powietrze dom przy ulicy Smoczej 13

GLIKSMAN (*cicho*) Koniec.

KLUGER Nic. Nic koniec. Za nasze męczarnie, za nasze upodlenie, za śmierć w torturach, za śmierć w płomieniach, za śmierć z głodu, za nierówną walkę, za to, żeśmy wytrwali sami, za to że zginiemy walcząc, wystawiamy światu rachunek. Nasze ostatnie strzały są żądaniem zapłaty. Giniemy wolni — za wolność.

GLIKSMAN (*podnosi ramiona*) Słyszycie nas? Słyszycie nas?

Ściskają sobie dłonie. Wychodzą. Kurtyna opada powoli. Strzały. Kurtyna spada. Detonacja.

KONIEC

STEFAN ŁĘCZYC

WOJNA KOKOSZA

Studiując życie jakiegoś człowieka, jego pracę, zwycięstwa, ideały i klęski, słowem całą dramatycznie powikłaną kolej ludzkiego losu, pragniemy również dowiedzieć się kto go kochał, aby ustalić czy i w jakim stopniu był on szczęśliwy. I osoba, którą w otoczeniu tego człowieka znajdujemy, forma i charakter współżycia z nią, dają nam pojęcie klimatu, temperatury obserwowanej działalności.

Tak samo studiujemy poszczególne okresy ludzkich dziejów. Krążymy za kulisami historycznych konturów epoki, aby w jej szacownych mrokach doszukać się roli i znaczenia kobiety, za sprawą której niejedno zostało zrobione. Ale kobieta w życiu mężczyzny może być kwestią szczęśliwego lub nieszczęśliwego przypadku — każda epoka zaś ma taką kobietę, na jaką zasługuje. Toteż jej wizerunek duchowy jest niezwykle ważny, gdy idzie o ustalenie obrazu interesujących nas czasów.

Boy, podnoszac rolę kobiety a raczej jej wpływ na literaturę i rozwój myśli we Francji, takie znajduje słowa i takie podaje fakty: „Aby nie zostać samą (czego nie znosi), uczyła się w szesnastym wieku po grecku; w siedemnastym dyskutowała o Łasce skutecznej, wirach Kartezjańskich i subtelnościach gramatyki; w osiemnastym zgłębiła ekonomię, wtargnęła do pracowni fizyków i do obserwatoriów astronomicznych... Montaigne najpodnioślejsze części „Prób" dedykuje Małgorzacie nawarskiej. Descartes, przez wzgląd na swoje uczenice, zmienia łacinę na francuszczyznę, czyniąc tym przewrót w kulturze filozoficznej swojego kraju; Pascal rozumie doskonale, iż nawet broniąc sprawy Boga, dobrze jest panie mieć za sobą. La Rochefaucould kreśli swoje ‚Maksymy' dla zabawy pani de la Fayette; Wolter swój ‚Zarys historii obyczajów' dla pani du Chatelet i tak dalej bez końca. Niewiele jest w XVII i XVIII w. dzieł, które by w rękopisie nie przeszły przez salon lub sypialnię jakiej damy. Czasami, zapewne, w słabszych swoich chwilach, w tym obcowaniu duchowym, myśl zdrabnia się, schodzi do kobiety; ale częściej podnosi kobietę do siebie, nie czyniąc sama żadnych ustępstw, znajdując natomiast cudownie jasne i dostępne formuły wyrażania się".

Niesposób czytać tych mądrych i dowcipnych słów nieodżałowanego Boya bez uczucia zgnębienia, które szarpie nas mnóstwem pytań i domaga się odpowiedzi. Mając bowiem przed oczami panoramę naszej rzeczywistości, skąd bije dym jakże bolesnych zdarzeń, stwierdzamy z niepokojem — że nikt nas nie kocha... Mimo liczebnej przewagi kobiet nie ma ich wcale w naszym życiu, choć są one wszędzie. I ta ich uczuciowa nieobecność, w parze ze zmysłem praktycznym dzisiejszej kobiety, jej ruchliwością i otrzaskaniem, jest bodajże najgłębszą zadrą duchową tej epoki, jedną z przyczyn naszych tragicznych konfliktów i wewnętrznego skłócenia.

Jak się to stać mogło, że kobieta naszej doby zrzuciła szybko i beztrosko wszelkie aspiracje wyższego rzędu, do której predestynowała ją niedawna jeszcze przeszłość i przywarła z całą wehemencją swej egzaltowanej duszy

do najwulgarniejszych elementów brutalności i materialnych zdobyczy? Jak to się stać mogło, że altruistyczne ideały, którym zawdzięcza ona ludzkie warunki życia, i które uwolniły ją od upokarzającej roli samicy, maciory, zblakły w jej oczach, straciły swą atrakcyjną moc? Że obdarzona wolnością zużyła ją kobieta do zaognienia i obniżenia wszystkich dziedzin męskiego świata? Że oddzielona przestrzenią niecałego stulecia od wielkich heroin miłości, zjechała do smutnych nizin ,cynicznie oferując swe wdzięki byle komu, za byle co? I że wbrew przysłowiowym darom ciepła, spokoju i troskliwej opieki, z jakimi przywykliśmy łączyć każdą kobiecą działalność, pogłębiła ona tylko ohydę naszego życia i mroki tych przeklętych czasów?

Spróbujmy odpowiedzieć na te pytania, sprawa jest bowiem tak samo ważna, jak problem współżycia z Niemcami, tak samo nagląca, jak potrzeba niesienia pomocy zmaltretowanej Europie, w dzień po zawieszeniu broni; w skutkach zaś o tyle groźniejsza, że lekkomyślnie bagatelizowana przejść może z nami w pokojowe życie niby V-ta kolumna, która rozłoży nas od środka i do nowej przysposobi rzezi.

Lecz nie można w świecie szalejącego bandytyzmu oskarżać kobietę, wytaczać zarzuty i żądać od niej życia normowanego kategoriami etyki, pracy i wysokich dążeń. Żołdakowi potrzebna jest dziwka. Toteż nie myślimy zacierać w tych rozważaniach śladów samooskarżenia. Idzie tu wszelako o ustalenie składników naszej zbiorowej klęski, które m.i. wywołała degradacja kobiety, o spojrzenie na naszą rzeczywistość od strony *niezgody płci* i o możliwie logiczny obraz konsekwencyj, które leżą na linii naszego obyczajowego rozboju.

Nieprzerwany sznur wojen, ciągnący się już od pierwszych lat naszego stulecia, zdeprawował człowieka, odarł go z godności i sprowadził na szczurzą dolę rozbieganej, zastraszonej ofiary, która w każdy możliwy sposób wykupuje się śmierci i z największą trudnością zdobywa każdy dzień życia. Taka byłaby, z grubsza rzecz biorąc, pierwsza zasadnicza linia „obrony” wytyczonego tu terenu obserwacyj. Ale za tą „frontową” prawdą kryje się niezwykle skomplikowana, trudna do uzgodnienia, sieć poplątanych tez, formuł i analiz, tak że z konieczności poprzestać trzeba na luźnym przekroju, aby się w tej zawiłej wiedzy o duszy dzisiejszego człowieka bodaj pobieżnie zorientować.

Formy zewnętrzne szczęścia są szablonowe; ubogie są możliwości, jakimi się szczęście ludzkie wyraża. Tołstoj rozpoczyna „Annę Kareninę” bardzo znamiennym zdaniem: „Wszystkie szczęśliwe rodziny są do siebie podobne, każda rodzina jest nieszczęśliwa po swojemu”. Szczęście bowiem akceptuje pewną rzeczywistość, godzi się z istnieniem pewnych warunków, nie pragnie przełamania istniejących form lub przeszkód wewnętrznych, skłania się z natury do bierności, jest u podstaw swoich nieaktywne i zachowawcze. Nieszczęście natomiast jest wściekle czynne, zmienne i różnorakie, mobilizujące wszystkie władze człowieka, alarmujące każdą sekundę istnienia — nieszczęście sięga najgłębiej, wstrząsa najżywiej, jest brutalne i demaskujące. Stąd tragiczny akcent twórczości, t.zn. każdego prawdziwego życia; życia, które czerpie swą siłę z łamania uprzykrzonej normy, zastoju, martwej stabilizacji.

Budujący czynnik naszego życia, jakim jest nieszczęście, tragizm, jako uszlachetniajace bogactwo doznań, znajdują w powieści Rotha, „Hiob”, piękną sentencję: „Ból go uczyni mądrym — mówi rabin do biednych małżonków żydowskich, którzy proszą o błogosławieństwo dla swego chorowitego syna — brzydota dobrotliwym, gorycz łagodnym a choroba mocnym”. I ta formuła autentycznego wiedeńczyka, jakim był Roth, pozostaje w sprzeczności z wspaniałą nowoczesną szkołą — wiedeńskich psychologów. Zarówno Freud jak i Adler zgodni są co do tego, że ból powoduje najtrwalsze bruzdy duchowe, tworzy urazy, które deformują

człowieka i które często w dalekich dopiero pokoleniach, szukają podświadomie rewanżu — zadośćuczynienia. Wiele naszych, zdawałoby się naturalnych cech przypisuje psychoanaliza pierwszym cierpieniom, pierwszym gniewom czy żalom pierwszych ludzi świata. W tym świetle cała nasza kilkutysięczna historia jest śpiącą, bagienną wodą, potężnie rozciągłą nudą, która do tej pory nie potrafiła rozładować prymitywnych krzywd dawnego człowieka.

Ale wykazana tu sprzeczność jest tylko częściowa. Bo psychoanaliza utrzymuje również, że „nawierzchnie uraz" ulegają z czasem, wskutek niemożnosci wyżycia się, sublimacji, chemicznemu przetworzeniu. Tak n.p. pacyfista, w jej interpretacji, to po prostu „wysublimowany" nienawistnik. Czyli, że mądrość, dobroć i siła, o których mówi rabin Rotha, są bardzo wątpliwej proweniencji; trzeba bowiem głębokich cierpień, choroby, brzydoty i — kto wie — może jeszcze ubogiego, żydowskiego pochodzenia, aby się dochrapać do wymienionych cnót i uwolnić od przyrodzonej szpetności. Toteż różni się Roth ze szkołą Freuda — jak z przytoczonego wyżej zdania wynika — tylko w konsekwencjach przyjętego założenia, godzi się bowiem z tezą, że uczucie krzywdy jest historycznym dziedzictwem człowieka, że człowiek jest potencjalnie mściwy, „brzydki", że człowiek jest — zły.

Taka jest nasza scheda moralna; niegasnące źródło wszystkich naszych konfliktów, zarówno indywidualnych jak i zbiorowych — w interpretacji nowoczesnej wiedzy o duszy człowieka.

Trzeba tu jeszcze powiedzieć, że krzywdy protoplastów ludzkiego rodu, które zwaliły się na nas bolesnym ciężarem, powstawały niemal z reguły od zadrażnień natury seksualnej; na tym polu bowiem wyżywała się duma i przedsiębiorczość ówczesnego człowieka. Odpalony dzikus, zawiedziony w swych jurnych i władczych ambicjach barbarzyńca, uciekał się do broni. Ostrzono łuki, dzidy, topory, szpikulce i gromadą ruszano na pomszczenie znieważonego wojownika, „obrażonego samca", który często z powodu ułomności lub brzydoty nie wytrzymał konkurencji. A ona „baba biodrzysta", baba „wysokopierśna i szerokozada", wydana ciemnym burzom swej krwi, tajemniczym sekrecjom swych organów rodnych, tłukła się po norach, trzęsawiskach i pszenicznych łanach z bezwstydnie podniesionym symbolem życia i uciech: zapraszająco rozwidlonym siedzeniem.

Ten klasyczny obraz najpierwszych konfliktów ludzkich przetrwał z dekoratywną odmianą wielu epok i zwyczajów aż do naszych czasów i jest jak dawniej tak i dziś, skondensowanym wyrazem trudów i myśli człowieka, uproszczoną konfiguracją jego walk i zwycięstw i klęsk. Ponadto obraz ten ustala formy dynamiczne działalności ludzkiej: meżczyzna uwija się, zabiega, szykuje i walczy, kobieta — leży albo klęczy. I oto dotykamy dziedziny, którą znakomity uczony sowiecki, Nemilow, określa jako „biologiczną tragedię" kobiety.

Podnosząc przemożne znaczenie strony seksualnej w życiu kobiety i nieuniknione stąd kolizje ze światem zewnętrznym, podsumowuje wymieniony specjalista rosyjski swoje wywody następującą konkluzją „Jej (kobiety) całe życie, od urodzenia aż do grobu, jest pełne dysharmonij, nierówności, między którymi może ona co najwyżej lawirować, czego jednak wyzbyć się nie jest w stanie: nie ma bowiem życia poza granicami płci".

Kultura i cywilizacja przydały nowe horyzonty życiu mężczyzny, tworząc rozległe tereny pracy i zainteresowań, nie potrafiły one jednak uwolnić kobietę od jej biologicznej niewoli. Wskutek tej biologii właśnie bliska pierwszym rodzicielkom naszego gatunku, utrwaliła ona szczątkowe elementy ludzkiego ducha w nieskażonym stanie i dlatego ciężar dziedzictwa wieków, jak to rozumie psychoanaliza, spoczywa na niej w znacznie większym stopniu aniżeli na mężczyźnie. W tym wszystkim gdzie ro-

mantycy widzieli spirytualną czy demoniczną zagadkowość kobiety, my widzimy ślady rozwojowego cofnięcia.

Nowoczesne zatem warunki życia pogłębiają „biologiczną tragedię" kobiety. Bez większych trudów uzyskana wolność postawiła ją w jednym szeregu z mężczyzną i oto zarysowało się w jaskrawym świetle jej fatalne obciążenie, jej fizyczna i moralna nieodporność, stanowiące łącznie naturalną niejako przeszkodę w przezwyciężeniu trudów skomplikowanego bytu. Tak rodzi się przysłowiowa już drapieżność dzisiejszej kobiety, jej etyczna niesolidność — ponieważ konflikt, jaki wynika z niewypełnienia narzuconych żądań, skłania ją do obrania wymijającej postawy wobec trudów czy obowiązków, którym sprostać nie może. Lecz konflikt ten sprowadza ją ostatecznie na służbę najwłaściwszym celom: erotyzacji życia. Cóż, kiedy po odbyciu okrężnej drogi upadków i rozczarowań, przychodzi ona gorzka, zepsuta, zuchwała i złamana. Wyzbyta entuzjazmu i pozbawiona naturalnych reakcyj płci.

Bezpośrednią przyczyną śmierci Emmy Bovary były weksle a smutny los „Damy kameliowej" to autentyczne życie paryskiej kokoty: Marie Duplessis. Od tego czasu poszliśmy o tyle naprzód, że wyposażyliśmy kobietę w broń palną i środki wybuchowe, samobójstwo z powodu niezapłaconych weksli uważamy za anachronizm a prostytucję za popłatny i wcale niehańbiący zawód.

Wszystkie zdobycze socjalne, które niejednokrotnie były powodem naszej uzasadnionej dumy, nie przyczyniły się do wyniesienia człowieka na wyżyny duchowej doskonałości, niezróżnicowany ich schematyzm natomiast rozdmuchał obfite aspekty niewieściej patologii. Jeżeli życie nasze podmywa dziś smutny i straszny nurt obłędu—płynie on w znacznej mierze z zatrutego serca kobiety. Stąd pochodzą składniki naszego fizycznego i moralnego zdrowia, tu jest kolebka naszych tęsknot i zachwytów, animozyj i umiłowań. Serce kobiety to kierunek naszego życia.

Zepsutej kobiecie naszych czasów idzie naprzeciw „on": twórca otaczającej nas rzeczywistości, o którym już wiemy, że wieki istnienia nie urobiły go na anioła, i że matka, dając mu życie, nieświadomie nałożyła na niego obowiązek dokonania porachunku ze światem za jej kobiece klęski, zgnębienia i niewolę. Ten bagaż moralny, pochodzący zarówno z rozwojowego pnia człowieka jak i z toksycznego dziedzictwa po kądzieli, jest dostatecznym komentarzem do zrozumienia wielu okropności dzisiejszego piekła na ziemi. Dochodzą tu jeszcze przyczyny natury historycznej i kulturalnej ostatnich wieków, które niemniejszą odegrały rolę w mało budujacym procesie kształtowania się umysłowości i psychologii nowoczesnego barbarzyńcy.

Rozmodlone średniowiecze łączyło z ponurą i okrutną praktyką codziennego życia złotoustą miłość, pokorę i chrześcijańską wykładnię grzechu. Lata oświecenia wykpiły tę hipokryzję „maluczkich", i zwracając się do pogańskich wzorów zmysłowego smakowania życia, przegapiły narastające konflikty społecznej nierównosci. Dopiero rewolucje, amerykańska, francuska, niemiecka i rosyjska wypisują na swych sztandarach świeckie hasła równości, swobody; nadają człowiekowi, bez względu na jego majątek i pochodzenie, prawny tytuł niezależnego bytu.

Ale wszystkie rewolucje demoralizują człowieka bezkrytyczną apoteozą siły, pięści. Szczytne hasła, jakim zwykle hołdują rewolucje społeczne, stosujące z konieczności okrutne środki wykonania, pogłębiają brutalność ludzkich instynktów bardziej niż wojna, której strona ideowa jest często etycznie wątpliwa. Cały zatem wiek XIX, mimo ujmujących obyczajów, był w gruncie rzeczy cyniczny, przewrotny, oparty na gwałcie i ucisku, co ekonomicznie pieczętował wszechwładny kapitalizm. Tak się tłumaczy poczytność, popularność niemal, pisarzy takich, jak Ibsen i Nietsche. Umysł klarowny, człowiek naprawdę szlachetny, Ludwik Boerne, gdy

dochodzi go wieść o chwiejnej, odwlekającej postawie niemieckich radykałów, woła w swych świetnych „Listach paryskich": „Na wolność nie można zasłużyć, wolności nie da się wyprosić — wolność trzeba zdobyć, zrabować"! — prawda skądinąd jasna i prosta. Tyle tylko, że zawrotne możliwości siły, przewagi materialnej oczarowały mieszczuchów, którzy spojrzawszy wstecz widzieli jeszcze swych ojców jęczących w okowach despotycznego feudalizmu. I tak rosło znaczenie uporu, bezwzględności wespół z anarchią pieniądza i kultem przemocy, co w kilkadziesiąt lat później znalazło swój szczytowy wyraz w masowym wymordowaniu pewnej części mieszkańców Europy.

Otóż smutna chwała uzbrojonej pięści, rozbudowa życia na grzązkim terenie gwałtu i przemocy jest niechlubnym dziełem dzisiejszego mężczyzny. Prawda, że taki podział „winy", jaki ze sposobu przeprowadzonej tu analizy wynika, jest wyraźną symplifikacją. Albowiem ani mężczyzna ani kobieta nie powodują samodzielnie charakterystycznych dla epoki zdarzeń lecz ich zespolenie, ich zjednoczenie, które określamy słowem „człowiek": emanacja złożonego procesu wzajemnego przenikania. Ale prawdą jest i to, że forma rzeczywistości oraz treść jaka ją ożywia są, przy współdziałaniu wielu czynników, rezultatem również wyraźnego podziału ról i wykonanego w tych ramach zadania, które jest stemplem czasu. Jeżeli ponadto nie bez uczucia wyższości chełpimy się, że cała nasza kultura i cywilizacja — mimo wszystko imponujący skarbiec wieków — jest czysto męską, trzeba przyznać, że dzisiejsza katastrofa jest również dziełem mężczyzny. Ba, w ośrodkach, które z własnej degeneracji czerpały natchnienie do masowego zorganizowania dzisiejszego obłędu, tendencyjnie odkażano atmosferę od jakiegokolwiek wpływu kobiety, propagując idealną sublimację „cnót" wybitnie męskich. Toteż „noc długich noży" z 30 czerwca 1935 r., sygnał nadciągającej burzy i zniszczenia, była już chemicznie czystą masakrą rozbestwionego, spaczonego samca.

Taki jest pejzaż psychologiczny i obyczajowy, na którym rozgrywa się obecna wojna kokosza i jej coraz głębsza przemiana: wojna płci.

Zaczęło się to równo 30 lat temu, gdy mężowie, którzy ruszyli na ówczesną wojnę światową zostawili kobietę na łaskę kozaków i feldfebli. Okazało się, że ruchy wolnościowe sufrażystek XIX w., prowadzone pod magicznym hasłem „emancypacja", są śmiesznym nieporozumieniem, gdy trzeba wyżywić siebie i dzieci lub „rozbroić" rozwielmożnione żołdactwo. Na pytanie kobiety: „co robić, by temu życiu się nie dać"? odpowiadało rychło zdobyte doświadczenie: oddać się każdemu, kto ma „nagan". I zorientowały się one, że ich okrzyczana „bezbronność" ma zarówno swoją granicę oraz niewątpliwą w pewnych okolicznościach przewagę i ta świadomość wzmocniła ich kontenans i zaostrzyła smak życia. A że opory natury etycznej i intelektualnej nigdy nie mają większego znaczenia i zależne są raczej od formy obyczajowej czasów i środowiska, nastąpiło nietrudne scalenie rzeczywistości z ciemnym nawarstwieniem wieków i inklinacjami, jakie powoduje kobieca biologia. Gdy minęła chmura wojenna, wyłoniła się z mroków dziejowego tworzenia ukarminowana, smukła, niedobra „chłopczyca".

Powracający z okopów żołnierze, spragnieni ciszy i ciepła rodzinnego domu, doznali srogiego zawodu. Życie tworzone przez kobiety okazało się hałaśliwą budą jarmarczną, w której licytuje się gorączkowo najniższe aspiracje i najpodlejsze odruchy. Przyjęło ono jakiś operetkowy, choć wcale niewesoły, fałsz, obrażający ludzi, którzy dojrzeli w krwawym dymie armat i mitrialez. I całą partyturę doznań i uczuć, którą zdawało się wypadnie zarzucić z odgłosem trąbki ,wzywającej do zaprzestania ognia, trzeba było rozwinąć i grać od nowa. W zmieniony tylko sposób ale za to równie bezwzględnie i z jednaką zaciekłością. Gdy po pierwszych radościach cywilnej swobody, po pierwszych nocach, spędzonych w zatło-

czonym dancingu, wracało się do domu, ze ścian biła pustka i chłód a w oczach kobiety tliła się małość i niezaspokojony głód rozwydrzenia.

Tak narastały dnie nieporozumień, lata zadrażnień i konfliktów, zmęczonego życiem mężczyzny i opanowanej nieszlachetną energią kobiety. Tak płyną lata dwudzieste naszego wieku i tak, szarpany nobliwym łajdactwem żony i córki, umiera — David Golder. On, który prochu nigdy nie wąchał, który — jak inni z okopów — wyniósł z giełdy, dostaw i niejasnych geszeftów tęsknotę za domem i pragnienie miłości. I wespół z bohaterami spod Verdun czy Isonzo dzielił smutny los pierwszych ofiar naszej wojny kokoszej.

W tym czasie gorzki Celine znajduje niemal u kresu swej dantejskiej „podróży" ślad bezinteresowności, okruszynę „serca", u pensjonariuszki domu publicznego, w jakiejś południowo-amerykańskiej metropolii.

Niechaj politycy i ekonomiści wywodzą po swojemu przyczyny powstania nazizmu, my widzimy w nim zorganizowaną i duchowo wykoślawioną samoobronę weteranów poprzedniej wojny. Zranioną dumę samców, których sterane zdrowie a często i nędza materialna nie mogły sprostać wymaganiom rozpustnej kobiety, i którym kurzawa czteroletniej rzezi pomogła do rozwinięcia wszystkich utajonych elementów sadyzmu, jakimi obciąża człowieka jego zwierzęca przeszłość. W świetle psychoanalizy zrozumiała i prosta jest ta szczególna mieszanina wyniosłego okrucieństwa, blagi i ofiarności, z gloryfikacją munduru i mistycznym zapatrzeniem. Klasyczny obraz zgnębionej erupcji seksualnej, obrażonych instynktów wałacha, na gruncie obyczajowego nihilizmu i niedostatku.

I kiedy się ta zaraza rozniosła po świecie nawet Stefan Zweig stał się piewcą życiowego „przeboju". W doskonałej pracy o Casanovie wyznaje Zweig, iż trawiła go zazdrość podczas czytania pamiętników genialnego awanturnika, z powodu... niebywałych rozmiarów instrumentu miłości, jakim rzekomo Casanova dysponował. Oto „100% męskości" z ekranów i sensacyjnych powieści, które zdradzają marzenia i tęsknoty — autorów.

Nazizm nie jest tylko chorobą niemiecką; nazizm to powojenna infekcja moralna, od której przewala się w torsjach i rzyga cały ludzki glob. Tylko że narody o silniejszym organiźmie przechodzą tę chorobę lżej aniżeli narody, których poprzednia wojna lub ostre procesy społeczne pozbawiły naturalnej odporności. Nie jest też nazizm tylko orientacją polityczną; to przede wszystkim psychologia. To głęboko dotknięty w swej godności człowiek, który utracił zdolność twórczej koncentracji i nie ma w normalnym życiu żadnych szans. Stąd rozpaczliwa pasja niszczenia, gwałtowna chęć wykazania się wulgarną siłą, siłą jaką daje zorganizowany bandytyzm. Nazizm, który w Niemczech dorwał się władzy, gdzieindziej zakłada przedsiębiorstwa handlowe, ględzi o rasie, wywołuje burdy i propaguje dziki nacjonalizm. Niezależnie więc od wyników obecnych zmagań, epidemia ta zatruje również życie drugiej połowie lat naszego stulecia, czemu nie przeciwdziała ani słodycz wyszukanych frazesów ani dialektyczna ekwilibrystyka. Pod szeroko rozwiniętym sztandarem demokracji jest tyle nazistowskiego łajna, że użyźnia ono glebę pod obrzydliwe plony chamstwa i terroru na długie lata.

Tryumfujący nazizm doznał entuzjastycznego przyjęcia ze strony kobiet. Podobał się jego zwycięski zadzior, prostactwo i ryzykancka fantazja. Prawdopodobnie dlatego, że wymienione cechy są zawsze bliskie duszy o silnych akcentach pierwotnych. Kobieta kocha powodzenie, łatwo ulega czarom nie swoich nawet sukcesów. Każdy, kto umie nagiąć życie do praktycznych zamysłów, zdobywa poklask kobiety, ujarzmia jej serce, łaknące uciech i błyszczenia. I jeżeli życie skąpi jej swych blasków, darzy ona tych, którym się poszczęściło, ciepłem niewygasłych pragnień.

Nie koniec na tym. Kobieta nie chce i nie umie walczyć; obca jest kobiecie uparta systematyczna praca, w wyniku której mężczyzna kształci

się, dojrzewa i tworzy. Walka wyniszcza kobietę. Lata zatem dwudzieste naszego wieku, pierwsze lata złotej wolności kobiety, dały jej niemal wszystko ale — na „męskich" warunkach. To znaczy, że ma ona i możność i prawo startowania na każdym terenie ludzkiej działalności i tylko od jej pracy, uzdolnień i przysłowiowego łutu szczęścia zależy poziom jej osiągnięć a w ślad za tym życia. Już dyspozycja psychiczna, z jaką kobieta zjawiła się na starcie, nie wróżyła nic dobrego. Postanowiła ona nie stawiać na pracę; zdolności, jakie pragnęła rozwinąć, odpowiadały raczej atmosferze baru lub sypialni, natomiast całą stawkę rzuciła na „szczęście". Toteż z pracy nic nie wyszło, talenty uwodzicielskie uprawiane zawodowo prowadziły z kolei do niechlubnej specjalizacji a szczęście, jak szczęście właśnie, przychodziło rzadko, ciągle rzadziej i w dodatku blade, dalekie od wymarzonej pełni. Pobudowano w tym czasie na świecie dużo rozrywkowych lokali i zakładów kosmetycznych ale też zrujnowano, wykolejono całe pokolenie kobiet. Gorzkie i zmęczone, wyczekujące w kawiarniach bogatego „amatora", z nadzieją lepszej odmiany przywitały kobiety konserwatywne hasła nazizmu. Okrzyczana wolność ciążyła na nich jak zmora i na co dzień oznaczała po prostu niedostatek i osamotnienie a nazizm propagował zbożne dziecioróbstwo, powrót do domu i do spoczywającego na męskich barach jutra. Odpowiedni slogan, spreparowany dla „potrzeb" niemieckich, brzmiał: „Jede deutsche Frau muss ihren Mann haben". Oddały się, tym razem, z całego serca.

Łatwo sobie wyobrazić małżeństwo „niedoszłej ulicznicy z gangsterem-psychopatą, żeby ich intencje były nawet jak najlepsze. I tu się zaczyna akt 5-ty naszej tragedii.

Życie w atmosferze przymusu, obowiązków jest męką, gdy się zakosztowało smak wolności, chociażby ta wolność była i chłodna i głodna. Z przytulnym ciepłem domu i pewnością jutra łączy się jarzmo trudów, które kobieta zawsze uważała za krzywdzący balast, niesprawiedliwość losu. Jeżeli dodać jeszcze jej duchowe pogmatwanie oraz nurtujące ją uczucie zawodu, otrzymamy pewien stan uczuciowego nasilenia, którego cały ciężar przechyla się poza granicami domu. Jak żyć bez ulicy, kawiarni, dancingu, bez tej natłoczonej, rozwierzganej masy, gdzie czczość graniczy z przyspieszonym biciem serca, chandra łączy się z jakąś ucieszną bzdurą a całe życie ma charakter pasjonujacej improwizacji? Tej podniecającej gorączki, tego okupującego uroku rzeczy dawnych czy utraconych nie zastąpią statyczne radości zapracowanej domownicy. Słowem, to co się działo w sercu kobiety, emocje którym się jeszcze poddawała—to wszystko pochłaniała ulica. W domu odrabiała niewolę.

Gdyby marzenia i tęsknoty naszej kobiety trafiły na dobrze odmierzoną formę męskiego rozumu i prawości, możeby dom i życie w tym domu wydało jej się niepozbawione wdzięku i warte ofiary z młodych lat. Ale tępy okrutnik, o ropiących wrzodach ducha, któremu spaczone pojęcia kazały widzieć w kobiecie przedmiot zaspokojenia jego chorych zachceń, i zapobiegliwą kucharkę, potrafił w niedługim czasie wywołać serdeczny wstręt do wszystkiego co trąci wspólnotą stworzonego domu. I byłoby zapewne znacznie lepiej dla naszego świata, gdyby takie małżeństwa, po nieudałej próbie, zrezygnowały z dalszego współżycia. Najczęściej jednak bywało tak, że on, któremu niełatwo o partnerkę, przywykał po prostu i popadał w tragiczną od kobiety zależność a ona, za cenę obojętnie znoszonych świństw, zdobywała pewien dostatek i niejaką swobodę. W Niemczech otrzymywała jeszcze kobieta nakaz partii do posłusznego wytrwania w małżeństwie lub konkubinacie z osobnikiem, którego owocna działalność służy wielkości Fuehrera i chwale ojczyzny. Wszystko razem składało się na smutną podwalinę upiornego domu. Domu-piekła, domu-hańby, domu-kloaki i wojującej śmierci. Nienawiść, pogarda oraz sadystyczna

żądza zadawania bólu, to jedyne uczucia, które się w takim domu rodzą i pielęgnowane z zaciekłością osiągają szczyty wyrafinowanych tortur.

W literaturze tylko Dostojewski dostrzegł, pod solidną powłoką mieszczańskiej „idylli" swoich czasów, takie pokłady ducha, potencjalne możliwości, które scalił w odrażającą wizję świata. Życie prześcignęło to genialne ostrowidztwo i uwolniło się radykalnie od resztek Dobra, Miłosci, Łaski i Pokory, jakimi pisarz rosyjski wzbogacił życie swoich bohaterów. Bohaterzy naszej rzeczywistości to już idealnie czyste, z niczym niezmieszane kanalie.

Nakreślony tu stan rzeczy — popularniejszy nieco wariant zdegenerowanych form współżycia, jakie panowały w Europie na parę lat przed obecną wojną, to ta kropelka, w której odbija się cały ów świat, idący już nieuchronnie w nową katastrofę. I może sprawiedliwy jest los, gdy z hukiem wybuchających bomb, walą się dziś skruszone na proch i dym te „straszne mieszkania", te nory moralnego rozkładu—wytwórnie nienawiści.

Ale w tych domach, jak długo w nich byli ludzie i żarli się „po swojemu", urosło pokolenie, które po przejściu burzy, wróci — „by żyć". Dziedzictwo wieków, jak to staraliśmy się wykazać, jest smutne, tajemnica procesów wewnętrznych człowieka — niezgłębiona a doświadczenia ostatnich lat — straszne. Wojna płci, tak ważna dla kierunku naszego przyszłego życia, trwa nadal i jest już wojną trzydziestoletnią. Nie zakończą jej ani traktaty pokojowe ani nawet „bezwarunkowa kapitalucja" nazizmu. Dokąd idziemy?

Dopóki umundurowany świat służy dziełu zniszczenia, problem o którym mowa gubi się w absorbujących nas śmiertelnych zapasach i dlatego tak ostro rysuje się dzisiaj wrogi do siebie stosunek mężczyzn i kobiet. Potrzeba utrzymania pewnych pozorów tłumiła jeszcze kiedyś co okrutnie sze odruchy, które ze wzmożoną wehemencją przeszły dziś do jawnego pomnażania nikczemności i stały się obowiązującym niemal snobizmem. Ma to charakter jakiegoś cwaniactwa, beztroskiej brutalności zdobywcy, czym się ludzie chełpią i popisują.

Obiektywna jednak obserwacja każe przyznać, że tu i ówdzie pojawia się jakaś ręka wyciągnięta do zgody, że niejednokrotnie zdrowy ludzki rozum nawołuje do pojednania. I z reguły jest to ręka mężczyzny; głos — niezmiennie męski.

Widocznie w początkach ludzkiego istnienia człowiek nie tylko wojował ale i kochał, wzruszał się i był szczęśliwy. I pamięć tych odległych doznań nie uległa widać groźnym deformacjom — jak to chce psychoanaliza—ale miała narówni z nienawiścią i okrucieństwem swój rozkwit i swoje po ludziach „chody". Tak przenikały idee ładu i miłości bliźniego, które zrodziła pamięć wielkich rozkoszy życia, pamięć radosnego, serdecznego stosunku człowieka do ludzi i świata. Całe obyczajowe rycerstwo ma tu właśnie swój początek i obowiązujący wszystkie czasy styl zdawkowej grzeczności, stąd właśnie jest rodem. Jest jedną z największych tajemnic życia bliskie sąsiedztwo miłości z nienawiścią i tylko prawdziwy mężczyzna łączy je doskonale. Wzorowa harmonia męskiej kultury jednoczy te dwa elementy w trudną do utrzymania twórczą równowagę.

Kobieta zaś widzi w dzisiejszych swoich warunkach, nie poddanym wskutek wojny sciślejszej obserwacji, osiągniętą wreszcie swobodę, którą zamierza dopiero rozwinąć i poszerzyć. Głosy nawołujące do pojednania uważa za wsteczny zew męskich instynktów, za chęć ograniczenia jej wolności i za atak na jej prawa. Chodzi jej o prawo do dowolnego dysponowania swoją osobą niezależnie od ustalonych przez świat męski pojęć bytu. A także o jawne prawo miłowania i nienawidzenia. Kobieta pragnie sama sądzić „co jest dobro a co zło", bez względu na to czy przyjęte przez nią kategorie moralne znajdują łaski w oczach mężczyzn lub nie. Kobieta nie chce uchodzić za fałszywe bóstwo moralnego piękna i prawości, nie chce swoich namiętności ani na gust męski korygować ani się ich wypierać;

chce ona natomiast być sobą... W rozpowszechnionej wierze, że jej serce jest czy ma być symbolem tkliwej dobroci, widzi dzisiejsza kobieta przemyślną formę ucisku.

Nawet niepozbawiona racji jest ta wola życia „na własna rękę”, gdyby nie obrzydliwa praktyka rzeczywistości, nasze codzienne doświadczenia. Dowodzą one bezspornie, że kobieta jest gotowa zawsze i wszędzie zastąpić rzetelny trud sprytnym uplasowaniem swego „wyemancypowanego” ciała — przez co poziom moralny życia doznaje niebezpiecznego obniżenia. Wszędzie tam gdzie zjawia się dzisiejsza kobieta, następuje gwałtowna deprecjacja ostatnich jeszcze wartości etycznych. Mężczyzna służy jej wyłącznie jako teren materialnej eksploatacji.

Zapewne lepsi i szczęśliwsi byli mężczyzni XIX w., którzy zgodnie z miarodajną opinią swoich myślicieli i ludzi nauki twierdzili, że jedyną namiętnoscią wypełniającą życie kobiety jest miłość. A kobieta i seks to były synonimy. Oszałamiająca wolność jednak, rodzaj życia przez nas tu naszkicowany sprawiły, że kobieta XX w. jest aseksualna a jej erotyzm to świadomy po prostu wysiłek dla zgoła niesentymentalnych celów. Kobieta XX w. „robi karierę”.

Zgodzimy się ostatecznie z Russellem gdy powiada, że nie jest znów rzeczą tak ważną czy kochana kobieta dzieli swój wolny czas z jednym czy z wieloma mężczyznami. Natomiast upierać się będziemy przy tym, że ważna jest przyczyna, dla ktorej jeden mężczyzna jej nie wystarcza. Jeżeli dzieje się to dla „forsy”, mamy uzasadnione powody do... niepokoju.

Bo niezawodnym miernikiem czasów, igłą dziejowego sejsmografu, która określa drogę jaką kroczy epoka i charakter jej życia, jest kwestia: „co w określonych czasach za ‚forsę’ można dostać.” Przez „forsę” rozumiemy tu zarówno pieniądze jak i wszelkiego innego rodzaju korzyści utylitarne. Jeżeli na tę „forsę” wali rozwydrzona i gotowa na wszystko masa kobiecego ciała, łatwo się zorientować, że idziemy w świat z pewnością nie lepszy od naszej rzeczywistości.

Kobieta jest ostatnią redutą, o którą rozgrywa nasz świat krwawą partię za lub przeciw porządkowaniu życia kategoriami etycznymi. Jeżeli i ta batalia zostanie przegrana, tak jak przegrana niestety jest już dziś wojna o demokrację, życie ludzkie stanie się nie tylko męką ale i upokarzającą hańbą. Jakie usprawiedliwienie znajdzie sumienny człowiek wobec potomków, których lekkomyślnie do życia powołał, gdy porządek świata odbiera mu prawo do własnego słowa, do własnych myśli, gdy morderstwo jest jego codziennym zajęciem a zdeprawowana kobieta niczego zaofiarować mu nie chce i nie może, oprócz wyczynów natury sportowej — za odpowiednim wynagrodzeniem? Chyba, że ktoś świadomie mści się na życiu produkcją zbrodniarzy i kurw. Takie są zresztą praktyczne i psychologiczne konsekwencje nazizmu, tej filozofii złego człowieka, naukowo ugruntowanej założeniami psychoanalizy.

W przeciwieństwie do dzisiejszej kobiety ujawnił mężczyzna najczystszy seksualizm — często na skutek tragicznych przejść niewyżyty i zdeformowany — ale w istocie swej naturalny i żywiołowy. Mimo braku sympatii dla samca naszego wieku przyznać musimy, że jego dynamizm seksualny jest bezwzględnie wolny od geszefciarstwa i frymarki. Kobieta oddaje się w zamian za spodziewane wartości lub świadczenia, mężczyzna natomiast bierze ją powodowany jedynie i tylko żywą ochotą. Toteż mnóstwo jest dziś mężczyzn o „złamanym sercu”. Nie wolno jednak nie widzieć, że oszustwa erotyczne są przyczyną najgroźniejszych zatargów ludzkich i ludzkiego rozbestwienia.

Nie wróżymy zwycięstwa kobiecie w tej wojnie płci. Pewne jest tylko, że życie nasze tak długo nie zazna spokoju i świat nasz nie zejdzie z drogi zbrodni i obłędu, dopóki nie nastąpi pokój wśród należących do siebie odmian ludzkiego rodzaju.

„Jest rzeczą wzruszającą — powiada Giraudoux, w ostatniej swojej sztuce, ‚Sodoma i Gomora', — że anioł spodziewa się cudu od ludzi. Jeżeli jednak zobaczy, iż niczego od nas oczekiwać nie może, gdyż mężczyzna i kobieta nie znają się wcale, oszukują się wzajemnie i pogardzają sobą — podniesie on ramię, rzuci krzyk anielski i wszystko się skończy".

Czekamy na kobiety tam, gdzie jest ich miejsce: w domu rodzinnym; w domu wolnym od mroków wojen i niezgody. Czekamy ufni w prawdziwą miłość, jako że jedna ona uciszyć może znękane serce błądzącego i umęczonego świata.

DOROTA FALSKA

REFRENY HISTORII

Podczas przygotowywania Traktatu Wersalskiego w roku 1919 Prezydent Wilson nie pozwalał podobno swym podwładnym na zaglądanie do archiwów Kongresu Wiedeńskiego z roku 1815. Wilson odzywał się pogardliwie o „odorze" Kongresu Wiedeńskiego, przed którym chciał ustrzec nowy twór dyplomacji międzynarodowej. Nic dziwnego. Kongres Wiedeński był najbardziej klasycznym wyrazem tajnej dyplomacji, „koncertu" wielkich zwycięskich mocarstw, które decydowały o losach Europy, nie licząc się zbytnio ani z nastrojami swych własnych narodów, ani tym mniej z dążeniami i żądaniami narodów mniejszych. Traktat Wersalski natomiast układano w atmosferze rozbudzonych ruchów ludowych w całej Europie, po zawaleniu się kilku monarchii, po otwarciu tajnych archiwów dyplomatycznych w Rosji, gdy wydawało się, że tajna dyplomacja została zabita powszechną pogardą jaką ją otaczano i gdy zdawało się, że w porywie demokratycznej równości małe państwa rzeczywiście zyskały sobie prawo przemawiania do wielkich mocarstw jak równi do równych. Były to w dużej mierze złudzenia. Lecz wiara w te złudzenia była tak silna i powszechna, że stanowiła czynnik realny w kształtowaniu pokoju i nadawała styl dyplomacji okresu wersalskiego. „Open covenants openly arrived at" — „jawne układy jawnie zawierane" — oto jak brzmiało idealistyczne hasło Wilsonowskie. Nic dziwnego, że autor tego hasła bronił się zawzięcie przed „odorem" Kongresu Wiedeńskiego.

Wystarczy czytać co pisze się obecnie w prasie alianckiej o przyszłym pokoju i układzie stosunków powojennych, by odrazu zauważyć jak zawzięcie dyplomacja i jej rzecznicy bronią się obecnie z kolei przed „odorem" Wersalu. Hasło „open covenants openly arrived at", jeśli bywa jeszcze przypominane, to przeważnie po to, by służyć za przedmiot pobłażliwego politowania, jako wyraz naiwności i niedowarzenia ludzi, którzy wysunęli je ćwierć wieku temu. Zasada samostanowienia narodów, prawo małych narodów do współdecydowania o losie świata, traktowane są z nabożeństwem z jakim ogląda się w muzeach nieporadne narzędzia pracy człowieka z epoki kamiennej; anachronizm ten ma w sobie coś niesłychanie egzotycznego, a nawet pociągającego. Lecz podobnie jak żaden trzeźwy i rozumny człowiek nie użyłby wykopalisk z epoki kamiennej zamiast nowoczesnego warsztatu, czy maszyny, tak współczesna dyplomacja nie zgodziłaby się na zastąpienie wielkich, najnowocześniejszych i najdoskonalszych globalnych koncepcji politycznych anachronistycznymi pojęciami samostanowienia narodów i praw narodów małych, które zaledwie 25 lat temu miały jeszcze świeżość i atrakcyjność prawd dopiero co odkrytych. Dyplomacja i prasa zdają się natomiast sięgać z zapałem do wzorów z okresu Kongresu Wiedeńskiego. „Odór" Wiednia przy-

wrócony został do czci i godności. „Koncert” europejski urósł do miary „koncertu” światowego. Areopag wielkich mocarstw stał się na nowo najwyższym trybunałem rozumu politycznego i realizmu, a w gabinetach dyplomacji wywołuje się duchy Metternicha, Talleyranda, Aleksandra I i Castlereagh'a, by stały się świadkami swych nowych zwycięstw za grobem.

Trudno jeszcze powiedzieć, czy ten nawrót do 1815 odbywa się na stałe i na trwałe i czy nic go w najbliższej przyszłości nie zakłóci. Święte Przymierze, które wynikło z Kongresu Wiedeńskiego, było żniwem politycznej reakcji, zbieranym przez dyplomację. Rewolucja Francuska wyczerpała się była do cna. Wywołane przez nią w całej Europie ruchy wolnościowe ulegały paraliżowi. Zastój ruchów wolnościowych był tajemniczą przyczyną tej siły i krzepkości, którą mogły się znów chełpić monarchie absolutne. Gdy ludy zamilkły, szept dyplomacji tworzył narazie historię. Czy ta sytuacja powtórzy się w latach najbliższych? Od tego w gruncie rzeczy zależą losy „wielkich” koncepcji dyplomatycznych, wykuwanych obecnie w ciasnym gronie przewódców wielkich mocarstw.

Nawrót do roku 1815 tłumaczy się jednak i innymi przyczynami. Podobieństwo między wojnami napoleońskimi a drugą wojną światową jest pod wielu względami niesłychanie jaskrawe. Historycy wojny i publicyści wojskowi eksploatują tę analogię niemal że do znudzenia. Błyskawiczne podboje na skalę kontynentalną unaoczniają dziś jeszcze wyraziściej niż w epoce napoleońskiej, decydującą rolę wielkich mocarstw w dziedzinie wojny. Pogarda dla praw narodów małych znajduje argumenty na swoje uzasadnienie w samej technice wojny. Dokładnie 130 lat temu, 24 września 1814 roku angielski minister spraw zagranicznych Castlereagh donosił z Wiednia swemu rządowi, że „w jednym punkcie panuje tylko całkowita zgodność a mianowicie co do tego, że w praktyce prowadzenie spraw dyplomatycznych pozostawać musi w ręku mocarstw przodujących”. Brzmi to niemal jak zdanie ze sprawozdań „Times'a” o konferencji wielkich mocarstw w Dumbarton Oaks we wrześniu roku 1944. Oficjalny angielski historyk Kongresu Wiedeńskiego C. K. Webster w ten sposób charakteryzuje przebieg Kongresu roku 1815:

> „...Kongres Wiedeński nigdy w gruncie rzeczy nie ukonstytuował się jako Kongres ogólno-europejski. Pozostał on Kongresem wielkich mocarstw, które dla swej wygody wezwały mniejsze państwa Europy do obrad. Pomysł zgromadzenia konstytuującego, wysuwany przez niektórych, pomysł, który usiłował wykorzystywać dla swych celów Talleyrand, okazał się niepraktyczny. Wielka ilość małych państw sprawiała, że zgromadzenie takie było w każdym razie niemożliwe, lecz na tym punkcie życzenia panów Europy były jasne i nieugięte. Uważali oni siebie samych za „Europę”, a na Kongresie z powodzeniem umocnili hegemonię wielkich mocarstw. Małe państwa dopuszczane były tylko wówczas i na takich warunkach, jakie dogadzały tym, którzy posiadali wielkie zasoby i wielkie armie pod swoim dowództwem”.

Jeszcze kilka lat przed Kongresem Wiedeńskim Aleksander I wypowiedział wobec ambasadora Francji słynne słowa: „Któż to stanowi Europę, czyż nie Pan i ja!?”, słowa, które w czasie wojny obecnej na pewno powtarzane były w różnych wersjach i przy różnych okazjach.

Niektóre momenty Kongresu Wiedeńskiego są tak łudząco podobne do metod używanych obecnie, że warto je przypomnieć dość szczegółowo. Tak na przykład wspólny front wielkich mocarstw wobec państw mniejszych bynajmniej nie oznaczał, by wielkie mocarstwa współpracowały ze sobą w duchu niczym niezamąconej harmonii i wzajemnego zaufania. Dzieje Kongresu Wiedeńskiego są jednym pasmem kryzysów zaufania między wielkimi mocarstwami sprzymierzonymi. Kryzysy te wynikały oczywiście z rozbieżności interesów i wzajemnej podejrzliwości. „Każdy minister poruszał się z niesłychaną ostrożnością, jednakowo niepewny polityki,

którą sam ma zastosować jak i rzeczywistych intencji swoich sprzymierzeńców" — oto jak historyk charakteryzuje atmosferę Kongresu. Sam Napoleon z rozbieżności tych zdawał sobie dokładnie sprawę i miał do końca nadzieję, że rozsadzą one od wewnątrz wrogą mu koalicję europejską. Napoleon jednak, podobnie jak obecnie Hitler omylił się w swych rachubach. Rozbieżności interesów były dość silne, by wywoływać stany naprężenia dyplomatycznego między poszczególnymi sojusznikami, lecz groźba jaką Napoleon przedstawiał dla koalicji była tak silnym czynnikiem jednoczącym koalicję, że odsuwała rozdźwięki wewnętrzne między sojusznikami na plan dalszy. Miały się one ostrzej ujawnić dopiero po zadaniu Napoleonowi ostatecznej klęski. Jeśli Napoleonowi nie danym było grać na rozbieżnościach między Aliantami, to cel ten osiągnął jednak po Napoleonie przedstawiciel pobitej Francji na Kongresie pokojowym, Talleyrand. Początkowo warunki zwycięskich mocarstw podyktowane pokonanej Francji nie wiele różniły się od formuły „bezwarunkowej kapitulacji". Pokój Paryski z 1814 roku zawierał mianowicie tajną klauzulę, w której Francja zgadzała się na to, by decyzje o losie ziem odebranych jej oraz o nowym układzie sił w Europie „podejmowane były na podstawie zasad, określonych przez same mocarstwa sprzymierzone". Kongres miał się ograniczyć do ratyfikowania uchwał czterech mocarstw sprzymierzonych. Nikt z dyplomatów państw zwycięskich nie spodziewał się na początku Kongresu, że Talleyrand dopuszczony na Kongres jak gdyby z łaski i zadawalający się rolą skromną i potulną, pod koniec Kongresu zdoła wysunąć się na jedno z czołowych stanowisk, a z czasem nawet występować w roli arbitra między swymi skłóconymi przeciwnikami.

Intrygi Talleyranda były zbyt często opisywane, by trzeba było je przypominać. Warto jednak przypomnieć, że Talleyrand operował głównie dwoma atutami. Występował on w pozie rzecznika państw małych, wyzyskując niezadowolenie licznych delegacji pokojowych, zignorowanych przez Wielkę Czwórkę. Była to oczywiście poza nieszczera i wyrachowana. Talleyrand nie bawił się w obrońcę małych narodów, gdy tylko Francja dopuszczona została do Rady Wielkich. Drugim, o wiele poważniejszym atutem Talleyranda był strach Anglii i Austrii, a częściowo i Prus przed potęgą Rosji. Po klęsce Napoleona Aleksander I pozostał głównym zwycięzcą na kontynencie. Po upadku la Grande Armée, armia jego była najpotężniejszą siłą zbrojną na lądzie. Na czele wojsk, które wkroczyły do Paryża tryumfalnie wjechał do stolicy Francji rosyjski car. „Tak więc — pisze historyk angielski Alison Phillips — Aleksander znalazł się w sytuacji, o jakiej marzył od dawna. Był centralną figurą konfederacji europejskiej, arbitrem świata z łaski Bożej i z sankcji niezłomnej potęgi Rosji, sięgającej teraz na skutek zdobycia Polski, w samo serce Europy. W tych warunkach politykom wydawało się, że Rosja stanowi dla wolności Europy groźbę niemal tak alarmującą, jaką była groźba Francji. Obawy te wzmagał jeszcze zagadkowy charakter samego cara". Kwestia polska, zazębiając się o sprawę Saksonii, stała się przyczyną przewlekłego „deadlock'u" w obradach Kongresu. Aleksander domagał się zjednoczenia ziem polskich spod zaboru rosyjskiego oraz zaboru pruskiego w Królestwo Polskie pod jego berłem. Za utratę Poznania i Torunia obiecywał Prusom rekompensatę w postaci przyłączenia Saksonii do Prus. Wywołało to gwałtowne sprzeciwy ze strony Metternicha, który bronił przodującego stanowiska Austrii w tworzącej się konfederacji niemieckiej, Talleyranda, który obawiał się wzmocnienia Prus oraz Castlereagha, który w nadmiernym wzroście potęgi ro yjskiej widział groźbę dla równowagi sił w Europie.

Spór ten nabrał niesłychanej ostrości pod koniec roku 1814, zwłaszcza, że zwycięskie państwa okupowały szereg krajów według ustalonego planu „stref okupacyjnych" i zachodziła obawa wykorzystania okresu okupacji dla stwarzania „faktów dokonanych". Wprawdzie Traktat Paryski zo-

bowiązywał mocarstwa sprzymierzone do lojalnego wykonywania okupacji, lecz ponieważ każde państwo zajmowało ziemie, które należały do jego „strefy wpływów" zachodziło wciąż podejrzenie, że zobowiązanie to zostanie złamane. Wojska rosyjskie okupowały całą Polskę i Saksonię, jak i Holsztyn i inne prowincje północne, podczas gdy wojska pruskie stały na lewym brzegu Renu i w Moguncji. Pokusa stwarzania faktów dokonanych była więc wielka, a Aleksander I odgrażał się: „J'ai conquis le Duché et j'ai 480.000 hommes à le garder". (Refreny historii bywają czasem naprawdę zdumiewające; deklaracje państwa sprzymierzonych, ogłoszone w wyniku Konferencji Moskiewskiej z października 1943 roku, zawierają następujące zobowiązanie, jak gdyby żywcem wyjęte z Traktatu Paryskiego: „Po zakończeniu działań wojennych (mocarstwa) nie będą używały swych sił zbrojnych na terytoriach innych państw dla celów innych, niż te, które są przewidziane w niniejszej deklaracji i nie inaczej jak po wzajemnej konsultacji".)

W ostatnich dniach 1814 roku wydawało się, że wojna między wielkimi mocarstwami zwycięskimi wisi na włosku. W liście do premiera Liverpoola, noszącym datę Nowego Roku, minister Castlereagh donosił, że Prusy i Rosja już podejmują kroki wojenne; i opisywał zaobserwowane ruchy wojsk, choć wyrażał przypuszczenie, że ruchy te niekoniecznie pomyślane były na serio, że mogą one okazać się tylko groźbą obliczoną na wzmocnienie stanowiska Rosjan i Prusaków w czasie rokowań. Groźby przybierały jednak charakter coraz bardziej alarmujący. Książę Hardenberg, przedstawiciel Prus, oświadczył, że jeśli Anglia i Austria nie zgodzą się na aneksję Saksonii przez Prusy, to Rosja i Prusy będą to uważały za casus belli. Na manewr ten Castlereagh odpowiedział błyskawicznym kontr-manewrem, a mianowicie zawarciem sojuszu obronnego między Anglią, Austrią a dopiero co pobitą Francją. Był to tryumf Talleyranda. Obóz zwycięzców już był rozbity na dwa obozy, szykujące się do walki. Wydawało się przez chwilę, że wszystkie układy dyplomatyczne zawarte w czasie tworzenia koalicji przeciw Napoleonowi zamieniły się w bezwartościowe świstki papieru. Niespełna dziewięć miesięcy upłynęło od zawarcia Czwór-przymierza (Traktat z Chaumont z 9 marca 1814 roku) z terminem dwudziestoletnim, skierowanego przeciwko „agresji francuskiej", a oto Francja już uczestniczy w sojuszu, skierowanym przeciwko agresji rosyjskiej i pruskiej! Do tego nagłego zwrotu Castlereagh zresztą zachęcany był przez ludzi najbardziej wpływowych w ówczesnym życiu politycznym Anglii. Nie kto inny jak przyszły zwycięzca spod Waterloo, na pół roku przed tą decydującą bitwą zaklina Castlereagh'a, by kontynuował „the great effort to produce the union of all the powers in Europe against the projected aggrandizement of Russia".

Nie na próżno jednak mawiał Castlereagh, że „pogoda w Rosji robi się zazwyczaj łagodna po porządnej burzy". Dowiedziawszy się o tajnym sojuszu angielsko-francusko-austriackim, car Aleksander przestał szermować pogróżkami i okazał się rychło nadspodziewanie ustępliwy w sporze o Polskę i Saksonię. Tak samo zresztą spuścili z tonu Prusacy. W dwa dni po zawarciu sojuszu z Francją i Austrią Castlereagh już mógł donieść Liverpoolowi: „Mam wszelkie podstawy, by przypuszczać, że alarm wojenny już minął. Dowiaduję się, że sprawa rozważana była ubiegłej niedzieli przez gabinet pruski, gdzie wypowiadano się za właściwą zmianą stanowiska w sprawie Saksonii". Wkrótce zarówno car Aleksander jak i książę Hardenberg zwracają się do Castlereagh'a z prośbą, by wystąpił jako arbiter w sporze. W kilka zaś tygodni po groźnych manewrach i kontr-manewrach wojennych na Kongresie Wiedeńskim dochodzi do ostatecznego porozumienia w kwestii granic. Aleksander ustępuje Prusom Toruń i Poznań, a Prusacy wyrzekają się pretensji do Lipska. Koalicja przetrwała najcięższą próbę. Obawy przed ekspansją Rosji, osiągnąwszy

punkt szczytowy, teraz słabną. Rosja rezygnuje ze swych planów maksymalnych i zadawalnia się granicami, na które uzyskuje zgodę swych sprzymierzeńców. Talleyrand wprawdzie zdobył dla Francji burbońskiej miejsce w Radzie wielkich mocarstw. lecz zarazem przekonał się, że nadzieje jego na skłócenie Anglii i Austrii z Rosją szły stanowczo za daleko. Pomimo wielu momentów krytycznych w stosunkach między Anglią a Rosją, do starcia zbrojnego między tymi państwami nie dochodziło w ciągu czterech dziesięcioleci, które upłynęły od Kongresu Wiedeńskiego do wojny Krymskiej. Jeszcze w czasie Kongresu Wiedeńskiego Koalicja odzyskała swą wartość gdy Napoleon nagle wylądował we Francji w pierwszych dniach marca 1815 roku. Dwudziestoletni sojusz zostaje wznowiony i w końcu przekształcony na „Święte Przymierze" absolutnych monarchów.

Stanowisko Castlereagh'a wobec sprawy polskiej było dość skomplikowane, a poglądy historyków na jego stosunek do Polski są rozbieżne. Współautor Świętego Przymierza liczył się z sympatią dla Polski w swym własnym społeczeństwie. Oburzenie z powodu rozbiorów Polski było jeszcze dość żywe w Anglii nawet w okresie Kongresu Wiedeńskiego, dwadzieścia lat po ostatnim rozbiorze. To też Castlereagh bardzo skrupulatnie podkreślał zawsze, że „w zasadzie" sprzyjał jedynie takiemu rozwiązaniu sprawy polskiej, które przywróciłoby Polsce całkowitą niepodległość. Lecz to „zasadnicze" stanowisko angielskiego ministra spraw zagranicznych nie miało i nie mogło mieć wpływu na jego posunięcia praktyczne. Sympatia dla Polski była czysto platoniczna. Castlereagh zresztą nie był związany żadnymi obligami moralnymi czy też dyplomatycznymi wobec Polski. Rozbiory były już faktami politycznymi, usankcjonowanymi przez upływ czasu i przyjętymi na ogół do wiadomości. Polska zresztą stanęła po stronie Napoleona, to jest wroga Anglii. Stosunek ówczesnych Polaków wobec ówczesnej Anglii możnaby, mutatis mutandis. przyrównać do obecnego stosunku Finnów do Anglii czy też Stanów Zjednoczonych. Pomimo to nastroje wobec Polaków były raczej życzliwe. Lecz była to życzliwość nieobowiązująca do praktycznych kroków w obronie Polski. Wszystkie trzy państwa zaborcze były pod koniec wojen napoleońskich sprzymierzeńcami Anglii. Castlereagh uważał przeto, że żądanie przywrócenia niepodległości Polski nie miało żadnych szans realizacji. Gdyby je wysunął, mógłby spowodować sojusz trzech państw zaborczych, związanych solidarnością gwałtów dokonanych na Polsce. Występując przeciwko planom polskim Aleksandra I, Castlereagh bynajmniej więc nie występował w obronie Polaków. Plan Aleksandra polegał na przekreśleniu sytuacji wytworzonej przez zabory i na zjednoczeniu wszystkich ziem polskich pod jego własnym berłam. Programowi temu Castlereagh przeciwstawiał postulat powrotu do status quo sprzed wojen napoleońskich, czyli powrotu do stanu wytworzonego właśnie przez rozbiory. Motywem, który kierował posunięciami Castlereagh'a była obawa przed nadmiernym wzrostem potęgi rosyjskiej. Potępiając rozbiory „w zasadzie", Castlereagh sankcjonował je jednak w praktyce, gdy walczył o to, by Austria a zwłaszcza Prusy zachowały „swoje" ziemie polskie. Ta walka Castlereagh'a przeciwko carowi nie zdobywała mu poklasku Polaków. Książę Adam Czartoryski był, jak wiadomo, głównym inspiratorem polityki polskiej Aleksandra na Kongresie Wiedeńskim, a angielskie dokumenty dyplomatyczne z owych czasów winią „polskiego doradcę cara" za kryzysy i nieporozumienia na Kongresie.

Car czynił energiczne wysiłki, by urobić opinię publiczną w Anglii w duchu przyjaźni dla Rosji. Oto jak wysiłki te opisuje historyk angielski — opis ten niewiele stracił na aktualności: „Rosjanie czynili stanowcze próby podminowania pozycji Castlereagh'a. W serii instrukcji z grudnia 1814 roku uświadamiano Lievena (posła rosyjskiego w Londynie), że Castlereagh umyślnie zmierzał do utrzymywania kontynentu w stanie

niepokoju, by umocnić wpływ brytyjski w reszcie świata. Lieven otrzymał nakaz nawiązania kontaktu z członkami rządu, którzy nie zgadzali się z polityką Castlereagh'a... Miał on rówież sondować poglądy głównych przewódców Opozycji i uczynić wszystko, by nastroić opinię publiczną przyjaźnie wobec interesów Rosji. Miał on w tym celu również wpływać na czołowych dziennikarzy i podsuwać im poglądy, odpowiadające ich różnym stanowiskom partyjnym. Miał kłaść specjalny nacisk na korzyści handlowe dobrego porozumienia z Rosją i miał im uprzytamniać, że swobody samego ludu angielskiego są zagrożone poparciem,jakiego udziela angielski minister spraw zagranicznych najbardziej reakcyjnym państwom na kontynencie. Poszczególne fazy tego planu były starannie nakreślone. Naprzód należało próbować pozyskać sobie Gabinet; gdyby się to nie udało należało starać się o pozyskanie względów Opozycji i prasy. Doświadczenie następnie wykazało, że Rosjanie nie wiele mogli uzyskać tymi środkami... Specjalne instrukcje nakazywały śledzić bacznie przebieg dyskusji na temat Polski w Parlamencie, by rosyjski punkt widzenia mógł być odpowiednio przedstawiony publiczności brytyjskiej. Całkowity efekt tych wysiłków nie był jednak wielki". Mimo tego twierdzenia historyka angielskiego wydaje się jednak, że prestiż cara w Anglii stał niesłychanie wysoko. Inny historyk angielski Sir A. W. Ward pisze: „Rola, jaką Rosja i jej armie odegrały w obaleniu Napoleona oraz autokratyczny charakter rządu samego Aleksandra zapewniły mu w każdym razie wpływ zupełnie wyjątkowy. Wpływ ten był jeszcze wzmocniony przez jego ambicję interweniowania, gdzie tylko mógł w roli uniwersalnej Opatrzności i przez jego niepohamowane pragnienie podobania się". Jest rzeczą ciekawą, że historycy angielscy charakteryzując w sto lat po Kongresie czołowe osobistości Kongresu, wypowiadają zgodnie pogląd, że car górował zaletami nad wszystkimi swymi partnerami. Nawet w perspektywie historycznej car otoczony jest mirem orędownika liberalizmu, sympatyka idei jakobińskiej i ukrytego przeciwnika absolutyzmu. Warto zresztą przypomnieć, że car Aleksander zarówno podczas pobytu w Londynie jak i później dość nie, dwuznacznie kokietował opozycję liberalną, zrażając sobie tym Regentadwór i sfery konserwatywne. (Ten jeden szczegół nie nasuwa zbyt dokładnej analogii).

„Święte Przymierze" było arcydziełem „realistycznej" dyplomacji owych czasów. Można by twierdzić, że osiągnęło ono swój cel, jeśli celem jego było utrzymanie pokoju w Europie w ciągu długich dziesięcioleci. Mimo to nawet konserwatywni historycy angielscy, po podkreśleniu wszystkich prawdziwych i wątpliwych zalet układów wiedeńskich, nie potrafią zdobyć się na osąd dodatni tego wykwitu dyplomacji tajnej i wielko-mocarstwowej. Pokój oparty na reakcyjnym despotyźmie był złem równie wielkim jak wojna. „Najbardziej godnym potępienia — pisze Webster — było zarzucenie idei samorządu, która rozwinęła się już bardziej w świadomości, aniżeli idea narodowości. Pewną sympatię dla tej idei wykazywali tylko car Aleksander i niektórzy z jego doradców. „Kartę" dla Francuzów zapewnił nie kto inny jak właśnie car Aleksander przy pomocy Talleyranda, który również zdawał sobie sprawę z zasadniczej wagi tej strony Rewolucji Francuskiej. Dla niemal wszystkich innych mężów stanu demokracja nie oznaczała nic innego prócz anarchii i rewolucji."

Dwudziestowieczna wersja „Świętego Przymierza" zasłużyłaby sobie na pewno na osąd historyczny znacznie bardziej surowy. Tym razem tryumf „legitymistycznej" czy też wielko-mocarstwowej reakcji nie zostałby nawet okupiony długimi dzisięcioleciami pokoju.

CZESŁAW BEYOT

BISKAJSKI PATROL

Pisane na pokładzie jednego z Okrętów Rzeczypospolitej w morzu, w przerwach między wachtami.

„Przy działach pogotowie bojowe wstąpiło—Centrala na stole morskim" zaskrzypiało ochryple w telefonach artyleryjskich. — „Dobrze, celownik wachtowy 4 tysiące" spłynęła po drutowych nerwach okrętu odpowiedź z dalocelownika.

I znowu zapadła cisza. Od dłuższej chwili ani słowa nie słychać w Stachowych słuchawkach. Czasem tylko komuś tam na dole przy działach rozżali się dusza tęskną nieśmiałą piosenką. Krótki jej żywot — przetnie ją z miejsca ostry cerberowy głos centrali; przy tym nie omieszka dodać jasnej jak ilustracja aluzji; że niby okręt to nie „tancbuda". Kiedyś za dwie, trzy godziny może się urwać ta sielanka pogodnej lipcowej nocy, rozrzutnej milionem gwieździstych klejnotów. Lecz narazie po co o tym myśleć? ·Tak dobrze jest jakoś i miło. I tylko szkoda, że słuchawki trochę ciasne, — powoli wrzynają się w chrząstki uszu bolesnymi pręgami. Zaczynają dolegać.

Stach oderwał oczy od lornetki, i pociągnął uważnie wzrokiem po horyzoncie. Jak długi i szeroki nie widać nic! Ani jednego masztu co by się odważył swym krzyżem kaleczyć wstęgę wiążącą niebiosa z morzem. Tylko tu bliżej za samym trawersem, wyciągnęła się długą linią falanga szarych sylwetek, — bardziej szarych od zapadającego zmroku. Ich potężne kadłuby suną po morskiej toni chyże jak stadko mew, spięte niewidoczną klamrą zygzaku. Trzymają się szyku tak równo, że nigdy byś tu z pomostu nie zoczył ich harciego biegu, gdyby nie te spienione dzioby, wysoko zadarte nad falę, i te głębokie białe brózdy za rufą, odwalane równiutko jak skiby ostrzami ojczystego pługa. Biegną tak na spotkanie nadchodzącej nocy, obchodząc wielkim łukiem ku południu wyciągnięty w ocean półwysep Bretanii, by gdzieś nad ranem spaść niespostrzeżenie na niemiecką żeglugę w zatoce Biskajskiej i utopić swe szpony we wrażych karkach. Tylko Stach wie, że poza tym głodem wiecznie nienasyconych armatnich paszcz, poza stalą wież i wyrzutni, poza gigantycznym wulkanem tysiączno-konnych turbin stoją ludzie o jasnych polskich sercach, o duszach czułych jak ta tęskna piosenka przed chwilą. Wie o tym najlepiej sam po sobie. Dla niego też dawno już minęły lata, gdy upajał się młodzieńczym rozmachem mocy i ognia. Dziś — przedwcześnie dojrzały doświadczeniem pięcioletniej wojny nauczył się cenić inne w życiu wartości. Jeszcze kilka godzin temu gdy wychodzili z portu przeżywał całą tę skalę uczuć od nowa. Czuł wtedy wyraźnie że mu serce dziwnie kołata.

Jeszcze teraz widzi jak opuszczając rozsłonecznioną niedzielnym lipcowym popołudniem redę przeciskali się tuż pod samą plażą. Wyglądała jak wzorzysta tęcza, tkana mozaiką tysięcy kostiumów, rozpięta nad dźwięczącym rozgwarem szczęśliwych ludzkich istnień. By pewny że niejednemu bobaskowi zakłopotana mama tłumaczyła, że trudno trzeba tym niegrzecznym panom wybaczyć falę jaką robią; — oni na wojnę jadą — robić „Bum-bum"! Właściwie Stachowi nawet tego upojnego zapachu łąk i pól, którym zanosi od lądu nie byłoby tak żal, gdyby chociaż jeden list z Londynu był nadszedł. Już dziesiąty dzień mija od ostatnich wiadomości jakie otrzymał od Janki, chociaż ona co dnia pisze — w to nie wątpił. A teraz znowu wychodzi w morze nie wiadomo na jak długo, zdany na zupełną ciszę i echa własnych rozmyślań, przeplatanych komunikatami radia, że „more flying bombs were launched against London last night causing damage and casualties". I już nie o to nawet Stachowi

idzie że się chyba powinna wyczerpać miarka niebezpieczeństw co się nad nią skupiały od początku wojny. W duszy Stacha była jeszcze jakaś druga obawa, z której sam sobie nie bardzo zdawał sprawę, a której na pewno nie umiałby wyrazić. Czuł jednak, że obok tęsknoty z którą i tak się ledwo porał, błąkał się na dnie serca jakiś żal. Co prawda — przez cały okrągły rok, jaki mija od chwili gdy się pobrali on był przykuty do okrętu, tak że się nieomal w ogóle nie widywali; — ale to nie oto idzie, bo dopóki wojna trawa nie może być inaczej — i innych rozwiązań Stach za nic w świecie nie pragnął. Tylko że nie może sobie wybaczyć, że przedtem biednej Jance tak perorował, na temat uczuć, że to są objawy słabości na które teraz nie czas, że zresztą naprawdę nie trwają one dłużej jak kilka miesięcy — może zgoła tygodni. Potem już tylko przyzwyczajenie, konwenans wiążą ludzi, nie potrzeba serca. Dla niego tymczasem życie jest zbyt cenną okazją do pozytywnych osiągnięć aby mógł sobie na taką rozrzutność pozwolić. On — Stach, dla którego każda chwila jest tak bardzo, bardzo cenna! A jednak teraz po upływie roku wie, że nigdy przenigdy nie będzie umiał wypowiedzieć Jance jak bardzo mylił się wtedy, i jak mu jej dzisiaj na każdym kroku potrzeba. Nie ma już w duszy konfliktów co ją dawniej żarły, jest nieprzerwana wspólna jedność; — stała ciągła linia której mu tak bardzo było potrzeba w jego ciągle narastającym wszechświecie, żeby go uchronić od anarchii i zapadnięcia się w chaos! W liście tak trudno te rzeczy wyrazić. — A teraz owe latające bomby — Janka mogła by się nigdy nie dowiedzieć. —

Stach się nawet nie spostrzegł że północ już dawno minęła. Do rzeczywistości, do tych majaczących wśród nocy kadłubów i do własnych słuchawek przywołała go nagle donośna, choć stłumiona wiatrem własnego pędu zapowiedź z głośnika. Słychać wyraźnie, jak ta potężna gardziel recytuje: „Kąt kursowy Lewo 20, odległość 10 mil NIEPRZYJACIEL”. Cały okręt rozdźwięczył się rykiem klaksonów. Jest alarm!

Stach jest gotów w mgnieniu oka; cała jego świadomość jest znowu przy nim, i przy tych stu twarzach wpatrzonych uporczywie w dyskretne światełka przekaźnicze. Serca wszystkich zespala najdoskonalsza jedność: duch walki na życie i śmierć.

* * *

Jacques Libouton cieszył się całym rozmachem swego młodzieńczego serca. Radość buchała z jego ogorzałych lic, pobłyskiwała w jasnych oczach. Tak, to był największy dzień w jego życiu! I najszczęśliwszy! Od tej chwili nie będzie już bezpańskim przybłędą, rozrzutnie trwoniącym uczucia i wysiłki. Od dziś wszystkie jego plany i osiągnięcia należeć będą do Monique! Ona będzie jego przeznaczeniem i dumą.

Jacques naprawdę kochał ten maleńki zwitek telegramu. Podniósł go teraz do ust i ucałował. I wcale się tego nie wstydził! Teraz już nic nie powstrzyma ich szczęścia. Strasznie mu do niego spieszno. Najchętniej wsiadłby w pierwszy pociąg i popędził, byle szybciej. Lecz nie, nie dziś jeszcze! Jacques czuje że go pali jak węgiel ów przeklęty, koszlawym gotykiem drukowany „Befehl” z Ober-Kommando der Kriegsmarine. No—dobrze, jeszcze ten jeden konwój, ale to ostatni. Wszak to właśnie najbardziej Monique bolało, że się Niemcom wysługiwał. Właściwie on sam życzył im jak najgorzej, ale — cóż — lepsze to ostatecznie, niż ciężkie rzemiosło rybaka bretońskiego, lub zgoła przymusowe roboty w Rzeszy. Zresztą podobno jak się wojna skończy Niemcy oddadzą mu trauler na własność.

Tylko, że Monique ma rację, to jest wysługiwanie się wrogowi. Więc niech się dzieje co chce; jutro pójdzie i rzuci im pod nogi ten mundur, i krzyż co mu przypięli niedawno, i powie że ma dość! Żal mu trochę przygód, — za to zniknie ostatnia przeszkoda na drodze do Szczęścia.

Biegnie teraz do portu, zbyt zajęty własną radością by dostrzec przesuwające się po drodze obrazy. Jednym susem zsuwa się po obmurszałym i oślizgłym od słonych glonów molo, przeskakuje przez dwa jakieś traulery aż wreszcie jest na swoim. Machinalnie głaszcze psa i wita się ze sternikiem. Okręt jest gotów, są i ostatnie sygnały. Niemcy mówią, „na podstawie specjalnego rozpoznania lotniczego", że nie ma żadnych nawodnych jednostek nieprzyjaciela w całej zatoce Biskajskiej, ani w promieniu 200 mil. Najbliższe flotylle kontr-torpedowców odpoczywają spokojnie na kotwicy w Plymouth i Gibraltarze. Jacques uśmiechnął się pobłażliwie: — łżą jak psy pomyślał. Ostatniego Junkersa wypchnęli kilka dni temu do Normandii, by siec lądujących na plażach Amerykanów i Anglików, a dzisiaj specjalny wywiad! — Po co w takim razie ten umówiony sygnał alarmowy — na co tych pięć czerwonych rakiet skoro nieprzyjaciela nie ma! Ostatecznie, — zawsze się zdąży schronić pod osłonę własnych baterii na lądzie, byle tylko uprzedzili na czas. — Własnych? Monique inaczej by powiedziała.

Pomimo zapadającego zmroku konwój sformował się wyjątkowo sprawnie. Ciągnie teraz powoli niczym stadko żółwi na północ. Ze swego pomostu Jacques widzi wyraźnie majaczącą w samym środku sylwetkę transportowca, na którego bezpiecznym dojściu do Brestu tak bardzo Niemcom zależy. Obok niego symetrycznie po obu stronach rysują się dwie dalsze smugi; jedna to trauler uzbrojony, zupełnie taki sam jak Jacques'a, podczas gdy druga należy do starego przedwojennego eskortera.

Godziny mijają spokojnie jedna za drugą. Do świtu już chyba nie dużo zostało. Tylko, że jak na złość po uparnym dniu zaczyna teraz zaciągać chmurami, i woda fosforyzuje coraz intensywniej. Roztrącane dziobem okrętu cząsteczki wody świecą, zupełnie jak spłoszone ze snu ogniki świętojańskie, podrywające się z potrąconego liścia paproci. Jacques'a nigdy nie cieszył ten niesamowity urok. Zwłaszcza teraz, gdy zielonkawa poświata jest tak silna,że z pomostu przeczytałbyś bez trudności tabliczkę z „zaporami" wywieszoną przy dziale. W samą porę zebrało się morzu na świecenie! Wszak teraz cały konwój musi być widoczny z powietrza jak na dłoni; a samoloty nieprzyjacielskie nie próżnują pomimo nocy! Co chwila ostrzegają o nich z lądu przez radio. Tylko że Jacques'owi nie o lotnictwo idzie. Z tym zawsze można się jakoś targować. Setki bomb już na niego leciały, i chwalić Boga jakoś cało się do tej pory uchował. (Jacques nie zapomniał skwapliwie odstukać swej prowokacyjnej myśli o drewnianą ramę pomostu). Zresztą ma kilka działek, — może się bronić nie najgorzej. Nie, uwaga jego w inną stronę jest skupiona: — ku horyzontowi. Niebezpieczeństwo które stamtąd przyjdzie będzie znacznie bardziej nieubłagane. Bo i cóż znaczą wszystkie działka konwoju przeciw sile ogniowej jednego sojuszniczego kontrtorpedowca, którego uzbrojenie za połowę artyleryjskiego pułku wystarczy!

Jacques nie spuszcza oka z widnokręgu choć mógłby przysiąc że wszystkie lufy konwoju patrzą teraz ku górze węsząc skrzydlatego upiora. Całe szczęście że przynajmniej prawa burta jest bezpieczna. Tam w odległości kilku mil rozciąga się ląd. To co zawsze było Francją i, da Bóg, kiedyś znowu będzie. Lecz z lewej burty ciemno i nieprzyjemnie.

Lornetka Jacques'a zatrzymuje się w okolicy trawersu. — Przy takiej parnej aurze i fosforyscencji każdemu przywidują się jakieś światełka i jaśniejsze plamy. Ileż to razy człowiek nałyka się strachu zupełnie niepotrzebnie. Ale tym razem nie! Tam — na horyzoncie coś jest! Jacques widzi wyraźnie smugę, za nią drugą, i trzecią, i czwartą. To oni — Są!

— Czy tamci inni w konwoju widzą przynajmniej? Jeszcze teraz nagły zwrot mógłby ich uratować. Ale jak im to powiedzieć? — Światłem przecież nie. Głupcy — nie wiedzą ile im minut pozostało do życia! Jacques wie, że będzie się bronił do upadłego—jak wszyscy,—tylko że

a swoją sprawę. W ostatniej chwili myśl chwyta się rozpaczliwej nadziei—półświadomej iluzji, że może zresztą przejdą, nie zauważą.

Więc próbuje raz jeszcze popatrzeć w kierunku smug, gdy wtem robi się jasno jak w dzień. Tuż nad głową wysoko wykwita potężna, oślepiająca wszystkich gwiazda. Żarzy się jakby kto w jednym punkcie przestrzeni zawiesił milion planet, — jaśniej jak wszystkie gwiazdy — jakie Jacques kiedykolwiek widział—razem wzięte. Tak,— to oni świecą,— więc jednak zauważyli!

Cały konwój widać teraz jak na dłoni. W mgnieniu oka ze wszystkich statków zrywają się ku niebu strumienie czerwonych, żółtych i zielonych punkcików. Osły w górę strzelają, myślą, że to flara lotnicza.

Wzrok Jacques'a powraca w dół. Ale nawet w lornetce nic już nie widać poprzez egipską ścianę ciemności, jaką oślepiający blask Gwiazdy odgrodził się od świata. Nie widać więc ani smug, ani horyzontu. W umyśle rodzi się paraliżująca świadomość: „Tym razem to naprawdę KONIEC! Tout est fini—même Monique!

Jacques podnosi do ust zmięty zwitek papieru. —

* * *

Cicho, bezszelestnie skradały się orły coraz bliżej. Wszystko-wiedzący głośnik obwieszcza, że jest cały konwój, i że odległość szybko się zmienia. Tajemniczy głośnik wszystko wie, liczy, mierzy a przy tym oznajmia głosem tak beznamiętnym i melodyjnym, jakby się nic szczególnego nie działo, ani nie miało najmniejszego zamiaru dziać. On widzi, a za jego tajemniczym wzrokiem wyciągają się w czarną przestrzeń dalekie, śmiercionośne ramiona wszystkich dział, i krzyżują w złowieszczym uścisku ponad niewidocznym dla Stachowych ani niczyich jeszcze oczu konwojem. Tymczasem serca wszystkich rozsadza niecierpliwy nastrój oczekiwania. Nikt już nie myśli, że pędzą oto wprost pod samo gniazdo os — największą niemiecką bazę U-Boat'ów, od których tu, gdzie teraz są, rojno z pewnością, że aż huczy.

Z okrętu na okręt biegnie krótki sygnał radiowy i cały szyk zmienia kierunek. Stach czuje, że wiatr nagle ustał — widocznie zmniejszono szybkość. Chwila jeszcze i z głośnika pada rozkaz: „Oświetlić". Słychać wyraźnie jak któryś z okrętów w przedzie oddał strzał. Mijają długie jak wieczność sekundy, aż wreszcie ulżyło wszystkim! — Jest! tam wysoko nad horyzontem zawisł nagle olbrzymi meteor roztaczając pod sobą pomarańczową poświatę refleksów i smug jakby jakaś niewidoczna ręka nimfy rozlała strugi płynnego złota na powierzchnię oceanu. Połyskują one teraz milionem kropelek i blasków na każdym załamaniu fal. A w samym środku tego czarownego bukietu świateł rysują się wyraźnie czarne niziutkie pasemka, jakby odwłoki czerwcowych owadów buszujących wsród kwiecia róży. To oni — Niemcy!

Ilu ich jest Stach nie wie. Jest ktoś kto je liczy ,wybiera, decyduje. Stach ma swój udział w bitwie. Przywarł do niego całą duszą i zapomina o bożym świecie. Zresztą nie ma czasu na liczenie, bo właśnie w głośniku zabrzmiało wyraźnie, trochę jeno donośniej może, ale równie spokojnie: „Otworzyć ogień!"

Mija sekunda. Z dalocelownika dochodzi basowy ton buczka „pal". Jeszcze skinienie, i całym okrętem od przepaści kotłowych zenz po misterną siatkę anten masztowych targa olbrzymi wstrząs-kopnięcie wszystkich luf naraz. Rozdzierający bębenki uszu ryk armatnich gardzieli odbił się od stalowych płyt i załamań kadłuba i runął w ciemność, ku pomarańczowej tafli. Tylko że już daleko w przedzie przed swym spóźnionym heraldem rwą w przestrzeń gromy. Straszne, stokroć bardziej nieubłagane od Bożych piorunów, choć jeno ręką ludzką ze stali i siarki sklecone — bezlitosne! Widać wyraźnie jak się podnoszą ku niebu powolną parabolą swych świetlnych smug zrazu potężnych jak czerwone pochodnie, potem

przechodzących w coraz mniejsze, wątlejsze ogniki, aż w końcu migocząjak nikłe delikatne rubiny krwi. Widać, że dosięgły szczytu i teraz zaczynają opadać. Są tuż nad wodą, drobniutkie, niewinne zda się punkciki, coraz bliżej się do siebie tulące, i schodzące coraz niżej — tuż nad same sylwetki konwoju. Jeszcze chwila, i nie ma już smug ani rubinów,. jeno nad pomarańczową taflą wyrasta rząd kolumn wodnych — wiotkich i strzelistych jak ich doryckie siostrzyce na Akropolu, wyrwanych powierzchni oceanu, jak tamte Pantelikońskim skałom. — Nie głosem Muz wprawdzie lecz potęgą eksplozji. Tylko, że tu u Stacha wybuchu nie słychać. Co on mógłby go zresztą obchodzić? Dla Stacha ta salwa była „krótką", bo zakryła sobą cel. Następną trzeba wydłużyć! To jest w tej chwili ważniejsze jak świat.

Regularnie co kilka sekund targa okrętem taki sam wstrząs. Paszcze dział wyrzucają z siebie stal tak szybko, jak tylko mięśnie mogą jej nastarczyć. Na tym wysiłku skupiona jest cała uwaga walki, on jest jej istotą. Gdzie jest nieprzyjaciel, kto nim jest, silniejszy czy słabszy, skąd czyha niebezpieczeństwo, i wreszcie czy zapracowują sobie na laury, czy na mokre wiekuiste leże — tego nie wie nikt z tej dwusetnej rzeszy. Dla nich walka to buczki, przekaźniki, — więcej obrotów, więcej dysz i większy upał, i nowe strugi potu przy dźwigach. Takich uprzywilejowanych, którym los pozwala obserwować przebieg boju i widzieć w jakich opałach plączą się wątłe nici ich życia jest nie wielu — może 5, może 10 na całym okręcie.

Stach ma szczęście — jemu przypadł w udziale posterunek „obserwatora ognia" — a więc po dobrej burcie. Co znaczy być obserwatorem burty odwrotnej, po której nic się nie dzieje, patrzeć w ścianę nocy — tym ciemniejszą kontrastami rozgrywającej się za plecami walki i nic nie widzieć prócz odbicia łun i błysków a wszystko słyszeć — tego Stach nie umiałby wypowiedzieć. Jest to chyba najpotworniejsza ironia na jaką los się może zdobyć. Stokroć łatwiej przychodzi chyba pełnić najcięższą funkcję ładowniczego.

Po każdym strzale kłęby kwaśnego gryzącego dymu przysłaniają Stachowi wszystko, i taflę pomarańczową i sylwetki i wreszcie własne okręty. Teraz już więcej gwiazd wisi nad nieprzyjacielem, i wyraźniej rysują się szczegóły. Zresztą zbliżają się do niego coraz bardziej. Tymczasem cała linia okrętów rozstrzelała się na dobre. Huk kanonady roznosi się po spokojnej lipcowej powierzchni oceanu i ginie na odległych plażach Bretanii. A ta Bretania ciągle jeszcze nie daje znaku życia. Chyba im mowę odebrało! Przecież wszystko rozgrywa się w zasięgu ich potężnych baterii lądowych. Czyżby im się nie opłaciło bronić konwoju? Nie, — pewnie chcą nas bliżej dopuścić, by potem wykończyć od jednego strzału.

Hałaśliwe salwy idą raz po razie ku konwojowi. Przestrzeń pomiędzy nim a Stachem zda mu się teraz jak jakieś potężne przęsło niewidzialnego mostu, po którym toczą się bezustannie rubiny. I coraz nowe gwiazdy wykwitają nad nieprzyjacielskim konwojem, ścieląc więcej złota pod nogi skazańca. Jest coś szczególnie niesamowitego w tym przepięknym scenariuszu śmierci, — piękniejszym niż najcudniejsze wianki na Wiśle. Gdyby tylko nie ten paraliżujący ryk dział i te piekielne wstrząsy. I myśl że tam w okropnej męce giną ludzkie istoty. Aż strach, że tyle piękna towarzyszy konaniu.

Lecz Niemcom nie spieszno z tego świata, — bronią się zaciekle. Początkowo najwidoczniej sądzili, że atakują ich samoloty, ale już po pierwszych salwach się spostrzegli, i teraz odgryzają ze wszystkiego co mają. Tylko, że ich smugi są jakieś inne, jaśniejsze. Stach widzi jak gdzieś jakby spod wody — poniżej burt odrywają się maleńkie seledynowe punkciki, wznoszą się wolno ku górze, jakby celowały tuż nad głowę Stacha w maszt. Rosną. Coraz szybciej, jarzą się coraz jaśniej — i nagle zatrzymują się, — już nie idą wyżej jeno zaczynają opadać coraz niżej, i bliżej. Stach jest

przekonany że ta seria upadnie wprost na pomost — chyba jemu na głowę. — Są tuż, tuż! Stach instynktownie przysiada. — Przeszły za kominem i upadły ze sto metrów na zewnątrz. W uszach słychać jeszcze ich gwizd, — świadek szalonego pędu, mieszający się z hukiem eksplozji. Dobrze celują — pomyślał Stach, i wzrok jego pobiegł na spotkanie nowego grona punkcików. — Lecz te są beznadziejnie „krótkie". Ich seledynowe ogniki zatrzymują się znacznie wcześniej, i powoli jak spadające gwiazdy gasną w powierzchni oceanu bezsilną kolumną chyba w połowie drogi pomiędzy Stachem a konwojem. A jemu tylko wstyd tych uników. Nie może nad nimi zapanować, — choć od dawna próbował. Śmieszne to przecież i bezsensowne, a jednak kolana same się uginają, i głowa chowa za kompas. Zupełnie jakby żył setki tysięcy lat temu, i chronił przed wrażym oszczepem. Może zresztą i wojny — to także pozostałość z tamtych epok, — silniejsza nad naszą naturę, może zgoła jej część!

JAN PAPUGA

SAFARI

Do Capetown wlekliśmy się przeszło trzy tygodnie, mówił kręcąc głową i udając gniew Stelio, po to by tam stać tydzień na kotwicy i nie wyjść na ląd.

— Wolałbyś stać tydzień dłużej w Nowym Yorku i opróżniać bar twojego krewniaka — wtrącił Antek.

— Nie, chciałbym byśmy jak najszybciej już szli do Aleksandrii. Przyrzekłem krewniakowi, że pozdrowię od niego ciotkę. Ucieszy się bardzo, gdy się dowie, że jej brat przyjedzie po wojnie do Salonik, prawdziwy bogacz z milionem drahm. —

Lambro wyciągnięty wygodnie w fotelu uśmiechał się i mówił: — Słyszałem od oficerów, że tu w Mombasie wyładujemy. Może i lepiej, nie będziesz jej łudził. —

Hindus w białej koszuli, sięgającej mu stóp, w różowej krymce, zbierał puste kufle ze stolika.

— Jeszcze piwo—mówił Antek, zataczając ręką półkole że dla wszystkich.

— Co to za miejsce — mówił niepocieszony Stelio. Aleksandria to jak w Grecji, wszędzie słyszysz Kalimera Patrioto Eleniko, i wszystko jest na nasz sposób. —

Lambro spojrzał na Antka i rzucił Steliowi: — Lepiej powiedz nam coś o twoich kuzynkach.—

Stelio żachnął się, lubił mówić o pięknych dziewczętach, ale o obcych, obnażając wtedy całą swoją męską duszę.

— Czy nosy mają takie jak Pallas Atena? — ośmielał go Antek.

— I kształty jak Helena? — dodał radośnie Lambro.

Hindus przyniósł piwo, wziął pieniądze, i odszedł cicho.

Stelio przyparty wzrokiem przyjaciół, mówił wolno: — Dobrze, będziecie je widzieć. Ty Lambro nie ciesz się, przecież Greków widziały one dużo, ty Antek będziesz dla nich bardzo obcy z twoją opaloną skórą i jasnymi włosami. —

Pili piwo, patrząc się w kufle.

— Dobre — wymówił Antek.

— W koloniach biali piją lepsze, niż w swoich krajach — poprawił Lambro.

Rozparli się wygodnie w fotelach przyglądając się pijącym. Na wielkiej werandzie, na posadzce z barwnej kostki kamiennej stały liczne okrągłe stoliki, pokryte kuflami z piwem, a przy nich, zakopani w fotelach, siedzieli

marynarze z marynarki wojennej w koszulkach i białych spodniach do kolan. Wszyscy pili piwo, pocąc się przy tym obficie.

— Widzicie na czapkach? — mówił Antek — są z pancernika „Revenge", tego samego cośmy go widzieli w Durbanie. Widocznie szedł z boku konwoju. —

Przytaknęli mu głowami.

Jarzące światło elektryczne wylewało się z werandy na ulicę, oświetlając ciżbę handlarzy, przeważnie Arabów. Sprzedawali oni wszystko, nie wyłączając kobiet. Za nimi ulicą tłoczyli się czarni, mieszańcy i Hindusi.

Opodal nich siedziało dwóch elegantów, w tropikalnych białych ubraniach w kant. Starszy wyglądał na Anglika — pił whisky, młodszy był na pewno Grekiem — pił kawę z maleńkiej filiżanki.

Lambro i Stelio zobaczywszy go, zaczęli między sobą rozmawiać ich językiem.

Młodzian, który pił kawę, słysząc ich, wstał i podszedł do nich, nawiązując rozmowę. Po chwili przywołał swego towarzysza. Uścisnęli sobie nawzajem dłonie i usiedli razem.

Grecy rozmawiali ze sobą z całą namiętnością swej melodyjnej mowy. Anglik widocznie znał ich dobrze, uśmiechnął się więc i skierował oczy na Antka.

— Plantator musi być — przemknęło Antkowi przez głowę — długo tu siedzi i wie dużo ciekawych rzeczy o tym kraju. —

Palnął więc prosto z mostu: — Co najwięcej popłaca tu plantować?—

— Nie wiem — odparł mu spokojnie — nie jestem plantatorem, jestem crack-shooter — zakończył, śmiejąc się.

— Co za zawód? — myślał Antek, zaniechał jednak dalszych pytań.

Szkot, pochodzący z Edynburga, mówił o tutejszym kraju, dając do zrozumienia, iż chwali sobie jego zwyczaje i życie. Śmiał się, mówiąc jak przed dwoma laty, był w Szkocji przez trzy miesiące, trzy miesiące deszczowe. W rezultacie nabawił się kataru i kaszlu. Wyraźnie mu nie sprzyjał jego rodzinny klimat.

Antek opowiedział mu o zimach w swoim kraju. Szkot zatrząsł się, jakby mu się zimno zrobiło na samą myśl o tym. Widocznie tak już przesiąkł klimatem południowym. — Gdzie to jest, chyba w Rosji? — pytał.

— Nie, w Polsce.

Szkotowi twarz rozpłynęła się w szczerości. — Whisky dla wszystkich — krzyknął stojącemu blisko Hindusowi.

Antkowi w głowie utkwiło „wyborowy strzelec". Szkot najwidoczniej zażartował sobie. Ciekawość jednak potęgowałą się w nim.— Crack-Shooter — co to za zawód? —

Szkot zaśmiał się beztrosko, podobnie jak śmieją się marynarze i lotnicy.

— Prowadzę Amerykanów w dżungle. Głównie tych, którzy przyjechali na Safari strzelać do kotów i słoni. —

Antek poderwał się z fotela ze zdziwienia. Oczami szukał Hindusa.

Szkot odgadł jego myśli i przerwał mu: — Tu nie będziemy pili, za pięć minut zamykają. Pójdziemy na balkon. —

Marynarze gromadami ze śpiewem opuszczali werandę. Stelio i Lambro zabierali się do odejścia. Pożegnali się ze swoim krajanem i ze Szkotem, czekając na Antka.

— Ja zostaję — mówił Antek — przyjdę jutro na ósmą do pracy. — Grecy wyszli. Oni w trójkę szli wolno na balkon.

Z balkonu słychać było śpiew odchodzących marynarzy. Wreszcie wszystko zamilkło i zrobiło się cicho.

Hindus przyniósl w kuble z lodem butelkę wina, nalał do szklanek i wyszedł.

Antek był podniecony, pił więcej, niż zawsze. Dolewał sobie i Szkotowi. Grek opuszczał ich często, nie chcąc pić za dużo, jak mówił.

— Opowiedz pan jedno safari — nalegał Antek.

Szkot nie dał się długo prosić. Oczy mu zabłysły i zaczął:

— Przed siedmioma laty z Ameryki przyjechali filmowcy, małżonkowie Johnson. Tu wyładowali cały swój bagaż. Był to niemały bagaż. Prócz kamer, aparatów do kręcenia filmów, strzelb, mieli jeszcze dwa auta na gąsienicach, dwa samoloty, szoferów, pilotów i innych pomocników. Przez osiem miesięcy włóczyłem się z nimi po Kenii i Tanganice. Było nas wtedy trzech strzelców wyborowych z nimi. Mieliśmy łatwą robotę, zwierzęta uciekały z okolicy z nadejściem tak licznej karawany. Musieliśmy chodzić daleko od obozu, by je spotykać na ich ścieżkach, legowiskach, miejscach ich polowania i przy wodopojach. Śmieszne historie mieliśmy w Tanganice. Wyjechaliśmy w trawiasty kraj, jedziemy wolno, auto za autem, na dachach aut aparaty filmowe, przy nich Johnsonowie, a obok nich siedzimy my ze strzelbami. Przed nami podrywają się leopardy, antylopy, głowy żyraf na wysokich szyjach falują z daleka nad trawą, wszystko ucieka. Zjeżdżamy na dół w stronę rzeki, trawa coraz wyższa. Powinny być tam nosorożce, zawsze je tam spotykaliśmy i są, po chwili widzimy je, dwa czarne grzbiety przy sobie. Jedziemy wolniej w ich stronę, aż nagle trawa się kładzie ścieżką w naszą stronę. Kieruje prosto na nas. Zatrzymaliśmy auta. Widzimy czarne grzbiety, suną jeden od drugiego o dziesięć metrów. Koledzy moi biorą na cel pierwszego, który leci prosto na nas. Drugi na pewno nie zboczy, więc przejdzie koło nas, już ja go pilnuję. Po chwili strzelają dwa razy i najbliższy wali się dziesięć metrów od nas, drugi przechodzi tuż obok nas. Johnsonowie zadowoleni, mają wspaniały film, a przecież gdyby który wyrżnął w nas, to z auta zostałaby kupa szmelcu. —

Antek dolewał Szkotowi i sobie wina. Grek częstował ich papierosami. Palili w milczeniu. Była ciemna noc. Konary drzew dosięgały balkonu, wokół ścieliła się ciemna ściana drzew. Powietrze z nich płynęło ciepłe i wonne. Z drzew szedł również szum owadów, granie świerszczów, cała muzyka bogatego ich życia.

Grek przerwał milczenie.

— Jesteś złym człowiekiem, zabijasz niewinne zwierzęta. Gdybym miał twoją zręczność zabijania, zostawiłbym te łagodne stworzenia w spokoju, a zabijałbym ludzi. Ludzie bestie, ktorzy rwą w strzępy ofiary własnego gatunku i pożerają je. —

— Zostaw pan te rewolucyjne problemy zwariowanej Europie, tu jest przecież nieźle, — odciągał go Antek, chcąc usłyszeć więcej od Szkota.

— Co za dziwak z niego — poprawił Szkot. Ten hótel, w którym siedzimy, jest jego ojca, a on o takich rzeczach myśli. —

Grekowi sucha twarz się zapaliła i cedził:

— Byłem na studiach przed wojną w Grecji i widziałem jak Piękna Hellada zamieniła się w brudny rynsztok życia, gdzie lud żyje w takiej nędzy, że kretynieje. Robią to oczywiście nasi rodacy, burżuje greccy, którzy patriotyzm i tradycje utopili w śmierdzących brzuchach. Tam wybierzmy się na safari, a ja będę wtedy crack-shooter. —

Sięgał po wino i nalał sobie pół szklanki. Widząc, że rozmowa jego nie wywołuje wielkiego zainteresowania, zamilkł.

Antek w duszy przyznawał Grekowi rację, nie chciał jednak, by rozmowa wyszła z dżungli. Czuł, że wino coraz bardziej rozpala mu głowę, a i sam przecież miał rewolucję w głowie, wtedy rozpętałaby się szalona dyskusja, w której oni dławiliby wszystko, a Szkot nie opowiedziałby mu o dżungli. Szkotowi zazdrościł, że miał takie piękne życie.

Wszyscy dobrze czuli wino. Siedzieli w zamyślonym odpoczynku.

— A czy wtedy z Johnsonami, nigdy pan nie był w niebezpieczeństwie — pytał Antek.

— W niebezpieczeństwie to nie, ale raz nabawiła mnie kłopotu Osa Johnson. Wybraliśmy się raz na lwy. Ona niesie maleńki aparat do kręcenia filmów, a ja strzelbę. Wyszliśmy z obozu na daleki pagórek i widzimy parę starych leży na bokach pod drzewem, a przy nich dwa małe baraszkują śmiesznie. Nie ruszamy się z miejsca. Wiemy, że nie możemy do nich podejść. Po chwili matka poczuła nas i zobaczyła. Zerwała się i wolno z małymi zaczęła odbiegać. Kiedy znikła nam zupełnie z oczu, zaczęliśmy iść w stronę ojca. Widział nas dobrze. Podniósł się na brzuch i przysiadł na łapach. Idziemy prosto na niego, nie odchodzi jednak za rodziną, pilnuje nas więcej, niż my jego. Osłania uchodzącą matkę z małymi. Jesteśmy blisko. Wspaniały samiec, pod brzuchem prawie żółty, na grzbiecie płowy, jest dobrze odżywiony, ma lśniącą skórę, ogon leży bezwładnie, wielka głowa z długą grzywą, wzniesiona — patrzy się na nas żółtymi, poważnymi ślepiami, jakby niewiele sobie z nas robił. Osa podchodzi coraz bliżej, idę tuż obok niej, puszcza aparat w ruch, podchodzi coraz bliżej, idę obok niej, jesteśmy od niego z dwadzieścia metrów. Osa ciągle idzie naprzód, nie mówię nic, by go nie poruszyć. Myślę sobie — chyba zwariowała baba. Chce by jej pozował, może uśmiechnął się. Naprawdę siedział, jakby pozował. Podnoszę kolbę pod ramię, dłonią czule uchwytuję szyjkę, palec wsuwam w cyngiel. Idziemy ciągle obok siebie. Film się kręci sycząc przy tym. Już nie mam wątpliwości, muszę go zabić, on nie odejdzie, a rzuci się na nas gdy będziemy się cofać. Przysiada na łapach, grzbiet mu się pręży, ogonem bije o ziemię. Warknął gardłowo. Osa się zatrzymuje, ja przy niej. Jest nie więcej jak dziesięć metrów odległości od niego. Z żółtych ślepiów idzie mu ogień, uprzedzam go i biję mu między oczy. Zarzęził i przysiadł z powrotem, biję jeszcze raz w to samo miejsce, wyciągnął się, zaczął drżeć. Osa wciąż kręci film. Podeszliśmy do niego o krok. Kiedy rolka się wysunęła, patrzeliśmy na siebie z odrazą. Ja byłem mordercą, ona powodem. —

— Szkoda go, jaki on piękny — wymówiła z żalem Osa.

A wtedy ja jej na to:

— Jeszcze raz tak pani postąpi, to pójdzie pani sama, a wtedy spotka panią to co powinno spotkać każdego rabusia, nachodzącego cudzy dom. —

Długą chwilę nic nie mówili. Grek spał wyciągnięty w fotelu.

— Która godzina — pytał Szkot.

— Dochodzi trzecia. —

— Pójdziemy spać. —

Wstali. Szkot zbudził Greka. Za nim stał Hindus.

Wskazując na Antka, Grek mówił Hindusowi, by go odprowadził do wolnego mieszkania.

— Dobranac — powiedzieli prawie jednocześnie.

Antek skierował się za Hindusem. Wszedł przez otwarte drzwi do mieszkania.

— Zbudź mnie o siódmej — rzucił mu na dobranoc.

Hindus zamknął cicho drzwi. Antek rozebrał się i skoczył do łóżka. Przeciągnął się dwa razy i zasnął.

Rano ubrał się w kilka minut. Szybko schodził po schodach. Była zupełna cisza, w hotelu wszyscy spali. Skierował się na drogę wiodącą do portu, w tunelu drzew. Drzewa i trawy były skąpane w rosie, od nich bił rzeźwiący chłód. Wszedł do portu, z daleka widział nadbrzeże, przy którym stał jego statek. Było puste. Przyszedł na samo nadbrzeże, widział stąd, że statku jego nigdzie nie było. Może odszedł w głąb rzeki, albo na redę. Muszę się zapytać w kapitanacie portu — myślał sobie. Usiadł na polerze, myślał o ostatniej nocy. Wspaniała noc. Z pobliskiego pancernika płynął radosny żywy ton sygnału, granego na trąbce. Skierował tam oczy, widział chłopaków, jak on zmywających i czyszczących okręt.

Na przednim pokładzie pod wielkimi działami, około stu chłopaków w spodenkach, rytmicznie i równo gimnastykowało się, jak na pokazie, Wielki kuter wisłowy przybijał do burty, chłopaki w nim byli radośnie zmęczeni. Zdawało mu się, że chciałby być z nimi. Prędko mu się jednak odwidziało. Im się nawet nie śni, myślał z wyższością — jaką ja mam wolność na trampie. Wstał z polera i udał się do kapitana portu.

W biurze kapitan portu z miejsca go ocucił słowami:

— Pański statek ostatniej nocy odszedł do Tangi. —

— Gdzie to jest? —

— Sto trzydzieści mil stąd, w Tanganice. —

— Jak tam można dojechać? —

— Co tydzień idziei kuter motorowy. Drogami jadą czasami trokami handlarze, Arabowie i Hindusi. —

— A więc dobrze, wejdę na drogę i zajdę to Tangi. —

— Drogami jest znaczenie dalej, będzie około dwustu mil. Ścieżkami niedaleko brzegu jest znacznie bliżej, ale zejdzie pan ze ścieżki i zginie. To niemożliwe, utłuką pana czarni, albo hieny zjedzą. —

— Zajdę na statek i ani mnie czarni nie zakatrupią, ani mnie hieny nie zjedzą — odparł Antek z cała pewnością.

— Zaczęło się od tego, że przez jakąś Murzynkę statek panu uciekł, a teraz zupełnie pan zwariował. W nocy, w dżungli sam jeden bez broni, to jest niemożliwie. —

— Możliwe- —

— Powodzenia, szczęśliwej drogi. —

— Dziękuję bardzo — powiedział i wyszedł.

Idąc myślał, co dla niego jest niemożliwe. Dwadzieścia dwa lata kipiały w nim całą energią, pchając go do niebezpiecznego głupstwa. Wspomniał Szkota i odczuł głęboką radość, że chociaż w części przeżyje to samo co on. Zaczął śpiewać i szedł instynktem w stronę swojego statku, nie myśląc wcale, że to jest sto trzydzieści mil. Przyszedł do rzeki, w miejscu gdzie motorowe pontony—ferry, przewoziły przez rzekę ludzi. Byli to przeważnie czarni, którzy przychodzili tu z pobliskich wiosek, niektórzy z nich tylko w opasce na biodrach, ale byli też i tacy, którzy mieli rowery. Wyskoczył Antek na drugi brzeg z pontonu i piął się w górę. Kiedy wyszedł na szczyt, obejrzał się w tył. Wśród zalesionych brzegów płynęła rzeka, na niej stały statki, wojenne okręty miały piękne smukłe kształty. Za nimi dzielnica europejska, a w dali szare miasto arabskie. Półkolem otaczała to wszystko dżungla, a z jednej strony morze. Puścił się wydeptaną szeroką ścieżką wśród traw, na południe. Z lewej strony błyszczał słońcem w zupełnej ciszy ocean. Z prawej wśród wysokich traw, rzadko rosły karłowate drzewa. Dalej wznosiły się pagórki, zieleniące dżunglą. Blisko ścieżki pasły się małe, bure krówki i kozy, pilnowali je nieliczni Murzyni.

Minęła go gromadka czarnych. Mężczyźni szli przodem, boso, w spodniach i w porwanych koszulach, szli wolno bez żadnych bagaży, za nimi kobiety obładowane kurami i owocami. Wyrostki idące z matkami, rozbiegły się na obie strony ścieżki, przyglądając się Antkowi z obawą. Kiedy go minęli, wchodzili z powrotem na ścieżkę do matek, oglądając się trwożliwie za siebie. Minął go trok walący głośno motorem, załadowany pakami. Spod maski motoru szedł dym i para. Przy kierownicy siedział czarny szofer i stłoczeni z sobą trzej pasażerowie. Jechali niewiele szybciej niż Antek, który przecież szedł pieszo. Gdy go minęli, widział jak trok skakał po wybojach i trząsł się. Łamane osie prężyły się o mało co nie dotykając ziemi. Nie zazdrościł im wcale takiej jazdy. Przed nim szło kilku mężczyzn, którzy mijając go powiedzieli „dżambo". Co to może znaczyć? — myślał. Uśmiechali się przy tym życzliwie do niego. — Pozdrawiają mnie może, a ja ostatni drań, nawet im nie odpowiadam.

— Było południe, słońce stało pionowo nad nim. Przyjemnie paliło go po twarzy i rękach obnażonych po łokcie. Biała cienka koszula dawała mu prawie przyjemny chłód. Dunkry miał już wyprane kilkakrotnie i były miękkie w dotyku. Skórzane arabskie sandały utrzymywały mu gołe stopy w chłodzie i zabezpieczały całkowicie przed kamieniami i suchymi gałęziami. Szedł raźno omal że nie chciało mu się biec. Mijający go Murzyni, znów mówili do niego „dżambo". Odpowiadał im to samo, mając pewność, że było to pozdrowienie.

Wokoło trawa była coraz bardziej zielona coraz więcej drzew liściastych. Ścieżka poszerzała się w drogę. Z obydwu stron rosły wysokie zbite łodygi bananów, obciążone wielkimi kiściami zielonych owoców. — Gorzkie — pomyślał i przyspieszył kroku. Wśród bananów stały małe szałasy z liści palm. Dalej ciągnął się sznur dużych chat. Wszystkie były z liści palm kokosowych. W jednej z nich nie było ściany frontowej. Przy stole z desek i grubych gałęzi siedziało, kilku czarnych, którzy ruszając szczękami przyglądali się Antkowi. Przypomniało mu się, że jeszcze nic nie jadł od rana. Od razu poczuł wilczy apetyt i skierował się w stronę chaty. Tubylcy powstali, robiąc mu miejsce na ławie. Usiadł między nimi i przyglądał im się. Byli tak ulegli, że nawet nie byli zdziwieni. Na stole leżały pęki owoców, dużą gliniana miska z zimnymi kluskami wielkości pierogów; przy niej w glinianym garku — białe mleko. Wyjął z kieszeni szylinga i położył na stole. Wzrok czarnych skupił się na srebrzystej monecie. Może był to duży pieniądz w ich kraju, gdzie jeden pens dzieli się na dziesięć mniejszych pieniążków z dziurkami w środku, żeby je można było łatwiej nosić na sznurku. Antek sięgnął śmiało po pierog. Był dobry, słodki. Murzyn nalał mleka w blaszany kubek i podał mu. Jedząc próbował rozmawiać z Murzynami po angielsku, na co oni wszyscy szczerzyli białe zęby w dobrotliwym, dziecinnym uśmiechu i odpowiadali wzruszeniem ramion. Po zjedzeniu dużej ilości pierogów popitych mlekiem, Antek wstał, wziął kilka bananów w rękę, podziękował i odszedł. Szedł przez wieś, jedząc banany. Wieś była duża i wyglądała wzorowo.

Przystanął. Dolatywał go odgłos trąb i bębna. Rozróżnił nawet melodię „God Save the King". Bardzo zdziwiony szedł dalej. Z chat wyglądały kędzierzawe głowy. Nie dziwiła ich jego obecność. Gdyby miał czarne włosy, na pewno wzięliby go za Araba. Między chatami była wolna przestrzeń, a w środku na ławach siedziała gromadka tubylców o potężnych nagich torsach i dęła w błyszczące mosiężne trąby. Czarny dyrygent przyjacielsko uśmiechał się w stronę przybysza, nie byłby wcale zdziwiony gdyby zaczęli rżnąć marsza na jego powitanie. Marsza jednak nie zagrali. Minął ich i wyszedł poza wieś. Trąby ucichły i znów był sam. Z tyłu doszedł go szum. Obejrzał się. Piękna żółta limuzyna chyżo sunęła w jego stronę.

Stanął jak wryty. Kontrast jaki widział, przechodził jego pojęcie. Limuzyna zrównała się z nim, dygnęła na resorach i zatrzymała się. Wyskoczył z niej zręcznie mężczyzna słusznego wzrostu. Mocne ramiona w krótkich rękawach białej koszuli pasowały do jego pociągłej energicznej twarzy. Patrząc na Antka przenikliwie zapytał go w tonie podejrzliwym:

— Co pan tu robi? —

Antek nie spieszył się z odpowiedzią. Obejrzał go od stóp do głowy. Spojrzał na auto. Przy kierownicy siedział askar, w czerwonej czapeczce przypominającej nakrycie głowy chłopców hotelowych w Europie. Twarz jego była czarna jak smoła, z bliznami, a na rękawie koszuli w kolorze khaki miał trzy piątki. Przed nim w rogu na szybie widniała kartka z napisem „Police". Zrozumiał teraz wszystko. Spojrzał białemu w przenikliwe oczy, by zakłócić ich powagę i miast odpowiedzi zaśmiał się beztrosko.

— Co pan tu robi — powtórzył temten takim samym tonem jak poprzednio.

— Idę sobie — odpowiedział Antek.

— Dokąd? —

— Do Tangi. —

— Po co? —

— Na mój statek, który mi dziś uciekł z Mombasy. —

— Marynarz? —

— Tak. —

— Dokumenty. —

Wyjął z kieszeni wydaną w Anglii kartę rejestracyjną z fotografią i podał mu ją.

Biały czytając, oderwał oczy i spojrzał Antkowi w twarz porównując z fotografią. Gdy skończył czytać, skierował się do auta. Nastawił radio i wołał urząd policyjny w Mombasie. Kiedy mu odpowiedzieli, podał nazwę statku i nazwisko Antka, bardzo je zniekształcając. Czekał chwilę zanim policja połączyła się z kapitanatem portu. Odpowiedź ich potwierdzała słowa Antka. Wyskoczył więc z auta z legitymacją w ręku i z mniej już ostrym wyrazem twarzy podał Antkowi jego dokumenty mówiąc:

— Wszystko w porządku. Czasami nam się trafia, że łapiemy przechodzących tędy dezerterów z Abisynii, idących do Południowej Afryki.—

— Idą aż tak daleko? — zauważył Antek — Więc moje sto trzydzieści mil to spacer. Czy udaje im się to chociaż? —

— Niektórym, tak. Przy pomocy kolonistów niemieckich, holenderskich, skandynawskich i różnych Szwajcarów. —

Antek chwilę patrzał na słońce, szykując się do odejścia.

— Daleka droga — powiedział policjant.

— Przyjemniejsza jak pańska w limuzynie. —

— Ja też tak kiedyś mówiłem — dodał właściciel limuzyny.

Pożegnali się.

Auto odjechało w stronę wsi. Antek skierował się swoim szlakiem na południe. Szedł coraz szybciej, skacząc przez większe wyrwy. Nogi rwały mu się do biegu. Hamowała go jednak myśl, że może jeszcze będzie musiał biec. Słońce grzało łagodnie. Dżungla nie była tak jaskrawa, jak w południe. Nie spotykał teraz tubylców. Ścieżka pięła się coraz wyżej w górę. Pagórki z prawej strony były wysokie i bardzo rozległe, pod nimi rosły olbrzymie drzewa, rozłożyste i poskręcane. Baobaby — przeszło mu przez myśl. Słońce wyraźnie chyliło się ku zachodowi. W dolinach kładł się cień. Czuby pagórków błyszczały jeszcze w złotym świetle, ciemniejąc powoli. Niebo również siniało stopniowo, aż zrobiło się ciemne — granatowe. Nie było chłodno, powietrze było wciąż ciepłe, pozbawione jednak słonecznego żaru. Ściemniło się zupełnie. Jaskrawo błyszczące gwiazdy pokryły ciemny granat nieba, oświetlając dżunglę, od której teraz szła silna woń bogatego jej życia. W ciągu dnia woń była przytłumiona żarem słońca. Teraz w rosie wszystko dyszało wonią. Ścieżka pięła się w górę. Nie trudno jest ją rozpoznać. Jest bowiem szeroka i jaśniejsza od wysokiej trawy. Przechodził czasem przez takie miejsca, w których woń po prostu odurza. Chce się wtedy legnąć na trawie, jak bestii i spać tak, aż do wschodu słońca. Ścieżka schodzi teraz w dół. Karłowate krzaki się skończyły, jest mokro i rośnie miękka trawa. Antek zatrzymał się. Przed nim ścieliło się pole światła. Tysiące świecących owadów unosiło się tuż nad mokrą trawą. Ogniki latając, ciągle przecinały się ze sobą, jak prawdziwy ogień. Gdyby był zabobonny, na pewno bałby się. Antek patrzał się na to w niemym zachwycie. Latały nad jego ścieżką, szedł wśród nich, jakby kąpał się w ich niebieskawym ogniu. Po kamieniach minął maleńką strugę. Zaczął myśleć o niebezpieczeństwie. Gdyby ktoś chciał go skrzywdzić — łatwo by mu to nie przyszło. Wyjął z kieszeni duży, stalowy sprężynowy nóż.

Pomacał go, otworzył, z powrotem zamknął i włożył do kieszeni. W potrzebie, wyjąć z kieszeni i otworzyć, było dla niego kwestią ułamka sekundy. Pilnował teraz lepiej ścieżki. Uważnie badał oczami krzaki, koło których miał przechodzić. Wsłuchiwał się we wszystkie szmery. Szedł lekko i cicho jak kot. Nie bał się. Był zdecydowany na wszystko. Zza drzew wyszedł jaskrawy księżyc, oświetlając mu wygodnie ścieżkę, przez którą wolno przeszły płaszcząc się do ziemi dwa zwierzątka wielkości średnich psów. Skoczył do leżących obok kamieni i zaczął ciskać w trawę za nimi całą siłą i celnością. Z trawy doszedł go gniewny z bólu kwik. Ciskał dalej. Potem nadsłuchiwał. Nie słyszał nic. Wybrał duży okrągły kamień, trzymając go w dłoni szedł wolno. Przeszedł tak z pół kilometra. Wreszcie zaczął się śmiać sam z siebie i rzucił kamień precz. Hieny — przeszło mu przez głowę. Był teraz dużo pewniejszy siebie i nie czuł się wcale bezbronny. Księżyc szedł coraz wyżej, srebrząc ciepłe wonne powietrze i dżunglę. Zdawało mu się, że w kierunku w którym idzie, dochodzi go jakiś szmer. Przystanął. Dziwny szmer. Powietrze jak gdyby drgało bardzo delikatnie. Szedł dalej. Chwilami szmer przechodził w łoskot. Przystanął. Słyszał słabe bardzo rytmiczne bicie bębna. Tam-tam. Rozjaśniło mu się. Chwilami bęben wybuchał z szumem w pojedyncze odgłosy. Przyśpieszał i rwał przeciw taktowi, zwalniał, ale nie milkł. Uczuł radość — przecież tam się ludzie bawią. Bęben bił coraz głośniej. Głos jego był tak doskonały w tej dżungli. Wyiskrzona noc, dżungla, odurzające powietrze drgało od bębna. Tak, to była Afryka — czuł ją. Patrzał na księżyc, takiego jasnego księżyca nie ma w jego kraju. Przez dżunglę płynęła muzyka. Bęben ucichał i wybuchał z większą siłą. Doszła go wrzawa głosów. Ścieżka wciąż wiodła w stronę głosu bębna. Powietrze coraz mocniej drżało. Z boku ścieżki wił się w górę ogień. Skierował się w stronę ognia. Obskoczyły go psy. Mocno ujadały, nie zbliżały się jednak blisko do niego. Przyszedł do skraju polany, na środku palił się wielki ogień. Tubylcy byli tak oddani zabawie, że nie zwracali żadnej uwagi na szczekanie psów. Wszedł w sam środek gromady siedzących ciał.

Najbliżsi powstali i stanęli przy nim, nie mówiąc do niego nic. Po chwili przyszedł tubylec z domieszką białej krwi, uprzejmie pozdrowił go po angielsku, rozganiając ciekawych.

Usiedli sobie. Mieszaniec biegle mówił po angielsku, był zbieraczem podatków. Poczęstował Antka papierosem. Ten ostatni nie bardzo słuchał jego niekończącej się mowy, zbyt był pochłonięty tym, co się wokoło niego działo. Wokół ogniska siedzieli lub leżeli nadzy prawie tubylcy. Kobiety miały takie same przepaski na biodrach jak mężczyźni. Były roześmiane i gadatliwe. Często zrywał się śmiech, szczęśliwy pierwotny śmiech. Nie było między nimi czarownika, ani wojowników z włóczniami. Nastały dla nich czasy pracy i płacenia podatków. Dawno kiedyś biali piraci polowali na nich i sprzedawali w Ameryce jako czarny towar. Może i Antek byłby piratem wtedy. W widocznym miejscu siedział smukły, muskularny młodzieniec z bębnem w rodzaju konwi i walił otwartymi dłońmi w oba końce. Ucichł i znów rozpoczął na nowo. Bił szybko i mocno. Bęben huczał rytmicznie, jednostajnie. Z koła siedzących poderwali się młodzieńcy. Rozpoczęli biegiem wokoło ognia, po czym stanęli kołem plecami do ognia i w takt podbiegali kilka kroków w różne strony, ciskając przy tym torsami i wymachując rękami.

— Jest to ich taniec wojenny, kiedyś tańczyli z włóczniami — objaśnił go mulat.

Tańczący, zmęczeni usiedli z powrotem na swoich miejscach.

Młody chłopak przyniósł im w glinianym dzbanku jakiś napój. Mulat nalał do takiego samego dzbanka i podał Antkowi.

Spróbował.Smak miał kwaśnego mocnego piwa. Wychylił kubek do dna.

— To dobre — zachwalał mulat — to kokosowe piwo.

— Bardzo dobre, — potwierdził Antek. — Do jakiego szczepu należą ci ludzie? —

— Swaheli. —

Bęben znów huczał tak rytmicznie, że siedzący uderzali się po udach i drżeli. Z gromady wyszła wysoka dziewczyna. W pląsach wolno obiegła ogień. Zatrzymała się. Tupała w miejscu, bosymi stopami, ręce dołem wyrzucała do tyłu i patrzała się w ziemię. Bęben przycichał i wybuchał nowymi taktami, rwał i wybijał przeciwtakt. Tancerka wyprostowała się i przegięła się w tył. Ręce splotła nad głową, pokrytą pierścieniem włosów. Oczy jej błyszczały dziką namiętnością. Nagie bujne piersi przybrały kształt okrągły, przylegając jak do posągu. Niżej szczupłej talii biodra z dwoma załamaniami. Biodra pierwotnej kobiety, stworzone do błogiego lenistwa i rodzenia dzieci. Pełne uda. Czarne uda są lepsze od białych. Kobiety białe o te czarne uda mogą być zazdrosne. Nogi wcięte w kolanach szły przyciężkawą linią do dużych stóp. Gięła się całym ciałem, zataczała biodrami. Puściła ręce wolno, zgięła nogi w kolanach, ociężale skręcała się w tułowiu, drżąc plecami. Koło otaczających ogień uciszyło się. Antek nie odrywał od niej oczu. Księżyc oświetlał ją, jak pogankę tańczącą swą modlitwę. Bęben bił coraz szybciej, szybciej i szybciej. Potrząsnęła głową. Biodra i brzuch wirowały wyprzedzając bęben. Z oczu jej bił żar ekstazy. Zaczęła drżeć całym ciałem. Z koła siedzących wyrwało się radosne, dzikie „ja-haaaaa!!!" Wyrzuciła ręce w tył, ponad głową. Zdawało się, że upadnie. Podbiegł do niej olbrzym, chwycił w pół, przerzucił przez biodro i odszedł z nią w pobliską dżunglę.

— To jego dziewczyna — wyjaśnił Antkowi administrator.

— Piękna — odpowiedział Antek.

Bęben jeszcze bił. Nie było wiele chętnych do tańca. Z dżungli rozległy się nawoływania i radosne śmiechy. Co chwila jakaś para odchodziła od ognia. Nie wszystkie szły spokojnie. Chłopaki ciągnęli za ręce swoje wybrane, wśród pisku i śmiechu. Nie zważali na upór, może pozorny, udany upór. Siła decydowała. Pozostałe dziewczęta drżały jeszcze w takt bębna, aż i one odeszły, a za nimi muzykant. Przy ognisku zrobiło się pusto.

Antkowi widowisko się urwało i poczuł się sam. Szczęśliwi ludzie — myślał. Instynkt jest ich prawem życia.

— Pójdziemy spać — wyrwał go z zamyślenia administrator.

Wstał i szedł razem z nim.

Mulat zabrał go do swojej trzcinowej chaty, zrobił mu posłanie i dał mu bawełnianą derkę do przykrycia.

Antek nie mógł zasnąć, w chacie było duszno i komary go cięły. Wstał wziął derkę i wyszedł z chaty. Przyszedł do opuszczonego ogniska, poprawił je, dosunął grube polana, by długo trzymały ogień. Tu komary przestały go prześladować. Owinął się w derkę i zasnął.

Kiedy wstał rano, wierzchołki drzew błyszczały już w słońcu. Przyjemne, chłodne powietrze orzeźwiało go po gorącej, odurzającej nocy. Metys w chacie już nie spał. Antek zjadł z nim kilka jaj i popił kozim mlekiem. Pożegnał go następnie i wyszedł. W wiosce było cicho, wszyscy spali po nocnych tańcach. Morza już nie widział, widocznie wszedł mocno w ląd. W tej chwili zresztą nie obchodziło go ono bardzo. Najważniejsza była ścieżka i słońce wskazujące mu południe. W miejscach, gdzie trawa nie rosła widział wyraźne ślady kół samochodowych. Ścieżka wiła się miałkim, żółtym piaskiem. Ślady kół wyciskały się tu dwoma koleinami. — Jak w Polsce — pomyślał. — Tylko u nas od chłopskich furmanek, a tu od samochodów. — Wozów zaprzężonych w konie nie było tu wcale, a i auta nie pokazywały się. Słońce grzało coraz mocniej. Szedł coraz prędzej. W dali widział zbite konary rosnących drzew. W cieniu odczuł przyjemny

chłód. Ścieżka wiła się między drzewami. Konary mangowców zakrywały zupełnie słońce. Szedł pod nimi w mroku. Często wypatrywał słońce między konarami, porównywał kierunek i szedł dalej. Napił się wody ze strugi, p osząc pięknie upierzone ptaki. Przy skraju drzew z ziemi poderwało się stado maleńkich małp. Zręcznie powdrapywały się na drzewo i zaciekawione przyglądały się. Kiedy je minął pozłaziły z powrotem na ziemię, i piszcząc zebrały się w gromadę. Po naradzie, jedne powspinały się na drzewa, skacząc po gałęziach, pozostałe w podskokach biegły za nimi. Drzewa się skończyły. Przed nim ścieliła się skąpana w słońcu trawiasta przestrzeń gdzieniegdzie porosła krzakami i pojedyńczymi drzewami aż do horyzontu. Małpy zatrzymały się. Tu się kończył ich kraj. Bały się wyjść na otwartą przestrzeń gdzie byłyby łatwym łupem wielkich kotów. Obejrzał je jeszcze raz. Weselej byłoby mu, gdyby pobiegły za nim. Z przyjemnego chłodu oblał go żar słońca. Nie było jeszcze południa, słońce nie sięgło najwyższej wysokości. Nie widział żadnych zwierząt wokoło. Przyspieszył. Łatwo mu się szło po wygodnej, jak strzała prostej ścieżce. Szedł coraz szybciej, instynktownie jak najszybciej chciał przebyć tę przestrzeń. Pasące się małe antylopy z poskręcanymi w świderek rogami, na jego widok umknęły w wysoką trawę. Znikły od razu, tylko falująca trawa znaczyła ich bieg. Czuł wzmagający się upał. Przelatywały nad nim wielkie jastrzębie. Wysoko w górze kołowały olbrzymie sępy. — Głodne — pomyślał. Żar doskwierał mu coraz bardziej. Słońce stało mu nad samą głową. Niebo błyszczało jasnym błękitem, opustoszało. Jastrzębie i sępy pochowały się w cieniu gałęzi drzew. Słońce zapędziło wszystkie zwierzęta w cienie drzew. Samotne drzewa sterczały nieruchomo. Przypomniała mu się wiejąca bryza, dająca świeżość i ochłodę w upalny dzień na pokładzie statku. Z drzewa rosnącego tuż przy ścieżce, z najniższych gałęzi zerwały się niechętnie ociężałe sępy i schowały się zaraz pod najbliższym drzewem. Skóra na Antku zrobiła się sucha. Nie pocił się już więcej. Chciało mu się pić. Zmęczenia jednak nie czuł. Żar się już nie wzmagał. Odczuł więc ulgę. Słońce schodziło coraz niżej. Znów pokazały się po południowej drzemce kołujące sępy na niebie. Antek nie czuł potrzeby wypoczynku. Nogi same go niosły i odnajdywały ścieżkę. Oddychał coraz głębiej i lżej, południowy żar minął. Słońce zbliżało się coraz bardziej do horyzontu. Pragnienie zupełnie minęło. Rosnąca dokoła trawa była teraz zieleńsza i nie tak wyschnięta. Przed nim równą linią znacznie wyżej od trawy wznosiły się jakieś zbite łodygi. Trzcina cukrowa — wpadło mu na myśl. Ułamał jedną, grubą jak ręka w napięstku. W ułamanym miejscu skóra podnosiła się płatami. Zdarł ją. Pod skórą wodnił się miękki, trawiasty miąższ. Idąc, niósł w ręce łodygę, gryząc ja po kawałku, miażdżył zębami i żuł, a wreszcie połykał słodką ciecz a włókna wypluwał. Gdy skończył jedną, ułamał drugą i znowu jadł. Idąc pił i posilał się. Zbite łodygi wciąż rosły, jak gdyby się miały nigdy nie skończyć. Antek zaprzestał żuć trzcinę. Był prawie najedzony. Ziemia była coraz bardziej wilgotna. Z maleńkiej strugi napił się wody. Z prawej strony ogromne, czerwone słońce blisko horyzontu, jaskrawy, promienny dzień miał się ku końcowi. Naprzeciw Antka, między trzcinami sunęło odkryte auto. Zeszedł więc ze środka drogi. Wymijające auto zwolniło biegu. Z wnętrza przyglądali się Antkowi po pańsku biały pan, piękna młoda kobieta i dwoje małych ślicznych dzieci. Antek zwykle patrzał na tego rodzaju ludzi zadzierżyście i wyzywająco, odstraszając ich w ten sposób od siebie, albo zniżał ich do swego poziomu, jeżeli miał mieć z nimi styczność. Poważny pan i piękna pani odwrócili głowy od jego wzroku, zapadając w obojętność. Jedynie zdziwione dzieci przyglądały mu się w dalszym ciągu. Auto szybko zniknęło mu sprzed oczu. Nad trzcinami wystawała olbrzymia rura komina. Ścieżkami z trzcinami wracali z pracy tubylcy z olbrzymimi nożami do cięcia trzciny. Potężna broń — pomyślał.

Było już szaro gdy mijał wielkie szopy fabryczne. Pod jedną z nich stały małe wagoniki z trzciną przeznaczoną na cukier. Czarni kończyli pracę i szli do swoich chat. Minąwszy niskie chatki murzyńskie, szedł wzdłuż toru przeznaczonego dla maleńkich wagoników. Słońce zaszło i robiło się szaro. Pola trzcinowe kończyły się i zaczynała się dżungla. Jadące za Antkiem auto nie obchodziło go wcale. Nagle tuż przed nim zatrzymało się. Siedziało w nim paru Hindusów. Po chwili z auta wyszedł wysoki Hindus w białym ubraniu. Stanął na drodze i przyjacielsko przyglądał się Antkowi.

— Dokąd pan idzie? — spytał łagodnym głosem.

— Do Tangi. —

— Zna pan drogę? —

Antek uśmiechnął się i opowiedział mu krótko cel swojej podróży.

— Narazie jest to niemożliwe — tłumaczył Hindus. — Zaraz się ściemni. Ta ścieżka po dwóch milach zginie w bagnie, które ciągnie się aż do trzydziestu mil na południe. —

Mówił tak prosto i przekonywująco, że Antek tylko głębiej patrzał mu się w oczy.

Jedź pan z nami — proponował Hindus. — Prześpi się pan, a jutro pomyślimy o dalszej drodze. — Ujął go pod ramię i prowadził do auta.

Antek nie opierał się, czuł nawet wdzięczność dla Hindusa. Wcisnęli go między młodszego Hindusa i dziewczynę w jego wieku i tak jechali w milczeniu. Przyglądali mu się z życzliwym uśmiechem, a on dziękował im oczami, myśląc o trzydziestomilowej bagnistej topieli. Jechali z powrotem przez wieś. Stanęli przed fabrycznymi szopami z wielkim kominem. Młodzieniec siedzący przy Antku wyskoczył z auta i zniknął w zabudowaniach. Antek przyglądał się dziewczynie, która miała śniadą skórę i krucze włosy, zaczesane w tył grubym węzłem. Czarne, głębokie, marzące oczy omijały jego wzrok. Bardzo była podobna do cyganki.

Z szopy wyszedł Hindus z Europejczykiem, któremu prawdopodobnie już wszystko opowiedział. Ten ostatni bowiem szedł w kierunku Antka z wyciągniętą dłonią do męskiego uścisku.

— Biorę pana do swego mieszkania. —

— Doskonale — odparł Antek z uśmiechem.

Odjeżdżającym Hindusom krzyknął podziękowanie.

Stali teraz obok siebie, rozmawiając wesoło. Czuli łączność ze względu na pokrewny kolor ich skór. Nowopoznany Europejczyk wyglądał na człowieka przepracowanego. Skarżył się zresztą na nawał pracy. Wszystkie maszyny były pod jego okiem, był inżynierem, majstrem i mechanikiem mając do pomocy drużynę, składającą się ze zdolniejszych tubylców.

Tubylcy ciekawi jak dzieci, zbiegli się z całej wsi, otoczyli ich kołem, przyglądając się nowoprzybyłemu białemu. Anglikowi to się nie bardzo podobało .Zawołał więc po imieniu kilku atletycznie zbudowanych Murzynów. Ci jak gdyby tylko czekali na to. Z dziką pasją szerzyli panikę, okładając pięściami swoich współziomków. Kiedy oczyścili plac, sami stanęli w odpowiedniej odległości.

Weszli do podjeżdżającego sportowego auta, prowadzonego przez tubylca. Anglik wygodnie usiadł i odpoczywał. Antek myślał o swoich zajściach w przeciągu dwóch ostatnich dni i uśmiechał się, upewniając się, że to wszystko, co się wokół niego dzieje jest rzeczywistością.

Auto zatrzymało się przed białym bungalow. Szofer otworzył im drzwi. Było ciemno. Na ganku zabłysło elektryczne światło. Usiedli w skórzanych fotelach w udywanionym salonie. Czarny lokaj przyniósł na tacy szklanki.

— Odpoczniemy chwilę — mówił inżynier — umyjemy się i pojedziemy na kolację do jedynej, żyjącej tu białej rodziny. —

Czyżby ta, którą widziałem na drodze — myślał Antek — o niech tam, co mi to szkodzi. —

Po chwili młoda jędrna dziewczyna zaprowadziła go do łazienki. — Niezłą ma służbę inżynier wokoło siebie — myślał patrząc na nią.

Po kąpieli czuł, że skóra promienieje przesycona słońcem. Znów poczuł siłę w całym ciele.

Poszli na kolację. Nie było daleko. Szli prosto do oświetlonych okien. Murzyn siedzący na schodkach, otworzył im drzwi. W dużym pięknym pokoju siedziała na dywanie piękna kobieta i bawiła się z dwojgiem roześmianych dzieci. Na kanapce siedział mężczyzna i czytał książkę.

Ci sami — pomyślał Antek, łagodniejąc.

Mężczyzna przerwał czytanie książki, kobieta wstała z podłogi.

— Przyszliśmy na kolację — mówił śmiejąc się inżynier.

— Myśmy pana widzieli — mówiła zdziwiona kobieta.

— Tak, to marynarz idący na swój statek do Tangi — wyjaśnił inżynier.

Gospodarze podeszli do Antka i uścisnęli mu dłonie.

Usiedli w fotelach. Przyszedł do niego chłopiec, mogący mieć lat pięć i dziewczynka — trzy. Patrzyli się na niego jasnymi oczami, darząc go zaufaniem. Matka zbliżyła się za nimi i z kobiecym uśmiechem pełnym dumy przedstawiła mu dzieci, poważnie tak jak dorosłych ludzi.

Angielska tradycja mówi, że gości przyjmuje się drinkiem. Po dwóch kieliszkach Antek opowiedział im cel swojej podróży.

— Czy pan był kiedyś przedtem w dżungli — pytał gospodarz domu.

— Nie. —

— Ma pan sporo odwagi. —

— Myślę, że jest bezpiecznie — stwierdził Antek.

— W zeszłym tygodniu blisko nas lampart rozdarł Murzynkę — informował Antka gospodarz.

Piękna gospodyni domu patrzyła na gościa ze zdziwieniem zarazem z obawą.

Inżynier przytaknął głową.

— Przecież ja nie jestem Murzynką — zauważył Antek.

Wybuchnęli śmiechem.

Gospodarz domu był Anglikiem z Południowej Afryki, żona jego pochodziła z Londynu. On był aż do przesady typem Anglika, powolnego, opanowanego i pozornie obojętnego. Ona natomiast wesoła i bardzo rozmowna. Pytała się o West End, Royal Opera House, Trafalgar Square, Hyde Park, defilady, parady i zabawy żołnierskie.

Gdy Antek jej powiedział, że to wszystko jeszcze istnieje — ucieszyła się.

— Chciałabym to wszystko jeszcze widzieć — mówiła.

O, tak po wojnie pojedzie na kilka miesięcy do Anglii.

Poszli do innego pokoju na kolację. Stół był pełny najrozmaitszych potraw i nieznanych mu owoców, spiętrzonych na pięknej stołowej zastawie. Starał się nie jeść tak jak na statku, gdzie jadł szybko, zaczynając od tego co mu się podobało. Piękna godpodyni z zachęcającym uśmiechem podawała mu rozmaite talerze i półmiski.

Po kolacji wyszła z dziećmi, położyła je spać i wróciła do salonu. Antek zauważył, że przez cały wieczór nie słyszał, by jej mąż przemówił choć jedno słowo. Ona wyglądała jednak na szczęśliwą kobietę, nie była więc chyba obojętna swojemu mężowi.

Rozmawiali o wojnie, polityce i czasie powojennym.

Poważnie przejęli się podróżą czekającą Antka, który dowiedział się od nich, że więcej jak pół drogi już przebył, a bagien idących na południe niepodobieństwem jest przejść.

— A więc trzeba pływać — dopomógł im planować.

— Możliwe — odpowiedział flegmatycznie gospodarz — kilka mil stąd mieszkają rybacy, mają łodzie żaglowe. Wczesnym rankiem poślę po nich i będę z nimi rozmawiał.

Wszyscy zgodzili się na takie załatwienie.

— A co to za jedni, ci Hindusi — pytał Antek.

— To właściciele plantacji i cukrowni — odpowiedział inżynier.

Antek ze zdziwieniem pomyślał, że ci wytworni Anglicy pracowali dla Hindusów.

Goście po nasyceniu się swoją gadatliwością pożegnali się i wyszli.

Tej nocy Antek spał we wspaniałym łóżku, czując się jakgdy by był zawieszony w powietrzu, nic go bowiem nie ugniatało. Nic sobie nie robił z komarów latających za moskiterią, głośnych i głodnych.

Rano rosły tubylec czekał na niego przed gankiem. Pod pachą trzymał dużą paczkę z żywnością, podarunek od pięknej gospodyni.

Inżynier objaśnił go, że wszystko jest urządzone.

— Pójdzie pan — mówił — z nim ze dwie mile do rzeki. Tam czekają rybacy z żaglówką, którą zabiorą pana trzydzieści mil na południe, a stamtąd już będzie łatwo. Chodzą troki, aż do Tangi. Powodzenia. —

Niedługo doszli do rzeki, szli brzegiem w dół, po drugiej stronie leżały nieprzebyte bagna. Rzeka rozlewała się tworząc małą zatokę w której stało kilka łódek. Na ich widok, paru siedzących krajowców poderwało się. Przewodnik dłuższą chwilę energicznie mówił coś do nich. Gdy skończył, wzięli się do roboty. Brodząc w wodzie po kolana, nieśli na największą łódkę wiosła, maszt, niezwykle długi bambusowy bałm, żagiel i jedzenie w węzełkach. Uzbroili łódkę. Trzech smukłych chłopaków wskoczyło do środka, wskazując miejsce Antkowi. Dwóch wiosłowało krótkimi wiosłami z szerokimi okrągłymi piórami, zakończonymi ostro, trzeci siedział na rufie i sterował takim samym wiosłem. Płynęli szybko środkiem nurtu. Mijali liczne, piaszczyste wyspy. Brzegi pokryte były zbitą poplątaną roślinnością. Gdzieniegdzie strzelały w górę wysokie palmy. Rzucili wiosła, wciągnęli na krótki maszt olbrzymi arabski żagiel na bambusie. Łódź z miejsca zerwała się w chyży bieg. Antek siedział przy sterniku, przyglądał się rybakom, byli doskonałymi marynarzami. Patrzył się na rzekę i brzegi, był pasażerem i trwał w lenistwie. Przed nim błysnął ocean, z lewej strony na cyplu na wysokim maszcie, powiewał Union Jack. Przy maszcie na piasku stała mała chatka, w stronę której łódź sterowała. Przybili do brzegu i wyszli. Czekał na nich Arab, tak czarny jak Murzyn. Sternik rozmawiał z nim chwilę. Arab był kontrolerem ujścia rzeki. Zbliżył się do Antka, pozdrawiając go po angielsku. Krajowcy spuścili żagiel, wyciągając łódź na brzeg.

— Czy oni nie myślą płynąć — pytał Antek Araba.

— Za duży wiatr — odpowiedział, wzruszając głową w kierunku morza. Z północo wschodu w stronę lądu toczyły się wielkie zielone wały wody z białymi grzywaczami na wierzchu. Wiatr był sprzyjający, był jednak za silny. Może się bali, by ich nie zepchnął na bagnisty najeżony korzeniami brzeg.

Krajowcy udali się do przyległej wioski, za nimi szedł Antek rozmawiając z Arabem.

Za wysokim brzegiem porosłym palmami była wioska. Antek przeszedł się wzdłuż wioski w towarzystwie Araba. Arab szedł sztywno. Krajowcy pozdrawiali go, nie wszczynając z nim rozmowy, widocznie był tu ważną osobistością. Chatki były wszystkie jednakowe, okrągłe, pokryte ostrymi stożkowymi dachami. Na placu w środku wsi skupiało się całe życie, w którym najwięcej czynne były kobiety. Przy kilku ogniskach gotowały strawę, znosiły owoce, inne tłukły w dużych konwiach proso kijami, mrucząc i wyjąc jakąś melodię. Mężczyźni leżeli w cieniu dachów i chat, pykali fajki. Bardziej pracowici pędzili krowy na udój i przynosili ryby w plecionych z wikliny koszykach. Za chatami były małe pólka z różnymi warzywami. Dziewczyny tłukące proso, często podnosiły głosy i przyglądały się Antkowi. Były wesołe i często wybuchały śmiechem.

Niosące owoce, przechodziły blisko niego by mu się lepiej przyjrzeć. Patrzył na nie z uśmiechem, niektóre były dobrze zbudowane i piękne w swej nagości. Z chat wychodziły inne, jedna z nich miała jaśniejszą skórę i zaokrąglone kształty arabskie, widocznie jakiś kupiec arabski ją tu zostawił. Przechodząc blisko nowoprzybyłego, skręciła mocno głowę i patrzyła się na niego, przytrzymując ręką pęk owoców na głowie. On również patrzył na nią. Była zgrabna, szczupła w pasie, drobna w plecach i o pięknie zaokrąglonych biodrach. Wracając bez ciężaru na głowie, utkwiła w nim czarne oczy, pełne żaru. Nie było w nich psiej uległości, jaką miały Murzynki. Szła wyprostowana przyspieszonym krokiem.

Arab znacząco spojrzał na Antka z chęcią przywołania jej. Antek wstrząsnął głową.

Po chwili skierował się na brzeg, podszedł blisko wyciągniętej łodzi i usiadł na piasku. Był tak obcy tym ludziom, że najlepiej czuł się sam. Czuł się zupełnie szczęśliwy i niczego nie pragnął. Był pod silnym wrażeniem otaczającej go natury. Nie odwracał głowy na odgłos kroków. Przed nim stała pół-krwi Arabka z owocami w dłoniach. Położyła owoce przy nim i usiadła mu przy stopach. Patrzyła mu się w oczy żarliwie i ulegle. Próbował z nią rozmawiać. Nie rozumiała jednak angielskiego. Była smutna. Śmiał się do niej, by ją rozweselić. W oczach jej mignął radosny ognik i znów była poważna. Ujął ją pod ramię i przysunął blisko siebie. Była uległa. Podłożyła sobie dłoń pod głowę i legła tuż przy nim. Patrzył się na obnażone piersi, na opaskę z perkalu na biodrach, gołe uda. Na chwilę oczy jej zabłysły w uśmiechu. Antek pogładził ją po głowie. Ona znów patrzyła na niego. Oczy jej błagały, kusiły, zniewalały. Objął ją wpół i przysunął bliżej. A niech tam — pomyślał — niech się dowiedzą biali.

Leżał na mokrym chłodnym piasku, w sytym zmęczeniu dzikiego, nie myślał o niczym i nie pragnął niczego. Dziewczyna nagle się poderwała. Obejrzał się. Szedł do nich Arab z załogą żaglówki.

Przyszli na brzeg w ciszy, patrzyli się na ocean. Sternik zaczął głośno krzyczeć — „Safari".

Antek podszedł do nich.

— Co to znaczy „Safari" — pytał Araba.

— Słowo to oznacza każdą podróż w języku Swaheli — odpowiedział ku jego zdziwieniu.

Safari, tak to przecież jego Safari. Czuł, że radość w nim kipi i promienieje. Za plecami słyszał kłótnię. Dziewczyna rozpaczliwie, ostro kłóciła się z krajowcami.

— Ona chce z panem jechać — objaśniał mu Arab.

— Jak chce to pojedzie. —

Antek zadecydował, uciszył krajowców. Jeden z nich miał się zostać, a w miejsce jego miała jechać dziewczyna.

— Jak jej na imię — pytał Araba Antek.

— Rani. —

— Chodź Rani — powiedział Antek. Objął ją wpół i zaprowadził do łódki. Zepchnęli ją z piasku i wskoczyli do niej. Arab machał do nich ręką na pożegnanie. Wielki żagiel złapał wiatr i lekko pod wiatr płynęli, oddalając się od brzegu. Rani uśmiechnięta siedziała przy sterze. Jeden z krajowców wskoczył na przeciwwagę, by zapobiec wywróceniu się. Faluka była doskonałą mieszaniną, kadłub długi na jakie siedem metrów, bardzo wąski, wydrążony z pnia, dwie wystające z obydwu stron polinezyjskie przeciwwagi z pniaków, i żagiel arabski trójkątny na krótkim maszcie przyczepiony do długiego bambusowego bałmu, idący ukośnie do samej łodzi, zaczepiony luźno na szczycie masztu i wznoszący się wysoko w górę. Usiadł na rufie przy Rani, która sterowała bardzo wprawnie krótkim wiosłem, wpatrywała się w Antka z przywiązaniem i uwielbieniem. Dosko-

nała żona wojenna — pomyślał. Faluka pędziła, mogłaby iść w zawody z naszymi jachtami wyjściowymi. Murzyn na przeciwwadze zgięty w kadłubie, przysiadał i prostował się, trzymając się obydwiema rękami sztagu. Kiedy schodzili z wału wody, łódź przez chwilę nie dotykała wody. Sycząc, hucząc i wibrując, szedł na nich wielki bałwan, obrywający się na białym szczycie pokrytym pianą. Łódź pędziła jak rybitwa, krajowiec na przeciwwadze obejrzał się na resztę płynących. Skulił się, przysiadł, przywarł stopami do pnia, rękoma silnie ujął sztag. Łydki, uda, plecy i ramiona pokryły mu się mięśniami. Pochylił głowę w stronę fali, czekał zwięzły, przyczajony, gotowy. Siedzący w łodzi pochylili się do samych burt. Faluka wystrzeliła w górę, jak końopadła na wodę, z jeszcze większym pędem płynąc w dół, trzeszczała w wiązaniach i w maszcie. Antek wypuścił szot, żagiel załopotał. Bryzgi piany oblały ich. Żagiel złapał z powrotem wiatr, byli daleko od brzegu, płynęli teraz z pół wiatrem, miękko i łatwo. Krajowiec przeważający łódź, szczerzył białę zęby w śmiechu, wyciskając wodę z przepaski na biodrach. Był cały mokry. Woda błyszczała na nim w słońcu. Wolny, szczęśliwy poganin, skąpany w wodzie i słońcu. Antek wskoczył na przeciwwagę i zmienił krajowca. Czuł teraz, że taka błaha bezczynność nie jest wcale łatwa. Zdawało mu się, że belka chce mu uciekać spod stóp. Tułów uciekał mu na wszystkie strony. Krajowcy śmiali się, patrząc na jego skręcające się ciało, belka usunęła mu się, zawisł na rękach na sztagu, woda go oblała. Podciągnął się rękoma i wskoczył do łodzi. Drugi krajowiec zajął jego miejsce. Zdjął dunkry i koszulę i przywiązał do masztu, i tylko w spodenkach wskoczył z powrotem na belkę. Krajowiec mu ustąpił. Zdawało mu się, że odkrył całą tajemnicę. Nie polegał teraz na swojej sile, w którą był zawsze ufny. Wyczuwał kołysanie się łodzi, przewidywał i poddawał się odpowiednio ruchom łodzi. Po półgodzinnym staniu, zeszedł do łodzi. Rani oddała mu ster, poprawiła opaskę i weszła na przeciwwagę. Stała wdzięcznie i swobodnie, jak gdyby chwaląc się, że i ona to potrafi. Sterując przyglądał się krajowcom wyciągniętym na dnie łodzi i brzegowi porosłemu ciemnozielonym mangrowcem. Słońce oblewało żarem, wilgotny wiatr chłodził, faluka sunęła po szafirowej wodzie, nad nim czysty błękit nieba. To było jego Safari, gdyby miał porządną strzelbę i dużo amunicji, przeszedłby Afrykę w poprzek bez centa. Oczywiście nie sam, wziąłby sobie kilkunastu krajowców do pomocy. Chętnie by z nim poszli. Umiałby znaleźć posłuch między nimi.

Rani zeszła z przeciwwagi, rozłupała kokos i podała Antkowi. Pił słodkawy płyn, potem wyjadał miąższ. Krajowcy pożywiali się swoimi pierogami. Rozpakował paczkę podarowaną mu przez Angielkę. Czego w niej nie było? I sznycle i jaja, chleb, ciastka i papierosy. Zostawił sobie tyle ile mógł zjeść. Resztę dał Rani, ona podzieliła się znów z krajowcami. Jedli wszyscy zadowoleni i weseli. Kiedy wszystko zjedli, Antek poczęstował ich papierosami. Papierosy im najwięcej smakowały. Często potem kładli palec do ust, prosząc o papierosa. Dawał im chętnie, aż wypalili wszystkie. On sam palił potem murzyńskie, skręcane z liści. Z pełnym wiatrem wpływali w zatokę. Z daleka na brzegu stał kamienny arabski budynek. Słońce zachodziło. Krajowcy skracali sobie drogę, płynąc między wąskimi przejściami wśród mangrowców. Było to śmiałe i zręczne przemykanie się, gdzie żagiel osuwał się o gałęzie. Wpłynęli na czystą wodę, na brzegu stało kilku Arabów, przyglądających im się. Dopłynęli do brzegu. Do Antka podszedł administrator. Obejrzał jego dokumenty, prosząc go do swego domu. Rani z krajowcami stała przy faluce patrząc się na niego smutno. Podszedł do niej. Pogładził ją po twarzy, przycisnął do siebie mówiąc:

— Bądź zdrowa. —

Uśmiechnęła się do niego. Krajowcom uścisnął dłonie i skierował się za administratorem.

Wioska była mahometańska, mułła jeszcze żałośnie śpiewał z minaretu, kiedy przestał, cisza zalała wioskę. Antek z administratorem zjadł skromną kolację, złożoną z placka z masłem i kawy. Po czym Arab zaprowadził go do innego domu na końcu wsi, do gościnnego domu — jak mówił. Tu go urządził, prosząc go, by się czuł jak u siebie w domu. Znów spał we wspaniałym łóżku z moskitierą.

Rano Arab mu długo prawił jak ma dojść ścieżkami do głównej drogi, gdzie prawdopodobnie spotka przejeżdżające samochody ciężarowe, dał mu przewodnika i pożegnał go z godnością.

Szedł za przewodnikiem. Często ścieżki się przecinały, wchodzili więc na inną, aż doszli do szerszej, niedaleko była droga. Odprawił przewodnika i szedł sam. Wszedł na drogę. Na wysokich pagórkach stały małe chatki w odstępach kilkumilowych od siebie, domyślał się, że były to posterunki obserwacyjne, pilnujące brzegu i śledzące przybrzeżne ruchy statków. Wzdłuż drogi ciągnęły się plantacje palm kokosowych, z piramidami wielkich owoców leżących na ziemi. Z lewej dochodziły go ludzkie głosy, z wioski murzyńskiej. Krajowcy przyglądali mu się. Podszedł do niego starszy Murzyn, skłonił mu się nisko i niezłym angielskim mówił, że Mister Maber, Anglik, który przebywa we wiosce, prosi go do siebie. Zgodził się na to z radością. Nad brzegiem morza blisko wioski na trawie pod cienistym mangrowcem, bieliły się dwa namioty. W cieniu odpoczywał w hamaku Anglik. Widząc Antka, poderwał się z hamaka i z radością uścisnął mu dłonie. Usiedli przy maleńkim stoliku na płóciennych stołkach. Maber cieszył się, że widzi tutaj białego, słuchał z zaciekawieniem jego opowiadań. Po czym sam zaczął opowiadać swoje dzieje. Już przez dziesięć lat był inspektorem dżungli, o przestrzeni mniej więcej naszego województwa. Podróżował po swoim terytorium, odbywając ciągłe inspekcje. Miał ze sobą trzy strzelby i piętnastu krajowców, w tym tragarzy, kucharzy i służących. Kucharza miał naprawdę wspaniałego, jak się Antek później przekonał. Z wioski dochodził ich hałas, jakiego jeszcze nigdy nie słyszał. Wsłuchując się chwilę, pytał co to jest.

— Uzdrawiają chorego — odpowiedział z ironią Maber. — Chce pan popatrzeć? —

W środku wsi na placu ciżba rozstąpiła się, zostawiając im przejście. W samym środku stała chora, podtrzymywana przez dwie kobiety. Odziana była w krowią skórę i owinięta derą. Pokraczny starzec chodził wokół niej, mamrocząc i sycząc zaklęcia. Gdy przerywał, wszyscy wokół ryczeli i wyli bijąc w bębny, patelnie i inne kuchenne garnki. Chora słaniała się, traciła przytomność, oblewali ją wodą i dalej wypędzali z niej złego ducha, który nabawił ją choroby.

Antek nie mogąc się patrzeć na to wszystko, wyszedł z tłumu. Nie mógł jej pomóc. Był pewny, że ją dobijają. Maber skierował się za nim.

Siedząc wygodnie przy namiocie rozmawiali. Maber znał dżunglę dużo lepiej niż crack shooter. Wiedział ile żyło na jego terytorium lwów, słoni, nosorożców, lampartów. Był on zdania, że zwierzęta nie lubią czynić człowiekowi krzywdy. Lew omija człowieka i nie znosi jego towarzystwa. Najpodlejsza jest hiena. Bywały wypadki, że na śpiących krajowców napadały hieny, rozrywając im najprzód twarz.

Po kolacji Antek pożegnał się z Maberem. Krajowiec odprowadził go do posterunku granicznego, między Kenią i Tanganiką, gdzie wieczorem miało przechodzić ciężarowe auto.

Posterunek pełnił cywilizowany krajowiec, wychowany przez jakąś misję religijną, był bardzo uległy i ślepo oddany białym. Mieszkał w okazałej chacie z gliny, krytej dachem z liści palmowych. Praca jego polegała na zapisywaniu nazwisk przechodzących ludzi i podnoszeniu szlabanu

przejeżdżającym samochodom. Mieszkał z żoną, z małym dzieckiem i siostrą, ładnym okazałym, podlotkiem. Przypomniała mu się Rani.

Ściemniło się. Moskity napastliwie zaczęły dobierać się do skóry Antka. Krajowiec rozpalił ogień ze starego pokrycia dachu. Moskity pouciekały. Na szosie błysnęły przytłumione reflektory samochodu. Podszedł do szlabanu. Samochód zatrzymał się. Cywilizowany krajowiec otworzył mu drzwi, mówiąc coś z szoferem w swoim narzeczu. Antek usiadł przy szoferze i samochód przetoczył się pod podniesionym szlabanem. Mały ciężarowy samochód skakał na wszystkie strony. Szofer musiał znać doskonale drogę. Nie zmniejszał biegu. Zręcznie wymijał kamienie i wielkie bryły zeschłej ziemi. Krzaki coraz częściej wyrastały przy drodze. Światło reflektorów dziwnie sunęło przez dżunglę. W jarzącą smugę wpadł kot wielkości średniego psa. Biegł przed samochodem aż do zakrętu, tu wpadł w dżunglę. Samochód skręcił. Wjechali na dobrą drogę wysypaną zbitym drobnym kamieniem. Szofer gnał sześćdziesiątką. Przed nimi w dole pokazały się światła Tangi. Samochód przemknął z sykiem po asfaltowej jezdni miasta. Miasto wyglądało puste o tej późnej porze.

Uzbrojony askar przepuścił Antka na drewniany pomost. Antek podszedł do pierwszej motorówki.

— Czy „Belgian Airman" jest tu w porcie — krzyknął głośno.

— Jest — odpowiedziały mu dwa cienie.

Wszedł do motorówki. Dwaj czarni marynarze w mundurach H.M.S. zapuścili motor. Jeden usiadł przy sterze, drugi odepchnął dziób bosakiem. Łódź szybko mknęła po czarnej tafli spokojnej zatoki. Wdzierała się coraz dalej w czarną ciemność. Po chwili ujrzał światła kotwiczne.

— To twój statek — mówił czarny majtek przy sterze.

Nie odpowiedział mu, odczuwając radość w sobie. Motorówka opłynęła półkolem i stanęła przy trapie.

Antek złapał się liny i skoczył na stopień.

Z góry oblało go światło elektrycznej latarki, potem usłyszał wesoły głos wachtowego.

— Antek, to ty, myśleliśmy, że cię już więcej nie zobaczymy. —

MIECZYSŁAW PRUSZYŃSKI

POLITYKA W KANADZIE

Kiedyś w czasie tej wojny na przystanku autobusowym w Ottawie stał oficer aliancki. Przejeżdżający samochód zatrzymał się i jadący nim starszy pan zaproponował oficerowi „l i f t a". Ten, jako że w cywilu był dyplomatą, wsiadając do samochodu, uznał za wskazane przedstawić się:

— Lieutenant Scacighino, of the Polish Army.

Starszy pan uśmiechnął się i rzekł w odpowiedzi:

— Mackenzie King, Prime Minister of Canada.

Stolica tego ogromnego kraju, większego od Europy, ma tyle mieszkańców co przedwojenny Lublin. Królowa Wiktoria celowo w tej mieścinie na granicy prowincyj Quebecu i Ontaria ustanowiła stolicę Dominionu ponieważ wybór którejś z dwu wielkich metropolij: Montrealu czy Toronta, uprzywilejowałby jedną z prowincyj. Głównym urokiem tej stolicy jest właśnie bezceremonialność jej życia. Na ulicy spotkać można księżniczkę Juliannę, pedałującą na proszony obiad, czy posła nadzwyczajnego i ministra pełnomocnego jak wraca od krawca, niosąc na ręku świeżo odprasowane spodnie. Pan Mackenzie King już od ćwierć wieku przeszło mieszka w Ottawie, pełniąc funkcje przewódcy partii liberalnej i premiera

Dominionu. Nic dziwnego, że czuje się nie tylko na ulicach Ottawy ale i na niezmierzonych obszarach kanadyjskiego kontynentu—gospodarzem domu.

Być 19 lat premierem jednego kraju, rządząc demokratycznie, opierając się na woli wyborców — to istotnie zaprzecza tezie, jakoby parlamentaryzm wykluczał stałość rządów. Jakie są przyczyny, że ten premier, współczesny Poincarégo, MacDonalda, Witosa i Primo de Rivery przetrwał za swym premierowskim biurkiem tyle burz świata, gdy tamci już dawno przestali pełnić swe funkcje? Przyczyną główną jest — kompromisowość tego człowieka. Tak jak Kopernik specjalizował się w gwiazdach, Maria Curie w radzie, tak Mackenzie King stał się specjalistą od kompromisu.

Kanada jest krajem różnych kultur i religij, sprzecznych interesów politycznych i gospodarczych. W kraju rządzonym przez protestanckich masonów — duża część ludności jest katolicką. Kultura francuska epoki Ludwików krzyżuje się tu z purytanizmem wczesnej epoki wiktoriańskiej, czy Amerykanizmem nadgranicznego Chicago. Obyczaje rodzimych Eskimosów oraz przybyszów z Jokohamy, znad Gangesu i Zbrucza dopełniają etnograficznej mozaiki. Wspólnota Kanady z Brytyjskim Imperium znajduje rywala w rosnącym zrozumieniu wspólnoty panamerykańskiej. Kapitał londyńskiej City rywalizuje z kapitałem nowojorskiej Wall Street. W tym Dominionie, najistotniejszej ostoi Imperium w najcieższych jego chwilach, pokaźny odsetek ludności nie cierpi Anglików, pragnie separatystycznego pokoju, dostarcza dziesiątka tysięcy dezerterów. Podczas gdy prasa anglosaska ubolewała, że na konferencję do Quebecu nie przybył Stalin, czołowy dziennik tego miasta pisał: „Byłoby skandalem, gdyby szef komunistycznego państwa zaczął swe wizyty w Imperium od jego jedynej katolickiej prowincji!”

Gdyby Kanada była położoną w Ameryce Południowej lub Europie Środkowo — Wschodniej, to prawdopodobnie już od dawna byłaby widownią belli omnium contra omnes. Zamachy stanu, rządy wojskowych, prześladowania mniejszości narodowych i religijnych byłyby na porządku dziennym. Taki człowiek kompromisu jak p. King zasłużyłby sobie szybko na pogardliwą nazwę oportunisty, bez przekonań i charakteru. W Kanadzie umiejętność znalezienia kompromisowego rozwiązania w spornej sytuacji stała się właśnie głównym elementem powodzenia kariery politycznej premiera Kinga. Godzi on sprzeczne interesy różnych kościołów, różnych kapitałów, różnych foreign office'ów. Znajduje rozwiązania, na które się godzą „realni” milionerzy i „utopijni” socjaliści. Rola mniejszości francuskiego pochodzenia w Quebecu jest równie doniosłą dla rządzącej partii pana Kinga jak ongiś głosów polskich z Galicji dla premierów Austro-Węgier. Toteż choć rząd p. Kinga rozbudował wkład Kanady w obecną wojnę do ogromnych rozmiarów, lotnictwo i armię wysłał za ocean, to jednak uczynił zasadnicze ustępstwo na rzecz pacyfistów i separatystów quebeckich: nie wprowadził przymusowej służby wojskowej.

W zimie 1944 r. Lord Halifax przybył do Toronta i wygłosił przemówienie, które przez długie miesiące było potem przedmiotem dyskusji społeczeństwa Kanady. Tezą lorda Halifaxa było: scentralizować Imperium w nadchodzącej erze pokoju. Zwolennicy suwerenności Dominionu, separatyści quebeccy, socjaliści, panamerykanie — uderzyli na alarm przeciw „zapędom imperialistycznym” Anglików .Premier King, który w r. 1939 wprowadził Kanadę do wojny, sformułował obecnie z trybuny parlamentu nową, kompromisową linię polityki zagranicznej: Kanada zachowując bliską kooperację w ramach Imperium, zachowa samodzielność oraz nie poprze żadnych bloków mocarstw, jakoże te mogą doprowadzić do nowej wojny światowej.

Partia konserwatywna Kanady w ciągu ubiegłego ćwierćwiecza utraciła prawie zupełnie swe wpływy. Dopiero w ostatnich latach zreorganizowała się, do nazwy dodała przymiotnik „postępowy” i rozpoczęła żywą działalność. W jesieni 1943 r. odbyły się wybory do parlamentu prowincji Ontaria i przyniosły większość mandatów konserwatystom. Ontario jest najzamożniejszą, najbardziej uprzemysłowioną prowincją Kanady, ostoją wpływów brytyjskich, tak jak Quebec jest ostoją wpływów francuskich. Utrata rządów w prowincji Ontario była pierwszym poważnym zgrzytem w tak sprawnie dotychczas działającej machinie partii liberalnej.

Jakie są istotne różnice programów partii liberalnej a konserwatywnej? Różnice zapatrywań na wolność handlu zagranicznego tak ważkie kiedyś, już dawno przestały odgrywać istotną rolę. Socjaliści dowodzą, że obie partie w równej mierze reprezentują interesa warstw posiadających Kanady, a walka ich między sobą ma zaciemnić tylko proletariatowi istotny stan rzeczy. Jedynie istotniejsze różnice między obu partiami dostrzegłem w dziedzinie polityki zagranicznej: konserwatyści są w większym stopniu zwolennikami wspólnoty Imperium aniżeli będący u władzy i zmuszani wciąż do kompromisów liberałowie.

Jednym z najwybitniejszych konserwatystów jest p. George Drew, który przy ostatnich wyborach zdobył premierostwo Ontaria. Podpułkownik z pierwszej wojny światowej, prawnik z wykształcenia, finansista z zawodu, ziemianin z zamiłowania, polityk zapalony, nie przekroczył jeszcze pięćdziesiątki, pełen jest energii i zapału. Jako premier prowincji Ontaria jest jednym z najpoważniejszych kandydatów na premiera Dominionu. Toteż zgodziłem się chętnie gdy moi kanadyjscy przyjaciele państwo Moore zaproponowali mi bym pojechał z nimi na birthday party pana Drew do jego wiejskiej rezydencji.

Był maj, klomby i trawniki pachniały Polską, tylko zamiast powozów samochody zajeżdżały pod ganek uroczego dworu, przypominając nam że jesteśmy w Ameryce. Pan domu wysoki, szeroki w barach, zdrowiem i radością życia tryskający, z potężną karafką w dłoni hojnie szafował whisky. Okoliczna landed gentry, rodzina pana domu z przemiłymi siostrami jego na czele, *endżojowała* niedzielne południe, słońce, kwiaty, drinki, własne piękne toalety. Przyjemnie było w piątym roku wojny znaleźć się jakby na innej beztroskiej, szczęśliwej planecie, gdzie życie dalej kwitnie jak w jakimś ukraińskim dworze przed 1914 r., jak w jakimś pińczowskim dworze przed 1939 r. Piękna pani domu, córka hrabianki portugalskiej i światowej sławy kanadyjskiego tenora, obecnie dyrektora Nowojorskiej Opery, opowiada porucznikowi Lipińskiemu zabawne historie o rodaku Kiepurze, z czasów gdy ten tam występował. Gdy już solenizantowi zapalono na torcie czterdzieści kilka świec, po obiedzie, kawie i likierach towarzystwo przeszło do ogrodu. Napier Moore, redaktor największego „*magazynu*” Kanady, uganiał się po trawniku na czworakach zabawiając z dziećmi, ja zaś w pewnej chwili znalazłszy się sam na sam z panem domu, zadałem mu stereotypowe pytanie:

— Czy był pan kiedyś w Polsce?

Jakież było moje zdziwienie, gdy premier Drew odpowiedział:

— Owszem, byłem w pańskiej ojczyźnie w roku 1938.

Kanadyjczycy są domatorami, rzadko który z nich dojedzie do Nowego Jorku, toteż z największym zainteresowaniem słuchałem wspomnień pana Drew z jego podróży do Polski, w czasie której zwiedził Warszawę, Poznań, Gdańsk, Gdynię. „Przypuszczałem, mówił premier, że od Europy środkowo-wschodniej rozpocznie się druga wojna światowa, toteż wybrałem się *en touriste* na zwiedzenie Polski i Rosji”.

— Był pan także w Rosji?

— Owszem, spotkało mnie tam nawet zdarzenie, które pana jako Polaka winno specjalnie zainteresować: siedziałem tam mianowicie dwukrotnie w więzieniu.

— W więzieniu?

— Tak. Przyczyną mych niepowodzeń był aparat fotograficzny i zamiłowanie do fotografowania. Dwa razy byłem aresztowany z tego powodu. Za drugim razem spędziłem nawet kilka godzin na słynnej Łubiance, nim po sprawdzeniu mej identycznosci w ambasadzie, wypuszczono mnie na wolność. W roku 1941 po wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej pragnąłem raz jeszcze pojechać do Rosji, nie udało mi się jednak uzyskać wizy.

Z kolei premier stawia mi pytania na temat sporu polsko-rosyjskiego i linii Curzona. Jest zdziwiony gdy m. in. mu wyjaśniam, że prawie wszyscy Ukraińcy w Małopolsce Wschodniej są katolikami, ich inteligencja jest wychowana na kulturze zachodniej, i że dzielnica ta nigdy nie wchodziła w skład Rosji. Premier wyraża przekonanie, że spór polsko-rosyjski doczeka się pomyślnego dla obu stron rozwiązania i że Polska niepodległa zostanie odbudowana. „Wie pan, mówi premier Drew, ostatnio zajmowałem się specjalnie blisko zagadnieniami szkolnictwa prowincji Ontaria i przekonałem się, że dzieci emigrantów polskich uzyskują wyjątkowo dobre wyniki. Często otrzymują nagrody na konkursach szkolnych, naukowych i artystycznych. Ten fakt również pokazał mi wartości drzemiące w waszym narodzie, i piękną przyszłość jaka czeka wasz naród, jeśli będzie miał możność swobodnego rozwoju".

SOCJALIŚCI

Gdy w latach 1900-nych moja babka z Ukrainy przyjeżdżała do Krakowa, ujrzawszy na Placu Mariackim pochód P.P.S. i dowiedziawszy się, że to Daszyński będzie przemawiać, przerażona wsiadała do dorożki i chroniła się w swym hotelu. W purytańskiej, konserwatywnej Kanadzie do dziś dnia duża część społeczeństwa z podobnym przerażeniem obserwuje rozwój *CCF*, czyli *Co-operative Commonwealth Federation*, czyli po prostu partii socjalistycznej. Tymczasem program tej partii wydaje się być nie tylko w dużej mierze słusznym, ale przede wszystkim umiarkowanym. *CCF* zwalcza komunizm jako niedemokratyczny, dyktatorialny ustrój. Zwalcza dla tegoż powodu kanadyjską partię komunistyczną. *CCF* jest daleką od dokonania powtórki rewolucji rosyjskiej, t. zn. wywłaszczenia warstwy posiadającej drogą jej wymordowania lub skazania na dożywotnie ciężkie roboty pod biegunem. Socjaliści kanadyjscy powiadają: ustrój liberalny zapewnia wprawdzie szerokim masom ludności prawa polityczne ale nie zapewnia im równości gospodarczej; ustrój komunistyczny, tak jak zrealizowała go Rosja, zapewnia ludności równość ekonomiczną, niemniej nie daje jej praw politycznych. Prawdziwa demokracja musi zaś polegać na równowadze praw jednych i drugich. *CCF* za swój cel polityczno-gospodarczo-socjalny stawia sobie: centralne planowanie gospodarcze przez państwo; upaństwowienie kolei, przedsiębiorstw użyteczności publicznej oraz monopolistycznych; zapewnia akcjonariuszom wywłaszczanych przedsiębiorstw odszkodowanie pieniężne. Ekonomiści *CCF* dowodzą: robienie wojny było zbyt poważną imprezą, by powierzyć jej planowanie gospodarcze prywatnemu businessowi; podobnie planowanie dobrobytu ludności Kanady w nadchodzącej erze pokoju będzie zbyt poważnym zagadnieniem, by pozostawić je wyłącznie businessmenom; centralne urzędy planowania gospodarczego stworzone w czasie tej wojny należy utrzymać na czas pokoju; skoro w czasie wojny znalazły się miliardy dolarów na fabrykowanie dział, samolotów, okrętów wojennych, to dlaczego w czasie pokoju nie mają się znaleźć inne miliardy na budowę domów mieszkalnych, szkół, szpitali, samochodów i elektrycznych kuchni?

Przewódcą *CCF* na terenie Ontaria jest p. Joloff. Jako przewódca

opozycji, zgodnie z tradycją parlamentaryzmu brytyjskiego urzęduje w gmachu parlamentu, w stylowym apartamencie, o nazwie „Oposition's office". O ile premier Drew ma w swym sposobie bycia miękkość człowieka z landed gentry, o tyle p. Joloff ma w sobie twardość self-made man'a. Wyglądem zewnętrznym przypomina nieco oxfordzkiego docenta, a trochę amerykańskiego sekretarza związku zawodowego. O ile nie ma w sobie kolosalnego temperamentu pana Drew, o tyle zwraca uwagę chłodną inteligencją oraz siłą charakteru. Pan Drew to typ człowieka, co zdobywa pozycje nieprzyjaciela szturmem. Pan Joloff to będzie raczej ta kropla, co wyżłobi kamień.

Pogratulowawszy mu szybkiego rozwoju jego partii, w szczególności dojścia do władzy w prowincji Saskaczewanu, prosiłem o sprecyzowanie linii partyjnej w sprawie polityki zagranicznej, mnie jako Polaka najbardziej interesującej. W szczególności zadałem mu pytania: „Czy zdaniem *CCF* Kanada winna po wojnie brać udział w polityce Europy?" „Czy *CCF* jest zdania, że światem winna rządzić Wielka Czwórka czy Trójka?" „Czy zdaniem *CCF* winna istnieć wolna i niepodległa Polska?" Oto jakie otrzymałem odpowiedzi:

— Dotychczas Kanada nie wtrącała się do polityki europejskiej, niemniej w czasie ostatniego ćwierćwiecza żołnierze kanadyjscy zmuszeni są do umierania na europejskich polach bitew. Stąd wniosek prosty: ponieważ pragniemy uniknąć tego po raz trzeci, przeto uważamy, że Kanada w okresie pokoju będzie musiała brać aktywny udział w polityce europejskiej.

— Kanada widzi gwarancje pokoju na świecie w rozwoju organizacji międzynarodowej z Ligą Narodów na czele. Natomiast *CCF* dostrzega niebezpieczeństwo jakie zagrażałoby pokojowi świata w wyniku zamiany takiej organizacji wolnych i niezależnych narodów w bloki mocarstw. Konkurujące z sobą bloki mocarstw doprowadziłyby do nowej wojny. Jednym słowem *CCF* odrzuca tezy przyszłej organizacji świata tak marszałka Smutsa jak lorda Halifaxa.

— *CCF* uważa prawo samostanowienia się narodów za podstawę ustroju świata. Stąd wolność i niepodległość Polski uważa za niezbędny warunek przyszłego pokoju.

PRZEWIDYWANIA

Która z trzech partyj kanadyjskich dojdzie do władzy po zakończeniu wojny: liberałowie, konserwatyści czy socjaliści?

Ta partia najprawdopodobniej dojdzie do władzy, która będzie odpowiadała dwu warunkom. Po pierwsze—będzie zdolną do kompromisowego rządzenia, bo tego wymaga mozaikowy charakter Kanady. Po drugie — podejmie się realizacji programu gospodarczego nakręcania koniunktury, bo tego wymagać będą masy demobilizowanych żołnierzy. Która z trzech partyj będzie w stanie zrealizować te dwa warunki?

Socjaliści najlepiej wypełniliby warunek drugi bo najwyraźniej propagują program nakręcania koniunktury czyli zwiększania dochodu społecznego w drodze pełnego zatrudnienia ludności i urządzeń produkcyjnych oraz maksymalnego wykorzystania bogactw naturalnych Kanady przy pomocy centralnego planowania oraz inflacji kredytowej. Natomiast socjaliści jako obóz skrajnych poglądów mieliby trudności w rządzeniu przy pomocy kompromisów. Konserwatyzm kanadyjskiego społeczeństwa, jego obawa wstrząsów społecznych i gospodarczych pracować będzie przeciw socjalistom.

Liberałowie celują w sztuce kompromisu. Rozumieją również konieczność zwiększenia dochodu społecznego w drodze sprzecznej z tradycyjnymi zasadami ekonomii, o czym wymownie świadczy ustawodawstwo demobilizacyjne, już opracowane przez rząd liberalny. Wystarczy po-

wiedzic, że przeciętna stawka jednorazowej zapomogi wypłacanej żołnierzowi, który służył za morzem wyniesie około 2.000 dolarów. Demobilizowani żołnierze będą mieli możliwość kończenia studiów na koszt państwa, lub też osiadania na własnych farmach, które zakupią z kredytów państwowych. Natomiast przeciw utrzymaniu się przy rządach liberałów będzie działać fakt, że prawie ćwierć wieku bez przerwy znajdują się przy władzy i znudzili się już wyborcom. Podobnie jak podczas ostatniej wojny w Wielkiej Brytanii partia liberalna po piętnastoleciu rządów Asquitha i Lloyd George'a rozpadła się wyczerpana — ten sam koniec zdaje się zagrażać po tej wojnie partii pana Kinga.

Postępowi konserwatyści nadają się mniej od liberałów ale więcej od socjalistów do rządzenia przy pomocy kompromisu. Są partią młodą, rosnącą na siłach. Jeśli potrafią mimo swych prywatno-kapitalistycznych powiązań wystąpić ze śmiałym programem zwiększenia dochodu społecznego w szczególności pełnego zatrudnienia ludności, to będą mieli wszelkie szanse pozyskania większości w Dominionie.

Rola Kanady w życiu międzynarodowym po wojnie znacznie wzrośnie. Po pierwsze: dzięki ogromnemu wkładowi gospodarczemu i militarnemu Kanady w wojnę, Kanada krzepnie jako suwerenny naród; po wtóre na terenie Kanady działa szereg sił (Kanadyjczycy francuskiego pochodzenia, panamerykanie, socjaliści) które uczynią to, że delegaci Kanady na konferencjach międzynarodowych będą coraz bardziej występować samodzielnie a nie jak dotychczas przeważnie bywało w rydwanie delegacji Wielkiej Brytanii.

Delegaci Kanady będą raczej przeciwnikami narzucanych światu rządów „wielkich czwórek" czy „trójek". Będą coraz intensywniej popierać mniejsze narody w ich wysiłkach nad stworzeniem prawdziwie demokratycznej organizacji międzynarodowej, w której wszystkie państwa miałyby równe prawa bez względu na posiadaną przez nie siłę. Ponieważ Polska nie zalicza się i nie będzie zaliczać się do wielkiej czwórki, przeto wysiłki Kanady będą leżeć raczej po linii naszych interesów.

Dla Polski specjalnie interesującymi we współczesnej Kanadzie będą dwa czynniki: Kanadyjczycy francuskiego pochodzenia oraz socjaliści. Pierwsi są katolikami i niejedno pismo w prowincji Quebecu powtarza za „*Action Catholique*" zdanie p. Louis Philippe Roy: „Dopóki dyktator rosyjski nie zmieni swej wątpliwej polityki wobec Polski i innych Zjednoczonych Narodów, miejmy się przed nim na baczności".

Realizacja programu socjalistycznego a więc nakręcania koniunktury zwiększy poważnie możliwości współpracy gospodarczej Kanady z Polską. „Utopijni" socjaliści „stwarzający" kredyty będą mieli niewątpliwie bardziej szczodrą rękę dla inwestycji w krajach niedorozwiniętych gospodarczo aniżeli tradycyjni klasyczni bankierzy.

SATIRICUS

LISTY LUDZI NIEPRAWDZIWYCH

Listy ludzi nieprawdziwych, to listy nie pisane przez ludzi prawdziwych ale to listy prawdziwe. Listy, które nie zostały naprawdę napisane ale które mogły byś napisane. Będą to listy, w których charaktery skomplikowane i poglądy mętne, wraz z ambicjami, żalami, kompleksami wypowiadają się jasno i bez osłonek. W listach tych pióro satyryka pragnie dać obraz chorób szpetnych naszej emigracji, ku pamięci, informacji i dokumentacji. Choć próżność, małość, pycha czy zakłamanie nieraz gniewem się obleje, niechaj się dojrzy w zwierciadle satyry naga a brzydka.

Nie ma w nich przytyków do osób poszczególnych ale do przywar typowych, charakterystycznych dla grup, klanów, klik, kast, kółek i kółeczek, które się na całość naszej emigracji składają. Nie ma świętości tam gdzie o prawdę idzie. Wielkich słów nie ma także tam gdzie w istocie rzeczy są małe i ludzkie. Kto wyciągnąć z nich zechce naukę ten je zrozumie, kto korzyść przeciw drugiemu sam się między chłostanymi postawi.

Prawo dedykacji podejmując listy ludzi nieprawdziwych w abecadłowym porządku poświęcamy:

Arcydętkom
Bonzom
Cmokalskim
Dzierżymordom
Ekscelencjom
Faryzeuszom
Głuptasom
Histrionom
Intrygantom
Jurniakom
Kabotynom
Lizusom i Łykom
Mocnogębskim
Nadęciuchom
Obrażalskim
Plotkarzom
Rastakuerom
Snobom i Świętoszkom
Tromtradrackim
Urzędasom
Wątrobiarzom
Zawistnym i Żmikrupom!

LIST FERDYNANDA MĄDRALSKIEGO,
MINISTRA PEŁNOMOCNEGO R. P.
DO PRZYJACIELA
TADEUSZA REKLAMSKIEGO
MINISTRA PEŁNOMOCNEGO R. P.

Mój drogi,

Wyjeżdżając na Placówkę obiecałem ci donosić wszystko co ciekawsze i dotrzymuję obietnicy. Zasiadam w tydzień po przyjeździe do napisania listu. Ledwo moje prywatne kufry są rozpakowane a nawet nie miałem czasu rozpieczętować walizy dyplomatycznej, gdzie są jakieś tam papiery, dotyczące opieki nad uchodźcami. Widzisz z tego jak jestem zajęty i oceń proszę że piszę do ciebie.

Teraz wojna i szczególnie odpowiedzialne są nasze stanowiska. I jak zagrożone! Gdy pomyślę o tym co działo się z personelem ostatniej Ambasady (ta cała odyseja placówki na tym jakimś szwedzkim statku) lub w jaki sposób został zwinięty konsulat niemiecki w Tangerze to doprawdy wolno stwierdzić że jesteśmy tak samo narażeni jak żołnierze na froncie. Pamiętasz nasz wyjazd z Polski, pamiętasz jak mówiłeś że nikt nie ma zrozumienia dla naszej pracy, przypomnij sobie w jakim byliśmy niebezpieczeństwie w tym Krzemieńcu. Tak, tak jesteśmy jak żołnierze na froncie i o tym trzeba pamiętać zawsze.

Przybyłem tu po bardzo uciążliwej drodze, bo jechałem w dwuosobowej kabinie razem z młodym sekretarzem poselstwa amerykańskiego. Zabawny chłopiec, ogromnie interesował się Europą i jej losem i czytał przez cały czas radykalną prasę i periodyki, co daje ci poznać że jeszcze bardzo młody i doctrinaire. Co do mnie również czytałem. Przestudiowałem przed samym wyjazdem otrzymany z Lizbony ostatni numer Revue des deux Mondes. Nie masz pojęcia jaki ciekawy. O wojnie nic nie piszą natomiast znalazłem tam kilka znakomitych artykułów między innymi wspomnienia hrabiny Chamfort-Deville która pamiętała z dzieciństwa Talleyranda, a była — entre nous soit dit — przyjaciółką Napoleona III. Ty wiesz że Talleyrand to moja pasja. Otóż wyobraź sobie że znalazłem w tych pamiętnikach kapitalne jego zdanie: „La diplomatie c'est l'art de représenter".

Ale żeby o tym pamiętali ci którzy się rwą do polityki a od polityki do dyplomacji. Dyplomacja jest sztuką, sztuką reprezentowania interesów.

Było mi bardzo niemiło bo musiałem się rumienić na okręcie za mojego kompatriotę który jechał wraz ze mną, a był delegatem któregoś tam z tych ich ministerstw. Suszył on cały czas kapitanowi głowę, że uchodźcy polscy pod pokładem są źle umieszczeni. „A któż im kazał z kraju uchodzić" — odpowiedział wreszcie zniecierpliwiony kapitan i nie mogłem mu nie przyznać racji, w duchu, ponieważ na zewnątrz nie mieszałem się do niczego. Nie mogłem i nie powinienem był, choć rodak zmuszał mnie do tego. Statek był nie okrętem angielskim czy amerykańskim, ale neutralnego mocarstwa na którym — rozumiesz — szczególnie nam powinno zależeć. Płynął pod flagą hiszpańską i było na nim pełno interesujących osób. Wreszcie nie bardzo było o co robić awantur. Uchodźcy to były przeważnie kobiety z dziećmi, a wiadomo że dzieci łatwo dostosowują się do niewygód.

Przyjechałem tutaj akurat w parę dni po Trzecim Maja. Umyślnie się spóźniłem żeby nie musieć zaraz zaczynać od przyjmowania i poznawania Polonii. Trzeciomajowe przyjęcie załatwił za mnie dr. Koziarkiewicz, mój zastępca, jakiś poczciwy człowiek który tu już jest od lat czterdziestu żeby pracować społecznie wśród emigracji. Zacny człowiek, ale rozumiesz to nie to... Żeby reprezentować nasze interesy trzeba tu fachowego dyplomaty. Koziarkiewicz nie rozumie zupełnie dyplomacji. Poselstwo mieści się na bocznej ulicy w małym domu, dobrym dla konsultatu ale nie dla placówki mocarstwa prowadzącego wojnę. Koziarkiewicz żyje miejscowymi sprawami, organizowaniem Polonii, zbiera składki na kościół i na szkołę, a co już najgorsze korzystając z tego że posła nie było, wystarał się o to że trzy tysiące uchodźców polskich z Persji zostanie tutaj umieszczonych. Oświadczył mi to z dumą i był bardzo zdziwiony kiedy to kwaśno przyjąłem. „Trzeba było panie Koziarkiewicz zaczekać z decyzją do mojego przyjazdu, gdyż mam pewne plany dyplomatyczne, które pańska akcja mi krzyżuje". Nie rozumiał o co chodzi. Nie rozumie i nadal. Oto jak dzieje się kiedy niefachowcy biorą się do dyplomacji.

Złożyłem listy. Prezydent był dla mnie bardzo uprzejmy. Ściskał mnie długo za rękę, tylko nie mogliśmy się dogadać bo on nie mówi po francusku. Niemniej na śniadaniu wypowiedziałem długą mowę która się bardzo podobała. Znasz ją. To ta sama, którą miałem w roku 1931 przy objęciu mej pierwszej placówki. Nie potrzebowałem w niej ani słowa zmienić, tak była dobra.

Sytuację polityczną zastałem tu nad wyraz skomplikowaną, gdyż wszystkie partie polityczne są przeciwne osi. Stąd nie ma tu wewnętrznej równowagi sił. Rozpocząłem natychmiast akcję propagandową i nakazałem tłumaczenie broszury majora Wadzińskiego p.t. „Zgodny marsz Polski" która istotnie najlepiej odzwierciedla jak powinniśmy chcieć. Potem chciałbym wydać przedwojenną broszurę Dzika („Imperium Polskie" tę którą napisał aby otrzymać ambasadę), a która nie zdążyła się niestety rozejść dość szeroko.

Jestem ogromnie zmęczony. Wierz mi że pracuję resztkami sił. Niemniej obowiązki najpierw, odpoczynek potem. Dlatego kierując się przede wszystkim interesami dyplomatycznymi złożyłem co najpilniejsze wizyty w Korpusie a odłożyłem przyjęcie w Domu Polskim. Dziekanem jest nuncjusz i bardzo mi się przydało, że noszę medalik Sodalisa. Potem pojechałem do przedstawiciela Stanów Zjednoczonych i do Ministra Brytyjskiego. Amerykanin sam mi otworzył drzwi i przy pożegnaniu tak mnie trzepnął po ramieniu że dotąd to czuję. Powiedział do mnie abym się nie martwił że wszystko będzie dobrze. Alboż ja się o cokolwiek martwię — pomyślałem — alboż mi zależy na czymkolwiek? „Dyplomacja jest sztuką nietroszczenia się", powiedział raz Talleyrand do biednego księcia Adama i bodaj powiedział słusznie. Minister brytyjski Sir Rodney był bardzo łaskaw. Odbyłem z nim zasadniczą rozmowę. Mówiliśmy

długo o przyszłości Europy o konieczności urządzenia jej po wojnie i pomocy dla niej. Zrazu nie objawiałem swego zdania, potem milczałem, a na końcu się pożegnałem. Ta moja powaga widocznie zaimponowała Sir Rodneyowi.

Swoją drogą muszę ci napisać że w duchu śmieję się z tych wszystkich pomysłów. Mój drogi, Talleyrand określił dyplomację jako sztukę czekania i ja także czekam co to z tego będzie. Stara zasada równowagi sił będzie grała nadal, wojny będą bo muszą być i najniebezpieczniejsi są ci którzy mrzonki mieszają do dyplomacji. Bardzo nie lubię jeżeli się u nas mówi o osłabieniu Polski wskutek wojny. To można myśleć, ale tego mówić nie wolno, bo to jest niepopularne.

Jestem zawsze zdania, aby donosić centrali to co jej jest potrzebne w. jej dyplomatycznej grze. Dyplomacja prawdziwa nie może się oglądać na jakieś idealizmy międzynarodowe tam gdzie trzeba być realistą. Zresztą musimy patrzeć w przyszłość i nie wątpisz chyba że naszym zadaniem jest przewidywać. „Pokój jest stanem dyplomatycznego przygotowania wojny" — tak powiedział Napoleon do Talleyranda.

Ale! Byłbym zapomniał o najważniejszym. Czy wiesz że jest tu Andrée? Tak, tak mon vieux, Andrée! Ta sama, którą pamiętamy tak dobrze z Ligi Narodów. Wyszła drugi raz zamąż i bardzo dobrze. Rozmawiałem z nią serdecznie wspominając dawne czasy, kiedy to na tym nudnym posiedzeniu w sprawie abisyńskich sankcyj, kochany Brzuś Chramowski zaproponował wyjazd motorówką na jezioro. Pamiętasz Andrée i jej przyjaciółkę? Andrée wygląda doskonale i nikt by nie powiedział że to ta sama Andrée, która...no tak, mój stary.

Jakie to były dobre czasy! Pracowaliśmy ciężko. Pamiętasz nasz wniosek w sprawie abisyńskiej albo nasz układ dwustronny w sprawie wielożeństwa na Nowej Gwinei (to były trwałe wkłady polskiej dyplomacji do międzynarodowej współpracy) a wieczorami jeździliśmy do Lozanny lub wozem hrabiego Barducci za granicę, do tej małej oberży w Sarty. Ach cóż tam było za wino!

Wspominaliśmy to wszystko z Andrée, ale — rozumiesz — nieoficjalnie. Ona bardzo jest niespokojna o los swego męża, który zajmował jakieś odpowiedzialne stanowisko w Vichy. Zawsze mówiłem że to bardzo zdolny człowiek.

Jest tu także poseł hiszpański Fernando Rojos Portez y Ignales, który oddał nam taką usługę przy rokowaniach o pakt nieagresji z Niemcami. Ma tak samo jak wtedy w Berlinie pierwszorzędne informacje o ogromnej słabości Niemiec. Wiadomości te są bardzo ciekawe, powiem nawet więcej sensacyjne i prześlę je szyfrem w przyszłym miesiącu gdyż uważam je za pilne.

Wierz mi doprawdy że jestem ogromnie zmęczony i przepracowany. Pełno jak widzisz ważnych spraw. Między innymi zająłem się energicznie urządzeniem poselstwa. Szczęśliwie znalazłem dwie wille pięknie położone, które są do wynajęcia. Jedna oknami daje na ogród, a druga w kierunku alei. Wybrałem tę, która mi przypomina kolumnami pałac w Kaciczkach w Lubelskim, gdzie jeździłem do wujostwa Krzesławskich. Podobno biedny wuj Krzesławski już nie żyje... Ciężki to cios dla mnie, choć swoją drogą już przed wojną był wuj un peu gaga... Strach pomyśleć co zastaniemy po powrocie. Czy wiesz że młody Zdziś bardzo się odznaczył? Jest adiutantem przy generale Szczyp-Wrzeszczyńskim. Zdziś jest bardzo dobrze. Trzeba by go koniecznie wziąć do naszego Ministerstwa. To chłopak z przyzwoitej rodziny i dobrze wychowany.

Cieszę się ogromnie z mianowania Alberta. To bardzo zdolny człowiek i wytrawny dyplomata. Wybił się ogromnie na swej ostatniej placówce. Wiesz że wyjechał w ostatnim wagonie dyplomatycznego pociągu. Nigdy nie tracił wiary na placówce i był pełen optymizmu. Gdy mu mówiono że dywizje niemieckie są skoncentrowane na granicy nie wierzył.

To co mi piszesz o Kosturbie nie dziwi mnie. Zawsze twierdziłem że ten pan nie nadaje się do nas, gdyż nie umie reprezentować i nawiązywać kontaktów. Zawsze raził mnie ten radykalizm czy idealizm i egzageracja rozmaitych poglądów. Poza tym on nie ma żadnego wykształcenia. Mój drogi, dyplomacja to jest wiedza i umiejętność. Doprawdy czas zrozumieć że uniwersytet zwłaszcza gdzieś w Polsce, a potem jakieś prace ekonomiczno-socjologiczne z zakresu emigracji górniczej są absolutnie niewystarczające dla dyplomaty. Mój kochany, egzaminy nie robią człowieka, tylko człowiek robi egzaminy. Pamiętasz nasze studia w Paryżu w École de Science Politique? Profesorowie nie przywiązywali do egzaminów żadnej wagi i każdy je zdawał o ile wniósł opłatę.

Nie pozwala mi dłużej pisać zmęczenie. Muszę jeszcze dzisiaj wpaść na herbatkę do ministrowej portugalskiej, a potem chciałbym zaprosić nuncjusza na poświęcenie nowego gmachu Poselstwa. Wieczór będę miał pewien kontakt.

Przesyłam okazją cały szereg rzeczy. Powinny dojść nienaruszone.

W przyszłym tygodniu wyjeżdżam nad morze, do małej uroczej miejscowości, na odpoczynek taki jestem zmęczony.

Byłbym ci bardzo wdzięczny gdybyś zrobił troszkę więcej hałasu około moich funduszów reprezentacyjnych. Teraz kiedy przyjedzie tutaj trzy tysiące uchodźców muszę mieć pieniądze do dyspozycji, zwłaszcza że nie mogę jeździć tym starym wozem, gdyż to jest „Fiat". Byliśmy przecież w wojnie z Włochami.

Ściskam cię serdecznie mój stary, oraz pozdrawiam wszystkich kolegów. Cieszę się że mój referat objął Janio. To bardzo inteligentny człowiek, jak zresztą wszyscy u nas. Przetrzymaliśmy ciężkie czasy pamiętasz w 1939 roku, przetrzymamy i te rządy.

Twój

Fred

LIST TOWARZYSZKI RÓŻY DO TOWARZYSZKI MARII

Marychna!

Byłam w G. i brałam udział w Brain Trust'cie. Nareszcie! Wszyscy już brali udział w różnych Brain Trust'ach a ja jeszcze nigdy. Miałam potem bardzo ciekawą rozmowę z miejscowym delegatem T.U.C. Ulżyłam sobie. On mnie o organizacji robotników transportowych — a ja mu o naszych chłopcach spod Cassino. On mnie o mechanizacji w rolnictwie a ja mu — buch — cyfrę strąconych samolotów niemieckich przez nasze orlęta. Próbował coś mówić, jak to oni zwykle na dawny rząd sanacyjny i na generała Zdzicha. Odpaliłam mu z miejsca, że my Polacy mamy swoje imponderabilia. Próbował jeszcze coś mówić na temat stosunków w Europie powojennej ale jak go spytałam czy wie ile było wypadków ludożerstwa w Rosji — poszedł jak zmyty. Był przy tej rozmowie rotmistrz Rwęcki, wiesz co mi powiedział? Że mogę być dumna z siebie bo czuję i mam odruchy narodowe polskie. Powiedział również, że gdyby wszyscy socjaliści byli tacy to by nie było antysemityzmu. Ach Marychna, czy oni nam w Kraju uwierzą ile my tu dla sprawy polskiej robimy i że bez nas wszystko by przepadło.

Tego samego dnia byłam na party — zabrał mnie Rwęcki. Było paru naszych chłopców w mundurach — bardzo ciekawe towarzystwo, był nawet jeden pułkownik Mieczyk-Śmigławski. Otóż wyobraź sobie, jaką miałam przygodę! Był tam również pewien cywil. Wiesz jak nie lubię cywilów, ale ten od pierwszej chwili zrobił na mnie wrażenie. Biła od niego jakaś powaga, pewność siebie i spokój. Trochę ociężały szatyn z małymi wąsikami. Milczący. Raz się tylko odezwał, kiedy mówiono że problem żydowski został w Polsce rozwiązany — bo Żydzi stanowić będą ilościowo znikomy procent. Wtedy on odchrząknął, wstał i powie-

dział: „Nie chodzi o ilość ale o jakość". Ta uwaga zrobiła na zebranych wielkie wrażenie. W pewnej chwili ten ociężały, poważny pan zbliżył się do mnie i zaczął rozmowę. Powiedział że chodzi tylko na poważne filmy, bo nie uznaje humoru, nie lubi również Anatola France'a. A teraz wyobraź sobie kto to był — ten oczytany, kulturalny i poważny pan? Nigdy się nie domyślisz... Osławiony Kleofas T. I wierz tu ludziom! I to ma być ten faszysta, ten nasz przeciwnik? Nie, Marychna za bardzo traktujemy ludzi kluczem partyjnym. Trzeba by wiele naszych poglądów zrewidować.

Mówiło się dużo o niemoralności polityki obecnej i ten pułkownik z Londynu powiedział słusznie, że tylko moralność się opłaca. Będziesz się na mnie gniewać ale Józio — (ty go zawsze bronisz) wyrwał się i głupio i nietaktownie zaczął pytać pułkownika o to jaką on, niby ten pułkownik, uprawiał politykę w Polsce i czy Ozon i Brześć i Bereza były moralne. Ciągle w kółko to samo. Już nie mogę słuchać tego ciągłego opluwania własnego rządu i własnego narodu. Ze wstydem myślę, że sama w r. 1939 po klęsce mówiłam podobnie ale dziś wiemy, że wiele naszych sądów było zbyt pośpiesznych. Bardzo słusznie powiedział Rwęcki, gdy mnie odprowadzał do domu, że prawdziwa demokracja polega na uznawaniu innych ideologii i że chyba nikt nie zaprzeczy, że O.N.R. jest ruchem ideowym. Wszystko to nie jest takie proste i łatwe. Nie trzeba zapominać, że sanacja będzie dalej siłą i że Piłsudski przynajmniej w młodości był socjalistą a Witos nigdy.

Miałam wiadomości od macochy z San Paolo. Wyobraź sobie, że prowadzi dalej interes, który miała w Gdańsku i doskonale jej się powodzi. No pa, Marychna. Jeszcze trochę poczytam i kładę się spać. A czy wiesz co czytam? Nie przeraź się. Nie Marksa ani profesora Laskyego ale po prostu starą, kochaną „Trylogię".

Całuję cię mocno,

Róża

LIST MECENASA STANISŁAWA CIEMNICKIEGO DO PREZESA TRYBUNAŁU EKSPORTOWEGO R. P. JANA WAŁĘGI

Drogi Przyjacielu,

Wyjeżdżając do Szkocji z Londynu pragnę Panu udzielić paru rad i wskazówek które zechce Pan przyjąć i wziąć pod uwagę. Zależy mi na tych sprawach, aby były właściwie postawione tak jakześmy to mówili. Rząd nie ma bynajmniej silnej pozycji i tylko kwestią czasu jest jego upadek. Przesilenie powinno dopomóc do powrotu właściwych elementów politycznych, które w każdym stronnictwie posiadamy. Opozycja skrajna zarówno prawicowa jak lewicowa nie może jednak mieć warunków, gdyż prowadzi złą rozgrywkę taktyczną. Nie przenika wszędzie, natomiast my powinniśmy mieć wszędzie swoich ludzi (proszę bynajmniej nie pogardzać drugorzędnymi stanowiskami!) którzy będą stale powtarzać to samo. Jeśli polityczne zarzuty, wypowiedziane z odpowiednią troską obywatelską, będą umiarkowane w formie a maksymalne w żądaniach, jestem zupełnie pewny sukcesu. Byłbym bardzo wdzięczny gdyby Pan się zastosował do tego w kolejności właściwej.

Nasze stosunki z odpowiednimi kołami angielskimi są poprawne ale chłodne. Składają się na to trzy przyczyny: a) odmienne poglądy, b) różnice zapatrywań, c) przeciwieństwa doktryn. Z prawno-publicznego punktu widzenia starałem się na ostatnim zebraniu przekonać mych brytyjskich przyjaciół, że nie mówię we własnym imieniu i mam wrażenie że odniosłem sukces bo po wysłuchaniu zrozumiano mnie. Mówiłem że pozostając na drugim planie prowadzimy grę pierwszoplanową i prosiłem

o pomoc. Zgodzono się ze mną odkładając jedynie wykonawcze decyzje. Uważam to za duży sukces.

W tym stanie rzeczy udałem się do naszych czynników miarodajnych i zostałem przyjęty na audiencji o której zapewne czytał Pan w „Dzienniku”. Zachowałem całą godność jakiej powaga mego stanowiska wymaga i wyłuszczyłem moje obawy i troski. Zostałem niewątpliwie zrozumiany i potraktowany z życzliwością zwłaszcza że dopomógł mi nasz przyjaciel, który godnym milczeniem w ważniejszych momentach poparł moje zdanie dowodami. Daleki od szukania jakiejkolwiek korzyści osobistej, zwróciłem uwagę, że — o ile jestem poinformowany — trzeba się liczyć z przesileniem i koniecznością zmian.

Oto tło wystąpienia i wypadków które zajdą. Ze swej strony sądzę że należy wykonać następujące punkty:

1) Wszędzie krytykować lecz nie wprost ale za pośrednictwem naszych sympatyków którzy mogą mieć poglądy od nas odmienne. Równocześnie należy się tych sympatyków wypierać aby w przyszłości nie mieć wobec nich żadnych długów.

2) Pewne nazwiska i skład przyszłego gabinetu powinny być w tej czy innej formie lansowane. Przy wymienianiu nazwisk (nam najbliższych) proszę stale w formie autorytatywnej dokonać pochwały rzeczowe np. „to bardzo wybitny pracownik”, lub „znakomity fachowiec”, lub „to jest indywidualność”, tym bardziej im bardziej brakuje rzeczowych dowodów działalności.

3) Zarówno związki nasze ideowe jak i polityczne z resztą opozycji muszą pozostać zakryte. Wszystko co mogłoby odkryć mechanizm naszego działania musi zostać niewidzialne. Redaktor Brukowski nie nadaje się do publicznych wystąpień. Jest n eodpowiedzialny, choć spełnia ogromnie ofiarnie swe zadanie.

4) Proszę się ze wszystkimi zgadzać w formie nieobowiązującej. Przede wszystkim ze sferami wojskowymi które jak Panu wiadomo związały się przy naszej pomocy. Jednakże nie życzyłbym sobie aby te sfery forsowały moje nazwisko. W ogóle proszę tak działać aby tam nikt niczego nie wiedział. Obiecywać można jak najwięcej.

5) W sprawie pobytu naszego wojska na froncie. Jeśli wojsko będzie wysłane na front, to trzeba szerzyć troskę o ludzi którzy giną, jeśli nie będzie wysłane będzie to dowód że Rząd nie chce dopuścić naszego wojska do jakiegokolwiek sukcesu.

Osobiście, jak Panu widomao, moje ambicje nie są tak wysokie jak mnie wrogowie pomawiają. Przewodnictwo gabinetu zadawala mnie zupełnie i chciałbym podjąć ten obywatelski trud jedynie po to aby móc zapewnić ciągłość naszej polityce. Z chwilą objęcia tej placówki szedłbym po tej samej drodze co obecny rząd. Daje to Panu miarę jak dalece stoję tu na stanowisku ideowym.

Daleki od intryg i poniżających napaści jakich codziennie jesteśmy świadkami, nie mogę ukryć mej troski z powodu braku odwagi cywilnej u wielu naszych mężów stanu. Nie potrafią się oni zdobyć na uderzenie wprost, z odkrytą przyłbicą i w ogóle unikają sporów i walk wewnętrznych, załatwiając kompromisami różnice swych politycznych zapatrywań. Nasi ludzie muszą się wobec tego trzymać jeszcze solidarniej, zachować jeszcze większą zgodę i wzajemną życzliwość.

Chciałbym zwrócić Panu uwagę na pewne niebezpieczne prądy ideologiczne które ostatnio zauważyłem że są lansowane wśród emigracji. O ile mi wiadomo nikt z naszych przyjaciół nie ma tam dostępu, co uważam za bardzo dziwne. Ponieważ tak jest, zatem należy rozpuścić wiadomość że to właśnie my spowodowaliśmy powstanie tych prądów i że my nimi kierujemy. To im najbardziej zaszkodzi.

Serdecznie dłoń ściskam

Stanisław Ciemnicki

LIST TOWARZYSZKI BINY MAJDELOWICZ DO WŁADYSŁAWA MAKUCHY

Kochani,

Myślałam o was długo jeszcze tego wieczoru, kiedyście mnie odprowadzili do domu. Miałam jeszcze parę korekt, parę listów i musiałam się przygotować na jutro w sprawie elektryfikacji Katalonii, bo mam na ten temat referat i dyskusję. A przecież wciąż wracałam myślą do was Wład i naszej ostatniej rozmowy.

Dlaczego wy nie rozumiecie panslawizmu? Dlaczego właśnie wy? Mówiliście, że nie macie takich uczuć. No to cóż, że nie macie? Trzeba je w sobie rozbudzić. Powinniście więcej czytać literatury słowiańskiej, od Engelsa, Szewczenki aż do współczesnych, to znaczy do Leca, Ważyka, Szempelińskiej. Czy nie moglibyście znaleźć w British Museum jakich poematów lub choćby wierszy bułgarskich czy jugosłowiańskich? Powiedzieliście, że wy macie uczucia przyjaźni dla wszystkich ludzi a nie specjalnie do Słowian. A czy Słowianie to nie ludzie? Tak. Może prości, może biedniejsi od innych ale czy dlatego nie należy ich kochać?

Wasze powoływanie się na Encyklopedię Sowiecką i na jej ocenę Panslawizmu, jako kierunku reakcyjnego jest bezprzedmiotowe — bo właśnie ten tom Encyklopedii jest wycofany. Nie wiedzieliście o tym. Widzicie, jak mało was interesuje wasz naród, wasze plemię, wasza Encyklopedia. Istotnie Encyklopedia Sowiecka mówiła o Panslawiźmie, że był narzędziem w ręku reakcji carskiej i feudalizmu. Ale przecież to samo narzędzie w innych rękach może służyć do czego innego. Czy o tym nie pomyśleliście? Weźcie na przykład taką szpilkę od włosów. Może być do włosów, można nią dłubać w zębach, można nią czyścić fajeczkę do papierosów. Przepraszam za ten trywialny przykład ale chcę być w mojej argumentacji jasna i zrozumiała. Marks jak wiecie opiera się na heglowskiej zasadzie tezy i antytezy. Panslawizm był kiedyś tezą — dziś może być antytezą bo czasy się zmieniły. Encyklopedia Sowiecka mówi czym *był* Panslawizm. Ale czy ona mówi czym *będzie*? Coś, co było kiedyś złe, może być kiedy indziej dobre. Pożyczyłam od was kiedyś płaszcz nieprzemakalny i zaraz jak na złość zrobiło się słońce i gorąco. Płaszcz był niepotrzebny ale czy to znaczy, że był zły? Nie. On jest dobry, tylko trzeba poczekać aż będzie znowu deszcz.

A teraz sprawa przykra. Muszę, muszę wam to Wład napisać. To coście powiedzieli o Hitlerze bardzo mnie zabolało. Istotnie mówiłam, że trzeba sabotować wojnę dwu krajów kapitalistycznych — ale kiedy to było? Już cztery lata temu, to znaczy kiedy Związek Sowiecki nie był jeszcze zbójecko napadnięty przez hordy faszystowskie. Sami przyznajecie, że to było zagadnienie taktyczne ale nie możecie pojąć, dlaczego ja wtedy nie oburzałam się na Hitlera, dlaczego ja nie mówiłam o jego mordowaniu Żydów. Ja się oburzałam. Ale po cichu. Ja cierpiałam ale o tym nie mówiłam. Wy mnie Wład nie rozumiecie. Wy myślicie, że ja jestem szczęśliwa. A ja teraz siedzę w moim pokoju na Hampstead' zie, gotuję herbatę na maszynce, deszcz pada i jest mi ciężko na sercu. Tak, to prawda, ja wam tłumaczyłam, że Hitler nie jest taki zły a dziś ja Majdelowiczówna — was Pakułę namawiam na Panslawizm. Co ja właściwie robię? Co to wszystko znaczy? Czasem to mi żal samej siebie- ale tak być musi. Jak zaczynam wątpić, jak słabnie moja wiara — wiecie co ja robię? Ja czytam Marksa. Mam tu tylko angielski przekład więc czytam dość powoli, nie wszystko rozumiem, często zaglądam do słownika — i to mnie uspokaja i to mi daje nowe siły do walki o lepsze proletariackie jutro.

Nie gniewajcie się Wład. Jest w naszym kinie Deana Durbin. Kupiłam książkę Dorothy L. Sayers, bo to wydał Gollancz, pewnie jakaś ciekawa rzecz. Zadzwońcie do biura. Czekam.

Wasza biedna,

Bina

W najbliższym listopadowym numerze „Nowej Polski" zamieścimy dwa kolejne rozdziały nowej opowieści Ksawerego Pruszyńskiego, pisanej obecnie w szpitalu i osnutej wokoło obecnych rozterek i walk w Normandii.

LIST DO REDAKCJI

Drogi Redaktorze,

Notatka wyjaśniająca powody mego publicznego odcięcia się w „Dzienniku Polskim" od niepodpisanego artykułu wstępnego w numerze sierpniowym „Nowej Polski", nie mogła się ukazać we wrześniu na łamach Twego miesięcznika z przyczyn technicznych, od Redakcji niezależnych.

Dzisiaj, kiedy Warszawa, której i Ty i ja zawdzięczamy szczęście młodości, dogasa zamieniona w popiół pośród świata tak niepodobnego do naszych utopij przedwojennych, dzisiaj po dwóch długich tragicznych miesiącach nie chcę wracać do sporu o słowa. Zbyt wiele słów tymczasem straciło swój dawny sens, zbyt wiele utonęło we krwi, spaliło się, lub zapadło w niepamięć.

Wierzę, że spór między nami jest t y l k o sporem o słowa. Tak samo jak Ty, jestem w żałobie po mieście najukochańszym, bronionym do śmierci przez najukochańszych ludzi. W tej samej Warszawie nauczyliśmy się kiedyś nienawidzieć przemocy, ubóstwiać tych, co siły mierzą na zamiary. I to przecież nie tatrzańskie Janosiki i nie Jagiellonowie w złotych koronach zginęli teraz na warszawskich barykadach, tylko anioły naszego dzieciństwa — lokatorzy Pawiaka, Judymy z Grzybowa i Siłaczki z Powiśla, kwiat narodu bez państwa, kraju bez wolności.

Takich rzeczy się nie zapomina, choć można zapomnieć wiele młodzieńczych słów. Dlatego wolę dzisiaj w Londynie z przyjaciółmi milczeć.

Zechciej przyjąć, drogi Redaktorze, wyrazy przyjaźni i szacunku.

Maria Kuncewiczowa

SPIS RZECZY

3/- Published by „Nowa Polska" 91 Great Titchfield Street London W 1 and Printed by JOHN BALE & STAPLES LIMITED (A STAPLES PRESS COMPANY) 83-91 Great Titchfield Street London W 1 3/-

PRINTED IN GREAT BRITAIN

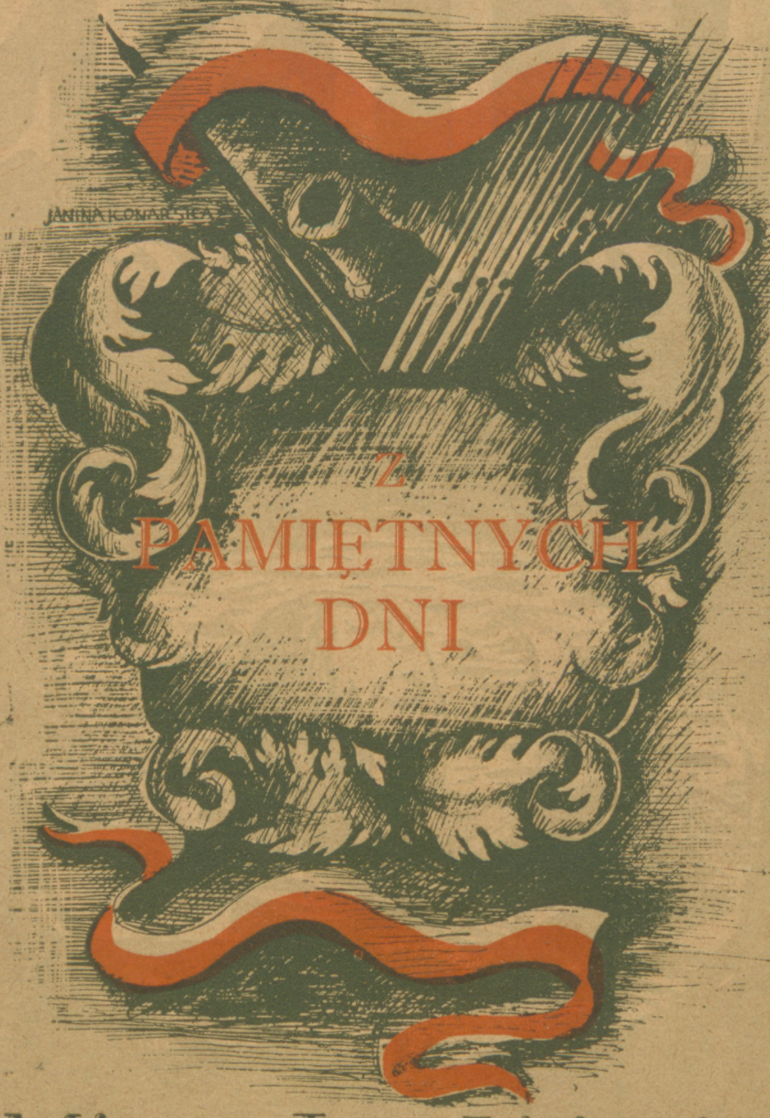
Polish

ARTISTS

in Great Britain



WSPOMNIENIA ADJUTANTA



Z PAMIĘTNYCH DNI

Mieczysław Lisiewicz

CENA W PŁÓTNIE 10 6

NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM III NEW POLAND MONTHLY ZESZYT 11

KSAWERY PRUSZYŃSKI
BOGUMIŁ ANDRZEJEWSKI
MARIA PAWLIKOWSKA
MIECZYSŁAW LISIEWICZ
ARTHUR KOESTLER
STEFAN THEMERSON
TADEUSZ POTWOROWSKI
CZESŁAW BEYOT
MIECZYSŁAW PRUSZYŃSKI
LUDWIK KNEBLEWSKI

ROK W TREMBLINCE

LONDYN
LISTOPAD
1944